

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

K U J A W Y I P O M O R Z E

4 (28) 2000

Indeks 36294



**NOBLIŚCI W „KWARTALNIKU ARTYSTYCZNYM”
NOWE WIERSZE SZYMBORSKIEJ I MIŁOSZA**

Zespół:

JAN BŁOŃSKI, TOMASZ BUREK, STEFAN CHWIN,
ALEKSANDER FIUT, MICHAŁ GŁOWIŃSKI,
MAREK KĘDZIERSKI, JULIAN KORNHAUSER,
JANUSZ KRYSZAK, LESZEK SZARUGA

Redakcja:

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI – redaktor naczelny
GRZEGORZ MUSTAŁ – z-ca redaktora naczelnego
GRZEGORZ KALINOWSKI – sekretarz redakcji

Wydawca:

Wojewódzki Ośrodek Kultury w Bydgoszczy
przy pomocy finansowej Ministerstwa Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Adres redakcji:

ul. Ikara 12, 85-314 Bydgoszcz
tel./fax (0-52) 373 27 18, tel. (0-52) 373 13 90
www.wok.bydgoszcz.pl
e-mail: wok@cps.pl; wiechk@box43.gnet.pl
Administracja, sprzedaż i prenumerata: Renata Triebwasser

Przedstawiciele za granicą:

Barbara F. Lefcowitz
4989 Battery Lane, Bethesda, MD 20814, USA
e-mail: BLefcowitz@aol.com

Joanna Wiórkiewicz
Saarburgerstr. 11D, 12247 Berlin, Niemcy
fax: 0-049-30-7740217

Na okładce: Albrecht Dürer – Rycerz, śmierć i diabeł

Redakcja „Kwartalnika Artystycznego” serdecznie dziękuje Urzędowi Marszałkowskiemu Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu, Urzędowi Miasta Bydgoszczy i Fundacji im. Stefana Batorego za pomoc finansową w wydaniu numeru 4/2000.

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

K U J A W Y I P O M O R Z E
Nr 4 /28/ 2000

Spis rzeczy

- WISŁAWA SZYMBORSKA Pierwsza miłość / 4
 Bagaż powrotny / 5
- CZESŁAW MIŁOŚZ Druga Przestrzeń / 7
- KAZIMIERZ WYKA Pesymizm a odbudowa człowieka (2) / 9
- JULIA HARTWIG Niepewność / 37 Nie idźmy / 38
 Bellagio / 38 Kraniec miasta / 39 Rachunek / 39
 Szukaniec / 40
- ADRIANA SZYMAŃSKA Niewidzialni mieszkańcy świata / 41
- JOANNA POLLAKÓWNA Modlitwa o obraz / 47
 Mistrzowie pomniejsi / 48
- JULIAN KORNHAUSER Zasnęłaś / 49 Błąd / 50
 Od Whitmana do Dylana / 51
- ALEKSANDER FIUT Sarmata w wehikule czasu.
 (Stanisław Lem jako czytelnik) / 53
- Trzy wiersze*
- MICHAŁ GŁOWIŃSKI *** / 64
- BILHA KALISZER-HAZAZ Dziecko Dudu / 67
- LESZEK SZARUGA Katedra / 73 Poeta pamięta / 74
- ANDRZEJ SZUBA postscriptum CLXX / 77
 postscriptum CLXXI / 77 postscriptum CLXXII / 78
 postscriptum CLXXIII / 78 postscriptum CLXXIV / 78
 postscriptum CLXXV / 79 postscriptum CLXXVI / 79
 postscriptum CLXXVII / 79 postscriptum CLXXVIII / 80
 postscriptum CLXXIX / 80 postscriptum CLXXX / 80
- KAZIMIERZ NOWOSIELSKI I gdzie tu zamieszkać?
 (O ogrodach u wybranych poetów pokolenia Współczesności) / 81
- MAŁGORZATA BARANOWSKA Już / 89
 Duch miejsca / 90 Spotkanie w wieczności / 91 Pełnia / 92
- TERESA FERENC Rozmowa o wieczności / 93
 Moja twoja fotografia / 94 Stare dziecko / 94
 Psalm na koniec / 95 Dusza / 96
- BOGUSŁAW KIERC Porównanie / 97 Wniebowstąpienie / 98
 Jeszcze o tym / 98 Poeta po latach / 99 Trzeci / 99

Po co piszę?

- MAŁGORZATA BARANOWSKA *** / 101
 TERESA FERENC Rozwiązane usta / 102
 BOGUSŁAW KIERC Po nic / 103
- KACPER BARTCZAK Biegiem w biel / 105
 Czasami zbawienie / 106 Alchemia / 106
 Ile godzin do końca świata / 108
- WOJCIECH BRZOSKA Znicz / 109
 spowiedź bez słów. po przejściach. / 110
 dojrzewanie, pociąg, inicjacja / 111 kto pierwszy, ten lepszy / 112
- TADEUSZ HELLIKES Sen / 113 Inny sen / 114 Okno / 114
- BLAISE CENDRARS W sercu świata / 115

*Noty o autorach / 124**Plastyka*

- PREZENTACJE - MICHAŁ KUBIAK / 127

Varia

- MICHAŁ GŁOWIŃSKI Akademię Żarków / 133
 ALEKSANDER JUREWICZ Zapiski ze stróżówki (9) / 139
 WACŁAW LEWANDOWSKI Józef Mackiewicz ofiarą
 „potężnych sił”? / 144
- GRZEGORZ MUSIAŁ Dziennik bez dat (4) / 150
 LESZEK SZARUGA Wodna pieczęć (7) / 157
 ZBIGNIEW ŻAKIEWICZ Ujrzane, w czasie zatrzymane (8) / 167

Recenzje

- KRZYSZTOF MYSZKOWSKI O! / 173
 MIROSŁAW DZIEN W stronę przerażenia / 176
 KRZYSZTOF MYSZKOWSKI W dolinie, w świetle / 182
 JACEK GUTOROW Wieszcz w kapturach / 184
 MARZENA BRODA Miasta, muzea, muzyka i malarstwo / 187
 PAWEŁ MAJERSKI W tonacji srebrnej i czarnej / 190
 ZBIGNIEW CHOJNOWSKI Między wygnaniem a powrotem / 192
 RAFAŁ MOCZKODAN Pytanie bez odpowiedzi / 195

*Noty / 198**Komunikat / 206**Biblioteka „Kwartalnika Artystycznego” / 207*



ALBRECHT DÜRER, Rycerz, śmierć i diabeł (1513)

Czytelnikom „Kwartalnika Artystycznego” na dobry
porzątek nowego Lidea i tysiąclecia serdeczne
życzenia nadomnych świąt Bożego Narodzenia
i szczęśliwego nowego roku składam

Redakcja „Kwartalnika Artystycznego”



Fot. Sławomir Kamiński

Wisława Szymborska
Pierwsza miłość

Mówią,
że pierwsza miłość najważniejsza.
To bardzo romantyczny
ale nie mój przypadek.

Coś między nami było i nie było
działo się i podziało.

Nie drżą mi ręce,
kiedy natrafiam na drobne pamiątki
i zwitek listów przewiązanych sznurkiem
– żeby chociaż wstążeczką.

Nasze jedyne spotkanie po latach
to rozmowa dwóch krzeseł
przy zimnym stoliku.

Inne miłości
głęboko do tej pory oddychają we mnie.
Tej brak tchu, żeby westchnąć.

A jednak właśnie taka, jaka jest,
potrafi, czego tamte nie potrafią jeszcze:
niepamiętana,
nie śniąca się nawet
oswaja mnie ze śmiercią.

Bagaż powrotny

Kwatera małych grobów na cmentarzu.
My, długożyjący mijamy ją chyłkiem,
jak mijają bogacze dzielnicę nędzarzy.

Tu leżą Zosia, Jacek i Dominik
przedwcześnie odebrani słońcu, księżycowi,
obrotom roku, chmurom.

Niewiele uciułali w bagażu powrotnym.
Strzępki widoków
w liczbie nie za bardzo mnogiej.
Garstkę powietrza z przelatującym motylem.
Łyzeczkę gorzkiej wiedzy o smaku lekarstwa.

Drobne nieposłuszeństwa,
w tym któreś może śmiertelne.
Wesołą pogoń za piłką po szosie.
Szczęście ślizgania się po kruchym lodzie.

Ten tam i tamta obok i ci z brzegu:
zanim zdążyli dorosnąć do klamki,
zepsuć zegarek,
rozbić pierwszą szybę.

Małgorzatka, lat cztery,
z czego dwa na leżać i patrzeć w sufit.

Rafałek: do lat pięciu brakło mu miesiąca,
a Zuzi świąt zimowych
z mgiełką oddechu na mrozie.

Co dopiero powiedzieć o jednym dniu życia,
o minucie, sekundzie:
ciemność i błysk żarówki i znów ciemność?

KOSMOS MAKRÓS
CHRONOS PARÁDOKSOS
Tylko kamienna greka ma na to wyrazy.

Wisława Szymborska



Fot. Elżbieta Lewińska

Czesław Miłosz Druga Przestrzeń

Jakie przestronne niebiańskie pokoje!
Wstępowanie do nich po stopniach z powietrza.
Nad obłokami rajskie wiszące ogrody.

Dusza odrywa się od ciała i szybuje,
Pamięta, że jest wysokość
I jest niskość.

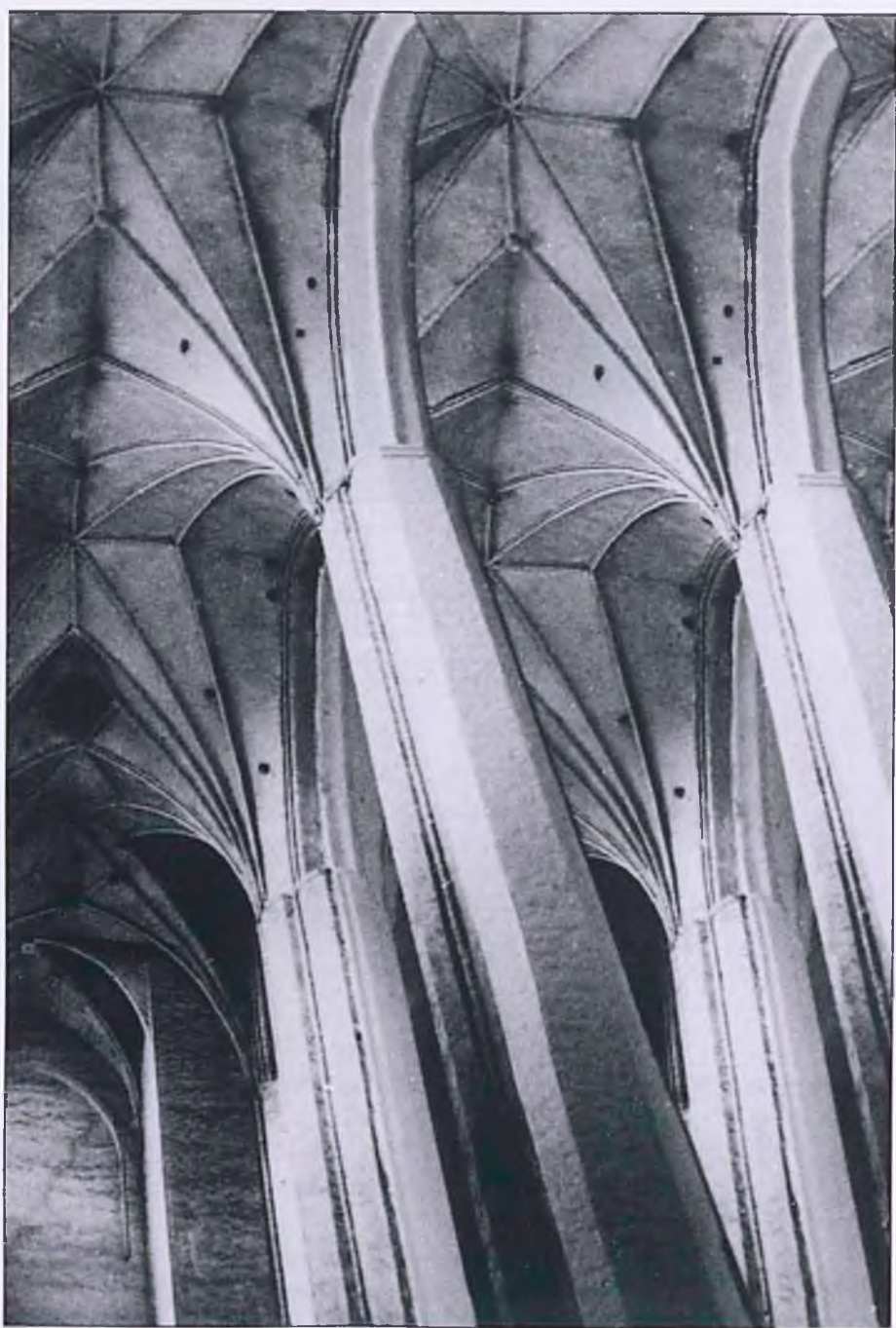
Czy naprawdę zgubiliśmy wiarę w Drugą Przestrzeń?
I znikło, przypadło i Niebo i Piekło?

Bez łąk pozaziemskich jak spotkać Zbawienie?
Gdzie znajdzie sobie siedzibę związek potępionych?

Plączmy, lamentujmy po wielkiej utracie.
Porysujmy węglem twarz, rozpuszczajmy włosy.

Błagajmy, niech nam będzie wrócona
Druga Przestrzeń.

Czesław Miłosz



Toruń, Katedra świętych Janów, collage



Fot. Aleksander Jatosiński

Kazimierz Wyka

Pesymizm a odbudowa człowieka (2)

III

Na podstawie ostatnich przesłanek powróćmy obecnie do chorób dzisiejszości. Doszliśmy na razie do dwóch niewątpliwych wniosków: stwierdziliśmy najpierw, nie kusząc się zrazu o szukanie wyjaśniających przyczyn, że czasy przeżywane dostarczają takiego materiału pesymistycznemu spojrzeniu na świat i człowieka, iż zdawałoby się spojrzenie takie powinno zajmować jedno z pierwszych miejsc w duchowości epoki. Tymczasem przeciwnie – pesymizmu dziś ani śladu. Stwierdziliśmy dalej, że z dwóch zasadniczych formacji pesymizmu, oskarżenie obiektywnego porządku rzeczywistości nie jest znamieniem istotnego pesymizmu, ale jedynie świadectwem antropocentrycznej pychy. Spróbujmy teraz połączyć te dwa niewątpliwe wnioski i ukazać, o ile wniosek drugi tłumaczy nie tylko błędność pesymizmu *à la* Schopenhauer, ale również brak jakiegokolwiek formy tego stanowiska w duchowości dzisiejszej.

Doktryny, które w latach chaosu podjęły się zbawienia świata, posiadały pozornie bardzo odmienne cele ostateczne, ale ich ukryty i wspólny punkt wyjścia jest ten sam. Jest nim mianowicie nadal duma antropocentryczna

o pewnej sobie i optymistycznej barwie. Dochodzą te kierunki do absolutnie się nie uznających ideałów i konkretnych wskazań odbudowy świata, ale gdyby cofać się ku pierwszym podstawom tych prądów, okazałoby się, że wszędzie pierwszą i dyskusji nie podlegającą bazą jest wiara, że człowiek sam, bez przebudowy swojej natury, bez wprowadzania w nią wartościowania moralnego, bez wyłączenia z jego duszy pewnych pierwiastków, ale jako całość sama w sobie dobra, zdolny jest zaprowadzić ład w świecie.

Twierdzenie takie daje się uzasadnić na dwóch najbardziej sobie przeciwnych stanowiskach duchowych. Liberalizm i totalizm. Naturalnie obydwa nie w znaczeniu doktryn politycznych, ale całych poglądów na świat. Liberalizm jako dziedzic racjonalizmu sprzed rewolucji francuskiej i dziedzic mieszczańskiego liberalizmu zeszłego stulecia. Totalizm jako prąd cały wyteżony w przyszłość i oparty o zupełną reakcję przeciw liberalnemu pojmowaniu miejsca człowieka w społeczeństwie. Przedstawiciel świata, który w całości rzekomo ginie i przedstawiciel świata, który w całości rzekomo zupełnie odmiennej powstaje.

Nierzadkie jest zdanie, że różnica pomiędzy totalistycznym spojrzeniem na wartość człowieka a spojrzeniem liberalno-demokratycznym jest ta, że dla totalistów jest człowiek istotą z gruntu złą, zwierzęcą, nad którą przeto można dokonywać wszelkich zbrodni, trzymać w niewolnictwie, ponieważ w duszy ludzkiej nie ma żadnych dodatnich dyspozycji ani odblasku wyższego dobra, tak że człowiek z natury swojej nie zasługuje na lepszy los. Natomiast według tego typu mniemania dla demokratów i liberałów człowiek jest stworzeniem dobrym, obdarzonym całą mnogością cnót i utajonych przymiotów, tak że wystarczy człowiekowi dać wolność, ażeby te cnoty rozkwitnęły w pełni i dlatego to wolność jest przyrodzonym stanem człowieka, ponieważ w jej promieniach swobodny kwiat człowieczeństwa ujawnia się bez skazy. Walka obecna ma być sporem śmiertelnym między tymi dwoma zasadami, a zwycięstwo wolności ma stanowić tryumf dobra w człowieku.

Całe to ujęcie jest jednak nieprawdziwe; nieprawda, jakoby wolność ujawniała w człowieku anioła; nieprawda, jakoby totalizm widział w człowieku jedynie bestię, którą należy ujarzmić i upodlić. U podstawy totalizmu nie spoczywa to, że człowiek jest zły, u podstawy liberalizmu, że jest dobry. Raczej przeciwnie, gdyby się opierać przy tym przeciwstawieniu: to dla totalizmu człowiek jako całość, jego wszystkie instynkty najsłabsze, porywy, utajenia, jest czymś dobrym, bo totalizm żadnemu z tych utajeń nie nakłada więzów. Człowiek lubi niszczyć, ale się wstydzi – totalizm ośmiela; chciałby nienawidzić i narzucać przemoc, ale nie jest pewny skuteczności nienawiści – totalizm go przekonuje; niechętnym strachem napa-

wa przeciętną duszyczkę przecucie odpowiedzialności religijnej, ale nie śmie tego głosu stłumić – totalizm nakazuje stłumić i uczy, że nie ma w tym obrazy człowieczeństwa; człowiekowi miłosierdzie i poświęcenie łatwo nie przychodzą, bo łamią się z niewyrozumieniem i egoizmem osobniczym – totalizm odkrywa, że niewyrozumienie jest prawdą a zejście w cudze cierpienie słabością; nawet takie instynkty, jak swoboda seksualna, byle nie naruszała ona przekonania o niższości kobiety, zostają uznane i wyzyskiwane, a zapowiadana surowość erotyczna doktryn chaosu jest pospolitą bujną. Zaiste, nie ma w człowieku wstydliwego zakamarka, któremu by totalizm nie pozwalał wyjść na światło, a kto pozwala ujawniać, ten rzeczom utajonym nadaje prawa dobra. Totalizm całe zwierzę i dzikość w człowieku podnosi do poziomu dobra, ponieważ dla celów doraźnych ta dzikość jest skuteczniejsza i bardziej dynamiczna, niż człowiek opanowany, rządzący sobą prawdziwie.

Prawda jest więc odmienna. Nie błędna hipoteza o człowieku jako stworzeniu całkowicie złym mieści się w fundamencie totalizmu, ale człowiek całkowicie obnażony, któremu wszelkie hamulce pozwolono odrzucić, jest takim naprawdę, jakim się odsłonił w prądach tego gatunku. Wobec tego stosunek do liberalizmu musi być pojęty inaczej: totalizm wyciągnął ostateczne i śmiałe konsekwencje z pojmowania człowieka, które u tych obydwu skłóconych potomków tej samej zasady jest właściwie identyczne. Totaliści są tylko śmielsi, ponieważ widząc naturę ludzką jako dobrą, zakres tej hipotezy tak rozszerzają, jak tego nigdy nie śmieli liberałowie.

Tylko dwie siły, panując nad człowiekiem, przytłumiają w nim zło: praca religii i praca kultury. Wymaż w duszy ludzkiej zapasy tych dwóch sił, otrzymasz człowieka wymarzonego i wytwarzanego przez totalistów. A pierwszy wymazał te prace liberalizm i racjonalizm oświecenia: on to zbuntowany przeciw jednej tylko, feudalno-szlacheckiej formie kultury, bezprawnie osądził, że wszelka kultura okrawa człowieka – on to, wznieiony przeciw religii sprzęgniętej z tą zwalczaną formą kultury, uznał, że człowiek może odrzucić instytucje wiary wieków i ubóstwić tę resztę niepokoju, przecucia metafizycznego, która w nim pozostanie. Hipoteza, że człowiek sam w sobie, jako nagi gatunek, jest dobry, została wprowadzona przez dzisiejszych wrogów totalizmu. Pierwszym, dalekim winowajcą jest więc дума racjonalistyczna. Ta pierwsza hipoteza optymistyczna została rzucona w czasach i wśród narodów, gdzie siły kultury były jednak tak mocne, a zaciętość codziennej walki ludzkiej nie była tak uparta, ażeby błędność przypuszczenia od razu się ujawniła. Dzisiaj, w innych okolicznościach, ujawnia się najdokładniej. Totaliści nic nie wynaleźli nowego: tak samo odsunęli moce religii i moce kultury. Odrzucając je, tak samo

powiedzieli, że cały zakres duszy ludzkiej jest dobry, a jeżeli gnębią, katuszą, trzymają w niewolnictwie i hańbie, to nie ażeby jakieś zarody zła wypędzić, lecz z tego powodu, że odkryli, śmiałkowie, w ludziach władzę gnęбления, znęcania się, niewolnictwa i czynią z niej użytek. Nie wstydzą się swoich odkryć, ale się nimi wysługują. Powiadanie, że totaliści trzymają w niewoli, ponieważ obawiają się, iż człowiek wolny zaprzeczyłby ich rzekomemu pesymizmowi etycznemu i zablęsnął przyrodzoną światłością, nie ma najmniejszego sensu. Postępują tak, albowiem znają człowieka lepiej od optymistycznych racjonalistów.

Dlatego zwycięstwo tego jedynie racjonalistycznego optymizmu, za którym w kulturze wieku nie poszłoby zrozumienie ukrytego powinowactwa i ukrytej winy tego optymizmu, byłoby bardzo częstkową nadzieją i poprawą. Któż zaręczy, że od innej strony ten lekkomyślny optymizm znów nie zawiedzie, że znów nie wyciągną z niego zbrodniarze pomocy – ze stanowiska konsekwencji logicznej pomocy słusznej, niewstrzymanej. Bo skoro człowiek jest dobry i skoro nie ma sankcji poza jego dobrowolnym (i omylnym) rozeznaniem, to dlaczego okrucieństwo dla kogoś, kto zechce w nim sobie upodobać, nie ma być wartością? Dlaczego przemoc nie? Dlaczego łupiestwo, cynizm nie? Optymizm etyczny nie daje żadnych narzędzi walki i obywatelstwa.

I ci wszyscy, którzy w wieku minionym walczyli zaciekle o dobroć natury ludzkiej, którzy dowodzili, że to jedynie tyrańskie i samowolne formy rządów tłumią przyrodzoną czystość człowieka, a niech padną te formy, a rozplonie jego czystość, ci wszyscy, gdyby ich z grobów powołać na oglądanie swojego dzieła, zdumieliby się bardziej, niż my, już oswojeni, że nie ma gorszej tyranii, jak człowieka „równego” nad drugim człowiekiem „równym”, jak narodu „ludowego” nad drugim narodem. Zdumieliby się przede wszystkim nad tym zimnym usystematyzowaniem bestii ludzkiej, nad nihilistycznym i obojętnym utylitaryzmem w posługiwaniu się tą bestią przez doktryny chaosu. Nieraz już wprawdzie w chwilach wybuchów rewolucyjnych ta rzekoma dobroć gatunkowa ujawniała swe odmienne oblicze, ale dawało się to usprawiedliwić wyjątkowością takich chwil. Dopiero lata międzywojenne i obecne uczyniły z tej bestialskiej samotności prawo, obojętny paragraf, dopiero one ją eksploatują z nieludzką celowością. I w tym dopiero systematycznym, beznamiętnym urzędowaniu zbiorowości ta samotność otworzyła nam przedśrodek piekła.

Analiza liberalizmu i totalizmu doprowadza więc do głównej grupy powodów, dla której duchowości obecnej całkiem nie stać na pesymizm. Powód jest nadal ten sam – romantyczny antropocentryzm, odnaleziony już u podstawy systemu Schopenhauera. Rozszedł się ten zalew szeroką falą

pod fundamentami doktryn społecznych dzisiejszości i sprawia, że nie umie się dzisiaj odszukać właściwego lekarstwa dla powszechnej choroby. Ale oprócz tych przyczyn zasadniczych działały jeszcze dalsze.

Ten antropocentryzm potrzebował specjalnej uprawy, by dojść do obecnego rozkrzewienia. Całą tę uprawę stworzył wiek dziewiętnasty. Jej imię to kult postępu. Kult postępu, choć zdemaskowany przez umysły bardziej przenikliwe, stał się w masach coraz obojętniejszych religijnie namiastką doskonalenia się moralnego, namiastką jednakże doskonale odpowiadającą człowiekowi, któremu wmówiono, że jego dobro nie potrzebuje żadnego wsparcia. Ten kult nie domaga się osobistego, niezastąpionego udziału, ale dzieje się przez jakiś szczęśliwy bieg tego, że nikt specjalnie ku postępowi się nie przyczynia, tylko sam on wyłania się nie wiadomo skąd. „Wiara w postęp jest doktryną leniuchów. Jest to oglądanie się jednostki na drugich, by za nią wykonali pracę.” – pisał Baudelaire.

Automatyzm i optymizm postępu posiadał wszakże pewne uzasadnienia, które nie są koniunkturalne i pozwalają niejedno wybaczyć. Podstawą tego optymizmu był ów niewątpliwie cudowny rozwój opanowywania sił przyrody przez człowieka, sił przyrody poza nim i w nim samym, w jego ciele, chorobach, ten rozwój niżej którego ludzkość chyba nie zejdzie. Trudno się dziwić epoce olśnionej swoją pomysłowością, że niechętnie przyjmowała to, co w ocenie człowieka wydawało się pozostałością dogmatyzmu z czasów nieporadności *homo faber*. I dzięki temu sprawność bytującego w nas *homo faber* została nieprawnie poszerzona na całego *homo sapiens* i wydawało się, że te pojęcia pokrywają się, wytwarzając między sobą plaster optymizmu. Ale dziś olśnienie minęło i czas wiedzieć, że rzemieślnicza sprawność człowieka, choćby wymagała wkładu wiadomości, niedostępnego dawniej nawet geniuszom, nie jest sprawnością całej osobowości ludzkiej, a cóż dopiero jej wytworu najtrudniejszego – natury moralnej człowieka.

Kult postępu znalazł niespodziewanego sprzymierzeńca w stanowisku instytucji, która z natury swego powołania winna była stać jak najdalej od tego zdradliwego optymizmu. To Kościół. Kościół katolicki posiada w swoim ogólnochrześcijańskim, starszym od schizmy wschodniej i od protestantyzmu, dziedzictwie wspaniałe przykłady pesymizmu wobec człowieka. Z drugiej strony Kościół z wieloma herezjami się rozstał, ponieważ nie godził się z ich przesadnym pesymizmem, poddającym w wątpliwość skuteczność łaski, ale potępiając, sam od czasów Odrodzenia nie podał żadnej nowej, wcielającej się w kulturę religijną i powszechną ludzkości, doktryny czy choćby wielkiej postaci, zgodnej z katolicyzmem, a ukazującej do jakich granic dopuszczalny jest pesymizm i ile jest w nim niezastąpionej prawdy etycznej.

Nie znaczy to, by nauka o grzechu pierwotnym została wyparta z katolicyzmu, by coś się zmieniło w samej odwiecznej budowli widzenia natury ludzkiej przez Kościół. Z takimi budowlami jest jednak podobnie, jak z katedrami gotyckimi w świetle reflektorów: nie oświetlisz wieży, nie przestała wprawdzie istnieć, ale wydaje się że jej nie ma i ktoś, kto o innej porze nie zna katedry, będzie usprawiedliwiony w swoim złudzeniu. Tak i światło czasów zmienia budowlę Kościoła. Kto by przeto w postępowaniu Kościoła od czasów średniowiecza szukał istniejącego w doktrynie fundamentu skażenia, ten z trudem go odnajdzie. Ten optymizm wobec człowieka, który od Odrodzenia trwa nieprzerwanie, sięgnął również w praktykę jedyne dziedzica pesymizmu co do człowieka. Kościół był wówczas tak atakowany przez pierwszy rozmach ludzkiego optymizmu, tak nadwyrężony rozłamami protestanckimi, które wzięły w swoje władanie pesymizm wobec człowieka w kształcie nie dającym się absolutnie pogodzić z wolną wolą i odkupieniem, średniowiecze zwyrodniałe, przeżywające się już tylko w pseudopojęciowym werbalizmie tak niepopularne i równocześnie nietwórcze, jeśli je zestawiać z pierwszymi zdobyczami racjonalizmu i nauk doświadczalnych, iż nie trzeba się gorszyć, że Kościół milcząco szedł na pewne ustępstwa dla ducha nowych czasów, byle one nie naruszały ciała doktryny katolickiej. Najjaszkawiej było w sporze o kazuistykę jezuitów, o kompromisową moralność. Skończyło się fatalnie dla samej wiary: pesymizm wzięty w ręce przez ludzi areligijnych, później pesymizm deterministów i materialistów oczernił dany przez Boga ład świata. Natura ludzka, ta, na którą pisarze i myśliciele katoliccy winni byli przesunąć zagadnienie, pozostała zapuszczona i dzika, a argumenty przeciwko pesymizmowi materialistycznemu były rozpaczliwie banalne i odpustowe. Nie znalazł się żaden mąż, który by uderzył w głowę pychy, plasterkami oklejano urojone rany porządku świata.

Najlepszy przykład takiego ustępstwa przez oświecenie czasów to problem piekła i potępienia wiecznego. Ostatnia epoka ludzkości, dla której piekło było czymś rzeczywistym i przeżywanym naprawdę, było średniowiecze. Potęga Kościoła w tej epoce bez oczywistości tego przeżycia jest nie do pomyślenia, zwłaszcza świecka, światowa strona tej potęgi. Siła tej instancji metafizycznej była tak niesamowita, że dla dzisiejszego czytelnika *Boskiej Komедii* Dantego *Piekło* jest najbardziej realne i nieodparte.

Pewnie, że dzisiejszemu człowiekowi trudno tę zasadę potępienia przeżyć całkowicie, ale nie sądzę, by w twierdzeniu, że człowiek może popełnić takie winy i grzechy, że raz na zawsze przesądzi ujemnie o swojej egzystencji metafizycznej, były większe przeskoki myślowe, aniżeli w łańcuchu twierdzenia, że kamień, głowa filozofa i planeta są zasadniczo czymś tym samym, jednorodnym, a jeszcze niedawno, w okresie monizmu naukowego, taka wiara nie spr-

wiała ludziom trudności. Mnie przynajmniej zależność pierwsza wydaje się bez porównania bardziej oczywista, jak bardziej oczywiste są w ogóle i bardziej sprawdzalne związki etyczne, aniżeli rzekoma dowodność oparta na hipotezie, która dopiero szuka sprawdzenia. I nie ułomnością, nie zabobonną surowością tłumaczy się dzisiaj przeważnie niepojęty i aż tak sięgający związek winy i kary, ale po prostu niedostatkiem wyobraźni moralnej człowieka dzisiejszego.

W ciągu następnych po średniowieczu stuleci nic ze wspólnej własności chrześcijaństwa tak się nie zdyskredytowało, nie zostało w tak bezwzględny sposób odrzucone, albo przeprowadzone we wstydlivy zaulek, do którego poznających naukę wprowadza się na ostatku, jak możliwość wiecznego potępienia. Diabeł po gruntownym ośmieszeniu go przez zabobony i stulecia, kiedy po zatraceniu istoty sprawy epigoni średniowiecza bawili się w „młoty na czarownice” i palili na stosie psychopatki, po takiej uprawie diabeł niewiele więcej miejsca zajmuje nawet w wyobraźni religijnej, jak to, co mu przypada w jasełkach i przy św. Mikołaju. Ludzie inni zaś najbardziej z nauk Kościoła nie mogli pojąć potępienia. Ileż stron i wywodów poświęcił pisarz tej wzniosłości i tego zrozumienia dla religii, co Jean Marie Guyau, by dowieść, że Najwyższy i Najmocniejszy nie może przecie karać, bo to by się sprzeciwiało jego wszechmocy i dobroci. A Schopenhauer właśnie za *Piektło* usuwał *Boską Komedię* z rzędu arcydzieł ludzkości.

Kościół niewątpliwie zabrania uroczyście, uchwałami soborów, przesądzać ludziom, czy ktoś jest zbawiony czy potępiony. Ewangeliści znają tylko jeden grzech, który nigdy nie będzie odpuszczony: „błuznierstwo Ducha”, grzech przeciwko Duchowi Świętemu. Przy wszelkich nawet poszlakach, które na ludzki rozum wydają się nieodparte, powiada Kościół, że łaska jest mędrsza od naszego rozumu, że zna niedostępne nikomu na ziemi poruszenia duszy, akty wewnętrzne i może przeto zbawić, choćbyśmy my ludzie nie wiedzieli tego i nie wiedzieli dlaczego. W ten sposób dla dobra waruje prawo wszechmocy, pozwala zepchnąć zło stamtąd nawet, gdzie zdawało się ono nienaruszone, a rozumowi ludzkiemu nakazuje pokorę i ostrzeżenie, by niczego nie przesądzał w swojej ułomności. Ale aż takie ograniczenie przenikliwości ziemskiej nie oznacza wszakże, ażeby w systemie metafizycznym Kościoła piektło było pojęciem, które jako rzeczywistość nigdy nie wystąpiło lub nie wystąpi; potępienie, chociażby nikt dotąd nie został potępiony, chociażby miało dotyczyć na Sądzie Ostatecznym jakiejś tylko znikomej garstki, nie mierzy się miarą głosowania, większości. Wystarczy jeden potępiony na całą ludzkość, a już to znaczy, że aż tak złą być może natura ludzka, iż Bóg może się skazać na ograniczenie swej dobroci, iż nie przyjmie jej do siebie, albowiem miarą tu jest jakość metafizyczna człowieka. A skoro tak, piektło nie jest przypuszczeniem czy groźbą, lecz rzeczywistością, ponieważ w bycie

rzeczywistością jest wszystko, co według zasad wewnętrznych danego bytu może się w nim pomieścić. I znów nie twierdzi się, by Kościół z tej części swej nauki zrezygnował. On jej tylko nie podkreślał i w tym szedł na rękę optymistycznym czasom, w tym świadczył, że mimo woli uczestniczy w tragedii człowieka wszechdobrego i pozwala mu w całości przebyć tę próbę.

Skoro sam Kościół tak przyciszał pesymistyczną stronę swej nauki, nic dziwnego, że nikt się nie znalazł, kto by mógł rzucić rękawicę optymistycznemu kultowi człowieka. Taka zaś ze zbiegu tych rozmaitych oddziaływań wyniknęła sytuacja, że pozostawiona sobie natura ludzka zwyrodniała, a odczynu pesymizmu nikt nie umiał podać. Bo wszyscy – od optymizmu demokratycznej równości, od olśniewającego postępu materialnego po niezadowolenie człowieka z porządku świata i po ciche wspólnictwo religii stojącej w pozycji obronnej, jakby się zmówili, by się nie pytać, czym jest moralnie natura ludzka, jak jej jakość moralna wiąże się z porządkiem świata, czy wszystko w tej naturze może być podniesione do godności dobra, czy zło nie wszczęło się właśnie w nią najmocniej?

I dlatego chaosowi dzisiejszemu – akt ostatni tragedii rozpoczętej wraz z Odrodzeniem – brakuje pesymizmu. Widzimy, że nie jest to jego winą, że nie ten chaos dopiero wywołał brak pesymizmu, ale przeciwnie: właśnie ten chaos, oprócz innych przyczyn, które nie wchodzą w nasz kąt patrzenia, spowodowany został niedostatkiem prawdziwej struktury pesymizmu, i chaos cierpi, i my cierpimy podwójnie, bo nie pozostawiono nam tego lekarstwa.

Nie sądzę jednak, ażeby tej zamykającej się ewolucji można było wcześniej zapobiec i by wobec tego jej krytyka obecna miała być jakimś powrotem do źródeł, do zapomnianych wątków. Wielkie prawdy wcielają się jedynie przez wielkie przesady. „Cały pochod historii nie jest wyrównywaniem się krańcowości, lecz raczej powolną wędrówką od jednej krańcowości do drugiej i na odwrót.” (Hebbel). Człowiek zbiorowy póty się nie nauczy skutków swoich doktryn i idei, póki zawartych w nich możliwości nie wyczerpie do dna. Nauka w połowie wstrzymana niczego nie uczy, przesada jest lekarstwem. Postęp i demokratyczno-optymistyczna wiara w człowieka, gdyby pozostały tylko w swoich połowicznych wcieleniach, gdyby np. współżyły z autorytetem religijnym czy nawet monarchicznym autorytetem politycznym, to chociażby takie współżycie było najbardziej uzgodnione, zawsze znalazłyby proroków głoszących, że jest źle, bo te doktryny nie mogły się wypełnić i wyżyć całkowicie. I póty by kołatali do bram rzeczywistości, aż by ta pozwoliła odegrać ewolucję do ostatecznej konsekwencji.

Dlatego późniejsze nawoływania i pouczenia, że w jakimś miejscu można było jeszcze „nawrócić”, naprawić wszystko i obesłoby się bez fatalnych powikłań, przypominają nauki dawane tragicownikowi, że jeszcze w trzecim akcie

można było akcją pokierować inaczej, ku pomyślnemu rozwiązaniu, a tragiczność jest tylko błędnym poprowadzeniem zdarzeń. Bo świat i w tym sensie jest tragiczny, że nie zna oczyszczenia póki nie wyczerpie się konflikt i nie padną bohaterowie. A tragedia przerwana domagać się będzie kontynuacji i nie przyniesie wyzwolenia. Kiedy zaś konflikt w całości został odegrany, wówczas dopiero można zaczynać od nowego punktu zaczepienia i wówczas trzeba, musi się być nieustępliwym i nie dopuścić do odgrywania zamkniętej już próby. Taka jest chwila dzisiejsza: cały już konflikt tragiczny, narodzony z hipotezy o zupełnym dobru natury ludzkiej, mamy za sobą, zaczynamy od nowa, ale nie mówmy, że gdzieś tam z dogrywającej się przed nami tragedii, z jej ostatnich krwawych ciosów mogła być jeszcze – komedia.

IV

Określiwszy powody braku pesymizmu w duchowości obecnej, pora podać własne wnioski twierdzenia na temat pesymizmu i tego, co z tej postawy przydać się musi w odbudowie człowieka i świata. Bo jedno jest pewne i od razu musi być podkreślone. Jak stulecie dziewiętnaste było po prostu wiekiem jakiegoś wyścigu demaskatorstw, jak z małpią złośliwością demaskowało wszystko, co ze świata wartości było w człowieku i kulturze, wszystko od religii, od ideologii po najprostszą miłość rodzicielską, jak to stulecie było czasem kruszenia, tak obecnie muszą nadejść czasy nowej budowy, jeżeli nie mamy zginać wśród rozbitych i rozkręconych motorów, które przeprowadzały dotąd człowieka ponad zasadzkami jego lichej natury. Minione dwudziestolecie chaosu było jak potworne ostrzeżenie: nie żałujemy, że zapadło bezpowrotnie i Opatrzności możemy być za nie wdzięczni jak za lata przebyte w czyścicu. Wśród zdemaskowanych, rozrzuconych wartości powstał tryumfujący Wielki Cham; najprzenikliwsze mózgi XIX wieku podały mu narzędzia rozstroju i zaiste wszystko mógł podkopać i obezwładnić moralnie.

Tworzyć trzeba na nowo, ustalić porządek moralny duszy ludzkiej i porządek współzycia zbiorowego. Dalekie subtelnosci, dalekie niezgodności systemów, rozwikływania sprzeczności, siekania, kategorie, podkategorie, klasy, podklasy – nie! Obraz mędrców hodujących kwiatki w doniczkach na najwyższym piętrze, podczas gdy pod fundamenty założyli bandyci dynamit. Fundamenty trzeba ratować!

Ta niecierpliwosć pytań wyłącznie o człowieka, to pewne pomijanie skutków etycznych, mogących wyniknąć z takiego czy innego poglądu na fizyczny obraz świata, jest może aktualną przesadą, ale doprawdy nie sposób postępować inaczej dzisiaj, kiedy rozwarła się tak szeroko przepaść

grożąca całej budowie kultury: z jednej strony wysubtelnienie narzędzi poznawczych i powikłana, trudna precyzja teorii objaśniających naukowo rzeczywistość pozaludzką, precyzja tak niedościgła, że nawet umysły humanistyczne za nią nie nadążają, z drugiej zaś w sposobach współzycia ludzkiego, w ideach kierowniczych zło i chamstwo jeszcze bardziej schodzące niżej przeciętnej ludzkiej, aniżeli tamte teorie wybiegają ponad nią. Niewątpliwie że z tego, czy naturę fizyczną świata pojmujemy deterministycznie czy indeterministycznie nie wynikają bezpośrednio skutki moralne dotyczące człowieka, ale dzisiaj widzimy obraz inny: cóż że zdanie najmądrszych o wszechświecie jest coraz słuszniejsze, dalekie od materialistycznych przesądów, kiedy zadepczą je, fizycznie zamordują.

Za wielki jest rozmiar przeciwieństw, od takiego napięcia kontrastów i sprzeczności ginęły cywilizacje, czas przeto i zadanie najpilniejsze naprawić to skrzydło naszej doby, które grzęźnie w ohydzie i barbarzyństwie. Dogmatyzm tępoty, któremu ulegają narody dzisiaj, nie z niedostatku możliwych narzędzi i teorii poznawczych powstaje, ale ostrość wzroku zaćmiewa narodom trucizna wytworzona z błędnych idei kierowniczych czysto ludzkich. Błędne widzenie natury naszej i obowiązków wzajemnych nie pozwala w ogóle dojrzeć prawdziwego obrazu całej rzeczywistości i powstaje paradoksalne zjawisko, że człowiek dzisiejszy, mogąc doskonale orientować się w rzeczywistości pozaludzkiej, ulega barbarzyństwu i ośpieniu wobec niej, nie dlatego, by mu brakowało środków poznawania tej rzeczywistości, lecz z tej przyczyny, że ślepotą moralną wobec samego siebie rozprzestrzenia się w nim na wszystko, co go otacza. I dlatego najważniejsze jest to, co dotyczy człowieka w nim samym i we współzyciu z drugimi, bo kiedy ta prawda ginie, nic się nie ostaje, a za odbudową tutaj – ład u nabiera cały wszechświat. Raz jeszcze – jest to zapewne jedynie dokuczliwość aktualności, dokuczliwość doby zrównania i przełomu, kiedy fale przyływu powstają najwyżej i zdają się grozić śmiercią ludowi, ale ktoś kto by postawiony na brzegu oceanu, tylko taką noc wielkiego przyływu widział a innego oceanu nie znalazł, snadnie pomyśli, że parę jeszcze takich nocy, a zginie ład. Przyływ zła musi opaść, ocaleją lądy, ale trzeba wołać w taką noc.

Wobec tego jasne jest, że w nadchodzącej odbudowie ten jedynie typ pesymizmu może się stać przydatny, który dotyczy natury ludzkiej. Argumentów przeciwko pesymizmowi dotyczącemu świata pozaludzkiego nie będę powtarzać. Nie dlatego, by słuszny się wydawał zupełny zachwyt nad porządkiem świata, nad jego precyzją i celowością, zachwyt podobny temu, co go głosił św. Augustyn. Dlatego zaś po prostu, że nie jest dla człowieka potrzebne ani możliwe wartościować moralnie pozaludzki porządek świata. Czy wszechświat jako całość jest najlepszy czy też najgorszy

– nie wiemy, nie możemy wiedzieć. Każda ludzka ocena jest tu tylko pewną naukową (mniej lub więcej) teorią porządku świata, teorią, która ledwo że poradziła sobie z materiałem od niej szerszym, w każdej chwili grożącym potrzebą zmian w teorii, a rości sobie pretensje do wartościowania tego, co ledwo że obejmuje. Jeżeli tylko inną drogą, poprzez duszę ludzką doszukamy się Boga, wówczas możemy rzec spokojnie, że On wie dobrze jaki jest ład wszechrzeczy i na Jego wiedzę możemy się zdać spokojnie, sami powtarzając tyle co Pascal, bo więcej wiedzieć nie możemy: „Natura posiada doskonałości, dla okazania, że jest obrazem Boga; i błędy, dla okazania, że jest tylko Jego obrazem.”

Jedyną areną pesymizmu, po której możemy się spokojnie poruszać, jest więc natura moralna człowieka indywidualnego i zbiorowego. W tej naturze zasadą pesymizmu jest świadomość nieuchronnej niedoskonałości i skażenia. Czym to przekonanie daje się uzasadnić? Pomijam na razie dowód chrześcijański, albowiem wydaje się on formą poczucia szerszego, które niekoniecznie musi się uwidaczniać w tym chrześcijańskim wyglądzie.

Pesymizm wobec człowieka jest formą pewnej oczywistości moralnej, jest formą zdumienia domagającego się metafizycznych wyjaśnień na widok tego, co człowiek jest zdolny zrozumieć, wyobrazić sobie, nieraz od drugich wymagać, a tego co sam czyni – i jako jednostka, i jako zbiorowość. Równą bowiem rzeczywistością świata ludzkiego jest istnienie idei moralnych i idei ładu (piękno jako idea ładu), wyniosłych, wspanialszych od wszystkiego, co człowiek zdołał w swoich dziejach urzeczywistnić, jak tą rzeczywistością jest krucha, stale zawodna ich realizacja. Ta dwoistość doskonałości przeczowanej i skażenia wykonywanego jest drogowskazem niezmiennych losów człowieka. Znamy, przeczujemy, wiemy, czym jest prawda, dobro, miłość, miłosierdzie i jest rzeczą zaiste niepojętą, jak po setkach wieków działania ludzkiego jeszcze te siły idealne i wciągające w siebie człowieka, istnieją i działają, jakby nie zaprzeczało im wszystko w tym działaniu ludzkim. Ta dwoistość słowami apostoła (św. Jana): „Wiemy, iż z Boga jesteśmy, a świat wszystek we złem leży.” Słowami ludzkimi (Kraśiński do Gaszyńskiego): „Na tej ziemi nigdzie ideałów nie ma, są tylko one w sercu naszym jako przecucia, i w niebie jako rzeczywistość, ludzkie zaś życie oddane analizie potu i krwi.” To zmącenie odbłasku prawdy, dostępnego wyobraźni moralnej człowieka, nie może być, rzecz oczywista, winą samej prawdy, chyba że całą jej moc uznamy za złudzenie: nie ma gorszego poniżenia człowieka: Winnym' zmącenia jest przeto zwierciadło ludzkie, które nie umie w rzeczywistość przemienić całej doskonałości, bardziej człowiekowi dostępnej w jego wyobraźni moralnej, niż w czynie. To zwierciadło jest ograniczone, skrzywione.

Osnową takiej oczywistości moralnej jako dowodu na pesymizm jest więc pogłos platońskiej dwoistości idei i rzeczywistości, sprowadzony przede wszystkim do zagadnień etycznych. Ta oczywistość tak się narzuca, tak jest nieodparta i na każdym kroku ludzkiego postępowania widoczna, że od niej wychodząc, musimy przyjąć, że stanowi ona znamię prawdy szerszej i nie przez człowieka podanej. Inaczej absolutnie nie sposób byłoby pojąć, dlaczego człowiek, który zawsze jest niedoskonały, posiada jednak stale przecucie nieskazitelności i ku niej tęskni. Skoro sam z siebie nie zna prawie niczego i nie jest zdolny prawie niczego stworzyć (to „prawie” jest nawiasem uczynionym dla sztuki), co by nie było naznaczone zmasą niedoskonałości, gdzież mu posiadać w sobie i w swoich wytworach unoszący go obraz? A jednak coś go podrywa, coś nie daje spokoju i ten jest najbardziej człowiekiem, w kim najgłośniej huczy ów głos niezadowolenia, niepokoju, porywu nie chcącego sobie nakładać granic. Dusza zamiera, kiedy kamienieje, kiedy się zrasta ku wnętrzu i kiedy, jak pod sklepieniem, które by zwierzało swoje łuki i zrosło się nareszcie, nie odezwie się już echo tego głosu.

„Pożądamy prawdy, a znajdujemy w sobie jedynie niepewność. Szukamy szczęścia, a znajdujemy jedynie nędzę i śmierć. Jesteśmy niezdolni nie pragnąć prawdy i szczęścia, a nie jesteśmy zdolni ani do pewności ani do szczęścia. Pozostawiono nam to pragnienie, tak aby nas ukarać, jak aby nam dać uczuć, skąděśmy spadli.” (Pascal)

W naturze i postępowaniu człowieka znajdując jedynie sprzeczność, a żadnego wytłumaczenia, które by, immanentnie mieszcząc się w tej naturze, rozwiązywało tę sprzeczność, nie możemy naturalnie na takim stwierdzeniu poprzestać. Skoro tej sprzeczności nie tłumaczy sam człowiek, wymiary jej muszą być inne, człowiek nie twórcą, lecz aktorem dramatu. Ta oczywistość i sprzeczność mieści się tylko w wymiarach religijnych i nauka o Bogu, jako twórcy idei i wartości, oraz nauka o grzechu pierwotnym, jako przyczynie skrzywienia ludzkiego zwierciadła, wyraża to najprościej i najsluszniej. Opowieść biblijna o grzechu pierwotnym jest symbolicznym wyrazem, udostępnieniem wyobraźni moralnej człowieka, pewnej prawdy metafizycznej, która nie może być umieszczona w określonym czasie i określonym miejscu, bo jej miejsce w jakości metafizycznej bytu ludzkiego, niemożliwej do oddzielenia od istoty człowieka.

Nauka o grzechu pierwotnym jest niewątpliwie trudna i zazwyczaj człowiekowi, kiedy ten obraca się w przeciętnym rejestrze duszy ludzkiej, nie sięgając ani do głębin, ani nie znając szczytów, na tej przeciętnej skali ludzkiej wydaje się ta nauka czymś niesamowitym, niepojętym i sprzecznym z prymitywną zasadą sprawiedliwości. Nikt ostrzej nie ujawnił tej pozornej niesamowitości grzechu pierwotnego, jak ten geniusz religijny

ludzkości, który znał jak nikt obok św. Augustyna zamięć tej prawdy wyryte w człowieku – Pascal. Wołał w *Mysłach*, „iż nic bardziej nie obraża naszego rozumu, niż twierdzenie, że grzech pierwszego człowieka uczynił winnymi tych, którzy, tak oddaleni od jego źródła, nie mogli mieć w nim na pozór udziału... Z pewnością nic nas gwałtowniej nie razi niż ta nauka; a mimo to, bez tej tajemnicy, najbardziej niezrozumiałej ze wszystkich, jesteśmy niezrozumiali dla samych siebie. Węzeł naszej natury czerpie swoje skręty i zwoje w tej otchłani, tak iż człowiek bardziej jest niepojęty bez tej tajemnicy, niż ta tajemnica jest niepojęta dla człowieka.”

Ale tak jest tylko na przeciętnej skali czynów i uczuć człowieka. Inaczej człowiek wygląda dla kogoś, kto jest świadomy całej straszliwej rozpiętości natury ludzkiej, od dobra najwyższego do zła najniższego, na jakie stać człowieka na tych obydwu krańcach jego natury. Jest to rozpiętość tak niesamowita, tak przeciwne świadectwa zostawia po sobie człowiek jako gatunek w dziejach i człowiek dzisiaj żyjący, taka sprzeczność ponadto rozpiera duszę poszczególną, iż kto nie otępieł moralnie, a zwłaszcza w czasach wielkiego łamania się epok i przetwarzania formy współżycia, temu nieraz wydawać się musi, iż to nieprawda, by jeden był gatunek ludzki, by jedną, identyczną w każdym poczęciu zasadą moralną rządzony był, jeżeli takie sprzeczne są jego dzieła i dziedzictwo. Szczególnie zaś bięgunowość jednostki, duszy indywidualnej mówi, że jest w nas równocześnie coś, co unosi i wiąże z czystością i wielkością i coś, co spycha i tak samo wiąże, tak samo spaja nierozzerwalnie z upadkiem i małością. Muszą być dwie prawdy natury ludzkiej i człowieka zrozumieć, podnieść i naprawić można tylko, znajdując takie równanie etyczne, w którym pomieszczą się te dwie jego prawdy moralne i w której zostanie wyjaśnione, dlaczego mimo tej sprzecznej dwoistości człowiek jest jednak całością moralną i nie bierność w szarpaniu się na tych dwóch liniach metafizyczno-moralnych jego celem, lecz spojenie wieczne z prawdą pierwszą.

I tutaj znów wpadamy w tok rozmyślań Pascala i jego argumentem możemy uzasadnić miejsce grzechu pierworodnego w prawdziwym pojmowaniu natury człowieczej, miejsce którego pominięcie mści się jak w epoce naszej. Według Pascala wielkości i nędzy człowieka są tak oczywiste, że prawdziwa religia musi posiadać pewną wspólną zasadę tłumaczącą tę wielkość i drugą zasadę tłumaczącą nędzę człowieka, bo tylko wtedy do-wiedzie ona istotnej znajomości duszy ludzkiej.

Zasada wielkości człowieka to człowiek stworzony na podobieństwo Stwórcy, człowiek któremu dostępna była kontemplacja prawdy i któremu pozostały z jego pierwotnego stanu ułamki, tłumaczące jego pęd ku dobru. Zasada upadku i zasady nędzy – to grzech pierworodny. Prawda zaś

ludzka cała w tym, że ani jedna z tych stron natury ludzkiej nie może być poniechana: „Chryścianizm jest dziwny. Nakazuje człowiekowi uznać, że jest szpetny a nawet ohydny; i nakazuje chcieć mu być podobnym Bogu. Bez tej przeciwwagi, wywyższenie to uczyniłoby go szkaradnie próżnym, lub też poniżenie to uczyniłoby go straszliwie plugawym.” – „Niebezpiecznie jest zanadto pokazywać człowiekowi, jak bardzo równy jest zwierzętom, nie wskazując mu jego wielkości. Również niebezpiecznie jest zanadto mu ukazywać jego wielkość bez jego nikczemności. Jeszcze niebezpieczniej jest zostawiać go nieświadomym i jednego i drugiego. Ale bardzo korzystne jest ukazywać mu i jedno i drugie.”

Rozmyślnie przytoczyłem szerzej wywody Pascala w roztrząsanej tu kwestii pesymizmu i grzechu, albowiem tłumaczą one doskonale dwie ważne sprawy. Przede wszystkim Pascal w genialnym doprawdy skrócie wyjaśnia skuteczność moralną, ten niespodziewanie optymistyczny i podnoszący człowieka wydźwięk przekonania o skażeniu naszej natury. Oto skażenie takie nie posiada błędnych rozmiarów znamienia pochodzącego od pierwiastka zła, metafizycznie równie pradawnego jak pierwiastek dobra. Gdyby tak, gdyby plama skażenia była odbiciem zupełnej równości i równej egzystencji zła i dobra, byłibyśmy bezsilni i skazani na bierność. „Ponieważ jedni uważają naturę jako nieskażoną, drudzy jako nie do naprawienia, nie mogli uniknąć albo pychy, albo lenistwa, tych dwu źródeł wszelakich błędów, ile że nie mają innej drogi, jak tylko poddać się przez gnuśność albo też wyrwać się przez pychę. Jeżeli bowiem znali niedoskonałość człowieka, nie znali jego skażenia; tak iż unikali prawdziwie gnuśności, ale wpadali w pychę; jeżeli zaś poznawali niemoc natury, zapoznawali jej bóstwo; tak iż mogli wprowadzić uniknąć próżności, ale jedynie rzucając się w rozpacz.” (Pascal)

Paradoks pozornie, ale w istocie najgłębsza chyba prawda moralna natury ludzkiej, prawda szczególnie przez to współdziałanie wielkości człowieczej, na skutek której człowiek upada, i upadku, który go podnosi, który jest źródłem głównym odrodzenia i wielkości etycznej człowieka.

To pierwsza sprawa: narodziny moralności, jaka wie, że nie wolno jej na naturze ludzkiej poprzestać. Narodziny z ducha pesymizmu chrześcijańskiego – strona druga wywodów Pascala prowadzi nas w samo sedno naszej współczesności i pokazuje, dlaczego ta uprawa pesymizmu jest teraz czymś nieuniknionym. Oto całe epoki, całe prądy kultury mogą zapomnieć o tej dwoistej prawdzie człowieka i wywyżżyć tylko człowieka jako istotę nieskażoną. Antropocentryzm racjonalistyczny cały się mieści w tym jednym zdaniu wielkiego moralisty, z jego pychą i z jego skutkami dzisiaj przeżywanymi. Kończy się epoka, która rozpaliała w człowieku jego dumę,

nie pozwalając mu nawet przeczuć jego małości. Doszła do konsekwencji najgorszych, takich, że człowiek użyty jako narzędzie, jako środek nie jest świadom w ogóle ni wielkości, która mu przypaść może, ni nędzy w jaką został wtrącony. Wyjściem i lekarstwem nie może być nawrót do błędu, do jednostronnego, ponownego podkreślenia w człowieku tylko jego dumy; wyjście jedynie w równoczesnej uprawie tego dwoistego pojmowania człowieka. Ale by dojść do pojmowania złożonego, uzupełnić najpierw potrzeba to, co brakuje, a brakuje pesymizmu, brakuje strony upadku i nędzy człowieka. Nie znaczy to naturalnie, byśmy mieli wyłącznie tę stronę w człowieku widzieć, oznacza zaś tylko, że odbudowa człowieka domaga się odbudowy metafizycznego sensu jego złych tajemnic.

U Pascala przecież, w którego myśli konsekwencja etyczna jest jak gdyby jedną wielką antycypacją historyczną rzeczy, które za jego życia już były w pełnym toku, to ustawiczne współistnienie, współdziałanie moralne, wspieranie się i oświeclanie wzajemne wielkości i skażenia jest zasadą, której żadna część nie może być porzucona. Zarazem to sens nieczłowieczy chrześcijaństwa, że nad wszelkie potworności i wzloty natury ludzkiej jest ono jeszcze szersze, jeszcze je w sobie zawiera i tłumaczy. Tłumaczyć zaś może człowieka jedynie nauka nie od człowieka dana, bo wszelkie rozumienie i tłumaczenie samo przez się posiada w sobie pierwiastek górowania i wyższości: drzewo nie rozumie i nie tłumaczy drzewa, zwierzę nie wyjaśnia zwierzęcia, gwiazda nie tłumaczy gwiazdy. Człowieka nie tłumaczy człowiek.

Prawda tej ludzkiej niedoskonałości posiada jeszcze dalsze uzasadnienia, które przywieść należy, by za ich pośrednictwem móc określić te dalsze struktury moralne, z którymi pesymizm wchodzi w bezpośrednie związki, a jakich równie mocno jak pesymizmu brak jest duchowości obecnej. Dla tej prawdy dwaj partnerzy są potrzebni: człowiek faustyczny, ten który każdą ideę, każdy przymiot wygrywa do ostateczności, który nie może się zatrzymać w połowie drogi; Bóg jako twórca idei, praw, przymiotów, talentów. Te wszystkie wartości i możliwości dodatnie ludzkie w Nim tylko bytują w wymiarze absolutnym, ale ich przecucie udzielone zostało człowiekowi wraz z nakazem realizacji. „Łaska ożywia – pisze Maritain (*Nauka i mądrość*) – i nie jest, jak to myślał Luter, płaszczem rzuconym na zmarłego. Uaktywizowane w swych głębiach stworzenie wychodzi ze snu, staje się w całej pełni czujnością i działaniem; w znaczeniu działania nade wszystko, działania miłości i kontemplacji; jak również działania moralnego i ascetycznego, praktycznego i wojującego. – I czy to jest najgłębszy motyw historycznego dynamizmu, który cechuje tak ciekawie chrześcijański Zachód, czy jest to najgłębszy motyw tej czynnej energii, która, kiedy wyparła się swojej najwyższej zasady i swego najwyższego regulatora, mogła tylko szaleć i plądrować byt ludzki.”

Ten dynamizm, choć tak często przybiera niszczycielskie formy, jest jednak świadectwem pociągu ku wzorowi istniejącemu w Stwórcy. Na człowieka został nałożony trud, bo podana mu została miara nieosiągalna, ale równocześnie pozostała mu wolność, bo światu pozaludzkiemu nadał Bóg takie prawa, że wygrywa w nim i zwycięża – zwłaszcza w historii – ten, kto do granic najwyższych rozwinął nadane mu przymioty i talenty. Rzecz o zakopanych i zmarnowanych talentach jest czymś więcej nad budującą przypowieść: wartości i przymioty zostały nadane, by były realizowane. Bóg chrześcijański nie jest Bogiem zastoju, bezwładu, otępienia – ale przez to, że nim nie jest, w nasz świat i działanie został wprowadzony pierwiastek tragiczności i niedoskonałości.

Bo człowiek dążący, napięty w widzeniu jedyne go celu, posłuszny woli, która przez czyn moralny i czyn światowy każe osiągać Bogu, zawsze tylko – chociażby był duchowo najbardziej pojemny – część możliwych przymiotów jest w stanie przeć aż do ich ostatniej konsekwencji. I ta ostatnia jest ostatnią tylko na miarę tego, kto dokonuje... W Bogu zaś wszystkie wartości są w swym stanie doskonałym, nie wartości wykluczonych i pominiętych – wszystko się mieści, nic się nie kłóci i nie wypiera, jak w naturze ludzkiej. Bo na ziemi poświęcenie heroiczne jest taką nieodpartą wartością jak roztopienie się w miłosierdziu, ale jakież człowiek je spoi i w ileż takich niespójnych całości układa się w duchu i realizacji naszej świat wartości i cnót. „I to, co dobre, może się zwalczać wzajemnie, róża może zażądać ustąpienia lilii, obie mają prawo istnieć, ale tylko jedna z nich może istnieć. Tak powstaje walka o chwilę, to, co wieczne, musi się wyzbyć siebie, aby zyskać to, co jest doczesne, rezygnacja nic tu nie znaczy, gdyż nie można rzec się działania, skoro działanie jest własnością świata, daniną jednostki dla powszechności. W ten sposób może powstać najwyższa tragedia.” (Hebbel)

Suma przymiotów wymaganych przez Boga jest zawsze nieskończenie większa od tego, co człowiek naprawdę zdolny jest urzeczywistnić. Natura ludzka jest węższa od wymagań i cech bytujących za sprawą Boga i nigdy ich wszystkich człowiek nie jest zdolny z tą samą intensywnością, nawet w przybliżeniu, wykonywać, wcielać. Natura nasza opiera się na wyborze, a każdy wybór jest zaniedbaniem. Dokonując – równocześnie opuszczamy, odrzucamy.

Inaczej być nie może, ponieważ gdyby nie było tego uszczuplenia przez naszą naturę, wówczas człowiek mógłby urzeczywistniać wszelkie i wszystkie przymioty, nie byłoby dla niego niemożliwości ani granic, a wtedy człowiek byłby Bogiem, bo stawałby się czystą, zupełną doskonałością i Bóg musiałby nazaczyć jego naturę słabością, by nie stał się Mu człowiek równy. To był grzech pierworodny człowieka, który na ziemi we wszystkich swoich skutkach nie może zostać zmazany, ponieważ stałaby

się ona wtedy doskonałością. Ale ze strony człowieka było to pragnienie i zuchwalstwo największe, najwspanialsze, na jakie mógł się on porwać. Pomiędzy ideą grzechu pierwotnego a mitem o Prometeuszu jest ścisła współzależność. Mit prometejski tłumaczy czyn, za który Bóg musiał człowieka odsunąć, i skazać go na ziemię i jej prawa; grzech pierwotny jest stanem, w jakim człowiek musi trwać, by spełniała się jego kara, by dążąc najwyżej jak go stać, zawsze jeszcze stawał na krańcu niedoskonałości.

Powstaje stąd ta tragiczna i przedziwna sytuacja, której obrazem są dzieje ludzkości. Człowiek nie może nie działać, nie może trwać w bierności, albowiem wszystko go wyrwa z tego stanu: i jego natura dynamiczna, i pociąg ku prawzorom wartości i cnót, zaszczerpiony w jego duszy. Działać musi ciągle, dokonywać musi ciągle aktów woli i wyboru, ale im więcej dokonuje i wybiera, tym szerszy wokół siebie nagromadza otok niedoskonałości, zła. Jest tragiczny w tym pędzie i w jego niewykończeniu, tragiczny, ponieważ nie może być inny, albowiem rządzi nim konieczność, jakiej sam nie jest świadomy. Nie możemy spocząć, musimy ustawicznie dążyć, a u każdego celu, który wydaje się osiągnięty, dostrzegamy za nim, jak za załomem górskiej doliny, nowe piętro i tak bez liczby, w nieskończoność uciekającej przed nami ściany prowadzi nas los.

Skutkiem tego w tej sferze działań ludzkich najwięcej jest zła, która najbardziej oparta jest o tę potrzebę nieustannego wyboru, decyzji woli: historia jako zagęszczenie zła. Gdyby obecność zła w dziełach ludzkich przedstawić pod postacią wykresu, to najbliższej punktu zerowego przebiegałby ten wykres na odcinku sztuki, najwyżej by się wznosił na odcinku historii. Historia najmocniej potwierdza naukę Kościoła o tym, że skażeniu w naszej duchowości uległa przede wszystkim wola, zatraciwszy dokładność wyboru, ponieważ historia to realizowanie czystej woli, przybierane w akcesoria słuszności praw, realizowanie, które wobec nieudolności stałej tych akcesoriów najbardziej odstawia zło i tragiczną niepoprawność woli.

Jeżeli bowiem dowodem najwyższym zła jest niepoprawność moralna, jest nieumiejętność odmiany po przejrzeniu skutków zła, słowem zatwardziałość i upór pychy, to nic w twórcach człowieka tak nie świadczy o obecności zła, jak historia. Od tysięcy lat ta sama, co pokolenie się powtarzająca próba przemocy, gwałtu, zniszczenia, złamania, dla jednych udana, dla drugich nie, ale zawsze mówiąca, że nakład rzuconego w działanie zła był niezmiernie cięższy od zdobytych skutków. Prawa historii, które zawsze są prawami obludy i krwi, chciwości i powszechnego niezrozumienia, zacięłości i nienawiści, te prawa, których jeżeli jakaś zbiorowość narodowa nie przyswoi sobie – pada, ginie. Ta okrutna przesada faustyczności naszej natury i zarazem jej nieskuteczność, świadectwo, że to jedynie ciągle ta sama

wielka gra, a nigdy nauka, nigdzie się nie zapisuje tak jaskrawo jak w historii. I jeżeli dzisiaj z taką mocą narzuca się obecność zła, to dlatego, iż przeżywamy czasy *par excellence* historyczne, że zalewa nas po prostu żywioł historii. To równocześnie wyjaśnienie punktu wyjścia tych rozważań.

Dwa dowody tego zła w historii warto przytoczyć. *Nowy Testament* raz tylko szerzej głosi skutki grzechu pierworodnego, ale – jakaż wymowa tego jedyne go przykładu: – cały on jest złożony ze znajomości człowieka historycznego i społecznego. To z wersetów psalmisty i proroków utkane, pełne grozy słowa św. Pawła do Rzymian (III, 12-17):

Wszyscy się odchyliłi, spolem stali się niepożytecznymi;
nie masz, kto by czynił dobrze, nie masz aż do jednego.
Gardło ich jest grobem otwartym,
językami swymi zdrażliwie poczynali,
jad żmijów pod wargami ich.
Których usta napelnione są przeklinaniem i gorzkością.
Nogi ich prędkie ku rozlewaniu krwi.
Skruszenie i nieszczęście na drogach ich.
A drogi pokoju nie poznali.

Z wielkich poetów jedyny (nie tylko w Polsce) Krasiński znalazł te związki zła i dziejów, znalazł szatana dziejów. To Massynisa z *Irydiona*. Szatan w dziełach literackich, szczególnie w epoce romantyzmu, był szatanem poznania, przekraczającego granice nadane człowiekowi. Nic dziwnego, że epoka, odkrywająca pierwszy raz powaby i piękno historyczności, nie mogła, urzeczona malowniczością historii, dojrzeć umieszczonego w niej układu zła, ale tym więcej jest rzeczą niespodziewaną, że znalazł się romantyk polski, który wbrew całemu prądowi epoki w historii dostrzegł udział zła, czyhającego nie na duszę jednostki, i jej zbawienie, bo to nie byłoby żadną nowością, ale czyhającego na dzieje jako największe dzieło ludzkiej zbiorowości. Dostrzegł i przedstawił w jakżeż posągowej postaci, tego, którego imię (tak pisał do Gaszyńskiego) – „szatan wszystkich wieków i społeczeństw, wiecznie walczący, wiecznie pobity: mający jednak chwile zwycięstw swoje piekielne, zbrodnicze.”

U samego zaś szczytu historii zjawisko najbardziej wstrząsające, mianowicie ta oczywistość, że ów związek historii jest zależnością tragiczną: inaczej historia odbywać się nie może, inaczej jak przy użyciu zła zbiorowego człowiek nie potrafi się utrzymać na powierzchni dziejów. Złudzenia, sentymentalizmy, pacyfizmy, te wszystkie chowania głowy w piasek, za które później płacą ślepcy dobrowolni podwójnym biczowaniem niż to, które historia wylicza widzącym jej wymiary. Tragiczność jednak tego zjawiska

nie może zatrzyć tego rozróżnienia: choć coś konieczne na ziemi, nie znaczy, że jest doskonałe. Chyba że w takich swoich zmaganiach ziemia jest doskonała i nieunikniona, ale to już nie pesymizm, lecz szatanizm dziejów: uprawnienie każdej zbrodni, bo inaczej nie daje się realizować historia. Absolutna, pragmatystyczna celowość zbrodni i prawdy doraźnej, której drugie oblicze zowie się nicością.

Historia biegunem zagęszczenia zła, piękno jako biegun rozrzedzenia zła. W żadnym ze swoich wytworów nie udało się człowiekowi tak bardzo wyeliminować skutków skażenia, jak w pięknie, w dziełach sztuki. Właściwie dzieło sztuki udane w swoim rozmiarze estetycznym, a takich dzieł potrafiła ludzkość stworzyć więcej i wyższych, aniżeli wszystkich jej innych tworów razem wziętych, nie może mieć i nie posiada pierwiastka zła, bo nie posiada pierwiastka niedoskonałości. Bo skoro jest udane, zamknięte w swej nie-skończoności oddziaływań, ożywione ładem elementów wewnętrznych, wówczas tylko skaza nierówności artystycznej, niedociągnięcia formalnego świadczy o jego ludzkim pochodzeniu, świadczy jednak tak słabo wobec innych tworów ludzkich, że każdy chyba grzesznik ma prawo powtórzyć za św. Augustynem, kiedy święty tłumacząc się Bogu w *Wyznaniach* z negających w nim mimo nadanej sobie ascezy upodobań artystycznych, powiada: „Jak niezmiernie dużo dodali ludzie do istniejących już powabów oczu przez różnorakie sztuki i rzemiosła, w szatach, obuwiu, naczyniach i wszelkiego rodzaju wyrobach, a nawet w obrazach i różnorodnych utworach rzeźbiarskich, które znacznie wykraczają poza konieczną a umiarkowaną potrzebę i zbożną treść... Ja jednak, o Boże mój i Ozdobo moja, także i za to poświęcam Ci pieśń dziękczynną i wyrazy uwielbienia składam w ofierze Temu, który mnie uświęcił, ponieważ piękne dzieła, które dusza odtwarza rękami artystów, mają źródło swe w owej piękności, wyższej ponad dusze, do której w dzień i w nocy tęskni dusza moja.”

Ta doskonałość piękna posiada jeszcze dwa znaczenia. Jedno zwrócone ku Bogu, drugie ku historii. Oto najpierw nie jakieś małe, teoretyczne ludzkie domysły, usiłujące oceniać, mają prawo pytań o ład i sens wszechświata, ale jedynym dziełem ludzkim, które na ten sens rzuca trochę światła, jest doskonałość piękna ludzkiego. Skoro bowiem z rąk stworzenia tak upadającego, tak niezręcznego, jak człowiek, mogą wychodzić dzieła tak niezawodne i celowe, to czyż nie pozwalają one częściowo bodaj wnioskować o naturze Wielkiego Dzieła, w którym jedna z jego istot zdolna jest do piękna.

Ku historii zwrócone znaczenie, to jedno jeszcze zaprzeczenie, tym razem przez sztukę postępu. Jest sprawą banalnie oczywistą, iż historia piękna świadczy, że nie ma żadnego postępu, że są tylko wielkie dokonania jednostek i wybranych epok, ale obniżenie, upadek są jeszcze częstsze.

I mierzone jakością są tylko szczyty i doliny, szczyty i doliny, nic więcej. Ale dlaczego. Powtórzmy słowa Baudelaire'a: „Teoria istotnej cywilizacji. Nie tkwi ona w gazie, ani w parze, ani w stolikach wirujących. Tkwi ona w zmniejszeniu się śladów grzechu pierwotnego.” Taką cywilizację prawdziwą i postęp realizuje jedynie sztuka, bo uzyskując nieskazitelną doskonałość, przesłania skutki grzechu pierwotnego. Ale przez to właśnie historia dowodzi, że postęp jako gromadne i automatyczne ulepszanie się jest fikcją i tylko w rzadkich, przeciętnemu człowiekowi niedostępnych momentach staje się prawdą.

Powiedziało się wyżej, że te roztrząsania na temat związków zła z niedoskonałością historii są potrzebne, ażeby przywieść ku pamięci te struktury moralne, z jakimi wiąże się poczucie pesymistyczne, jakich brak jest naszej dobie chaosu. Pesymizm ściśle się kojarzy z pokorą, pokora jest zjawiskiem kultu etycznego i czci. Pokory brakuje naszym czasom tak samo dobitnie, jak pesymizmu; jest to zjawisko stale się pojawiające w epokach przetworzeń i idei, roszczących sobie pretensje do przewidzenia całego układu ideowego przyszłości. Czasy historyczne nie są nigdy czasami pokory, bo to stanowisko jest wrogiem, którego instynktownie się takie czasy obawiają, przeczując słusznie, jaki wpływ mieć może pokora na rozpętanie dzikiej woli.

Warto się rozejrzeć w zachodzących tutaj powodach i objawach. Pokora jest to dystans psychiczny, jaki człowieka, który czci, dzieli od przedmiotu jego kultu. „Pokornym można być tylko wobec jakiejś wartości, którą się czci, a czcząc stawia ponad siebie... Żyć w stanie pokory, to znaczy to samo, co trwać w niemej modlitwie do wartości.” (Stefan Kolaczkowski, *O prostocie*). Istota tego dystansu na tym polega, że człowiek ogarnięty czcią dla przewyższającej go wartości jest świadom, że wielbiąc gorąco, może wprowadzić ten przedział zmniejszyć, ale przekreślić zupełnie nigdy go nie zdoła. Gdyby ów dystans wyobrazić w postaci linii, którą kult stara się skrócić, to przez swoje zmniejszenie nigdy nie zniża ona przedmiotu czci. Wartość pozostaje na tej samej wyżynie, jedynie czciciel usiłuje się ku niej podnieść.

Zdawałoby się przeto, że każdy kult winien rodzić pokorę. Tak jednak nie jest: bez tego przekonania o ułomności czciciela, który, dążąc najwyżej, nigdy obiektu kultu nie osiąga, albo osiąga jedynie w nader rzadkich przelotnych urywkach, pokora się nie narodzi. Pokora wymaga więc w duszy czciciela na pół świadomego wkładu pesymizmu, świadomości, że jego błąd i niedoskonałość nie pozwolą mu się wznieść tak wysoko, jakby pragnął. I dopiero wówczas, w chwili uciszenia i wewnętrznego zmalenia następuje to przedziwne zjawisko, że wartość jak gdyby sama schodziła ku człowiekowi trwającemu w stanie pokory, wynagradzając niespodziewanie to, iż wydawała się ona czcicielowi nicosięgalna. Jest to mistyczna niespodzianka

ukorzenia. W innych bowiem stanach ducha wartość zostaje osiągnięta, kiedy dążący najbardziej się ku niej natężył, tutaj kiedy najpewniej oświadcza wewnętrznie, że nie zdobędzie jej nigdy, ponieważ tak go dalece wartość przewyższa. Tej mistycznej niespodzianki pokory nikt genialniej i prościej nie ujął od Mickiewicza, kiedy ks. Piotrowi każe mówić:

Panie! czymże ja jestem przed Twoim obliczem? –

Prochem i niczem –

Ale gdym Tobie moje nicość wypowiadał,

Ja, proch, będę z Panem gadał.

Na brak kultu, autorytetu, narzucanej czci, lata chaosu nie mogą się skarżyć. Wyższość swoją widzą właśnie w tym rozpowszechnieniu autorytetów – a tymczasem pokory czasem naszym nie dostaje równie jak pesymizmu.

Pierwszym zarodem niedostatku pokory jest optymizm naturalistyczny. Skoro w działalności człowieka widzi się jedyny motor rzeczywistości i skoro przed tą działalnością nie zakreśla się żadnych granic, jeśli chodzi o zakresy dotąd nieosiągnięte, to o pokorze trudno mówić. Nie ma po prostu obiektu, który by tę postawę narzucał, a w człowieku samym jako czcicielu i równocześnie obiekcie kultu, nie ma miejsca na dystans psychiczny pokory. Kultury chaosu tego dystansu nie stworzyły również, ale z odrębnych pobudek. Założeniem tych kultów jest mianowicie to, że wartości, narzucone lub uznawane za wyższe, nie pytają o całość duszy ludzkiej, o osobowość, nie starają się tej całości podnieść, ale wystarczy im uznanie przez wybrane władze człowieka, przez jego „poglądy”, a już wtedy na mocy zgody cząstkowej czciciel zostaje podciągnięty do poziomu czczonej wartości. Wartość zaś sama nie jest tu czymś nieosiągalnym, ale przeciwnie – czymś całkiem możliwym do uzyskania, byle dany człowiek uwierzył i był później ślepy, nie próbował sprawdzać, nie pytał o skutki moralne nadanego wierzenia. Skoro tego dokona, natychmiast znajduje się w ogrodzie Prawdy, Pewności i Dobra. Postępowanie jest tak uproszczone, zdobywanie „prawdy” tak łatwe, że jeżeli ktoś drugi mimo tych ułatwień nie wchodzi do Ogrodu Pewności, to jest wyłącznie jego wina, nie bram ogrodu. Zasługuje przeto tylko na nienawiść i tępienie; stąd cząstkowość posiadanej prawdy jest dzisiaj siostłą okrucieństwa i bezwzględności.

Propaganda, pycha i bałwochwalstwo łączą się tutaj w sposób niełatwy do rozwikłania. Propaganda jest tą sztuką wmawiania cząstkowych wartości, cząstkowych porozumień, których uznanie prowadzi do wspólnej pychy i samochwalstwa. Jednego samochwalstwa przez to i w tym kształcie, że się poddaje autorytetowi, drugiego, że ten autorytet wyobraża bądź na-

rzuca. Sam temat lub przedmiot czci wymaga dystansu jeszcze większego, niż przy pokorze, bo wymaga bałwochwalstwa, ale w zamian za to darzy czczącego pychą i wyróżnieniem, tymi stanami, których prawdziwy kult nigdy nie zna. Prawdziwi wyznawcy nie są dumni, dzisiejsi aż promienieją pychą. Bo to bałwochwalstwo, ta niewolnicza uniżoność kultów obecnych jest jedynie pozorna oznaka czci i dystansu psychicznego. W istocie tego dystansu nie ma, bo obydwie strony są tak samo górnie pewne siebie, nadęte w uznawaniu cnót cząstkowych. Obydwie są pełne pychy z odkrycia prymitywnej prawdeczki, a ponieważ trzeba, ażeby między przedmiotem kultu a wyznawcami było oddzielenie wyższości, zostaje ono sztucznie stworzone przez uniżenie, przez służalczość. Jest to nieudolne naśladownictwo pokory, polega bowiem na uchwyceniu i przejaskrawieniu cech całkiem zewnętrznych tej postawy. Ponieważ pokora, od zewnątrz rozpatrywana, wydaje się poniżeniem, bo jej istota, łącznik wewnętrzny kultu posługiwanie się tym gestem, więc wydało się pysznym naśladowcom, że wystarczy ten gest doprowadzić do krańcowości i ostateczności, a będzie to świadectwo powstania łącznika wewnętrznego. Jednakże przesada w podkreślaniu dystansu jest znamieniem sztuczności, dociągania się, jak też jest nim ów brak umiaru dowodzący, że najwidoczniej tacy wyznawcy nie widzą w ogóle, iż żadna wartość nie domaga się zhańbienia człowieczeństwa, bo dusza ludzka nie jest polem: na tym co zagnojone i cuchnące nic się w niej nie urodzi.

Ta równość w pysze z posiadanej prawdeczki jest wreszcie powodem dlaczego i to bałwochwalstwo i pycha posiadają w sobie coś już nie demo – lecz ochlokratycznego. Bo właściwie wszyscy są równi, wszyscy w sposób doskonały uczestniczą w prawdzie, pogarda tylko i nienawiść pokrywa tych, co nie chcą uczestniczyć. Jedynie personifikacja i hierarchizacja kultu wymagają, że mimo to wybranych ustawia się na szczytach bałwochwalczych. Miejsca zaś w tym całym skupisku nieporozumień umyślnych błędów i prostactwa nie ma dla pokory chrześcijańskiej. Miejsce to może być stworzone jedynie przez odbudowę stopni duchowych, które czasy dzisiejsze połamaly i zrzuciły na jeden chaotyczny stos, zowiąc takie postępowanie kultem jednego autorytetu, jednego światopoglądu.

Ta zaś odbudowa przeciw pysze, przeciw okrucieństwu i bałwochwalstwu jako pierwszego warunku wymaga odbudowy świadomości, że łatwo jest wprawdzie w człowieku wybrać ułamek jego duszy i wznosić na nim niebosiężne, ale jakżeż kruche, bo szkieletami sztucznej, jednostronnej konsekwencji wsparte budowle, trudno natomiast budować na fundamencie całej natury ludzkiej, bo przerzucić się musi luki nad skazami i znaleźć miejsce na ułomności. Lecz to ma tylko trwałość, co bierze w rachubę i nie udaje, że nietrwałe nie istnieje.

Pokora z towarzyszem swoim pesymizmem powiadają, że ułomność naszej natury zostaje w kulcie dla cnót i wartości przełamana właśnie kiedy o ułomności się nie zapomina, kiedy niedoskonałość nasza powszechna staje się bazą czci i kiedy dopiero przez uznanie niedoskonałości udaje się ją nam przesłonić i przemazać. Nauczają dalej, a fakty naszej doby potwierdzają to zupełnie, że przeciwnie – zapomnienie o tej prawdzie, nadzieja, że przez automatyczny udział w kulcie części naszej duchowości cała jej reszta zostanie wyniesiona, a skażenie zniknie, taka nadzieja wiedzie do całkiem odmiennych wyników: w ułamku ducha wyniesiony człowiek, w reszcie ducha wyżywa się jego słabość przyrodzona – zbrodnią, pychą, poniżeniem siebie i drugich, gwałtem. W tym większej natura ludzka rośnie chwale, im mniej tej chwały jej się przypisuje i wmawia. Nie wolno, by te prawdy proste, a z takim skomplikowanym okrucieństwem dowiedzione przez dobę chaosu, zniknąć mogły i byśmy się na nowo uczyli tego, co już nauczone.

Tak się układają i uzależniają braki i pominięcia duchowe epoki. Brak pesymizmu wywołuje brak pokory, ale z drugiej strony rzecz by można, że to właśnie z powodu niedostatku pokory nie mógł się zaszczyć w duszach współczesnych zaród pesymizmu i trudno właściwie rozstrzygnąć, co jest w tej zależności skutkiem a co przyczyną. Pewnikiem tylko jest nierozzerwalne i wzajemnie się oświetlające i wyjaśniające współistnienie tych obydwu braków duchowych. Rezultatem zaś ich ta beznadziejna ponurość doktryn chaosu, bo żadnej z nich nie przyświeca myśl naprawy człowieka, żadna nie widzi przed człowiekiem światła doskonalenia się, a wystarczy im wyzyskanie natury niepoprawnej i rzekoma wyższość wspólnego kultu.

Niejedną jeszcze taką parę braków spójnych, w której stałym partnerem jest nieobecność pesymizmu, można by wyliczyć. Nie chcąc przedłużać roztrząsań, jedną jeszcze tylko parę wskażemy: współzależność braku, pozorowego jedynie istnienia prawdziwego życia duchowego z niedostatkiem pesymizmu. Nie znaczy to naturalnie, jakoby zagłębianie się w psychikę indywidualną i życie duchowe mogły posiadać jedynie barwę pesymistyczną, a radość wewnętrzna, spokój uciszenia i podobne im stany duchowe były czymś niebezpiecznym. Chodzi o inne, bardziej ukryte związki pomiędzy nieobecnością życia duchowego a nieobecnością pesymizmu w dobie naszej. Oto życie duchowe wymaga szacunku dla przeżyć wewnętrznych, wymaga wiary w to, że są one jedynie i w drobnej zaledwie części dostępne drugim, by jednakże osiągnąć ten sens, trzeba posiadać sondę, która by pozwoliła sięgać głębiej pod uspołeczniony, zewnętrzny naskórek naszej psychiki. Zsocjalizowane objawy życia duchowego nie dostarczają takiej sondy, te objawy na których jedynie zależy epoce dzisiejszej – latom rytmu zbiorowego, rozkazu, zbiorowej, na gwizdek, radości, masowego

podziwu, nienawiści. Ilość duchowa swoją masą zgniatająca jednostkę, wtlaczająca w nią ziarno bez pytania. Siew przymusu duchowego mający doprowadzić do przejawów prawdziwego życia wewnętrznego.

Te zaś przejawy wtlaczane i uśmiercające wszelką swobodę prawdy osobistej rodzą się z kompletnej ślepoty moralnej na temat poruszeń duszy nie mieszczących się w tym ilościowym optymizmie. Bo równanie psychologiczne człowieka lat chaosu przedstawia się następująco: w masie radość nakazana, euforia optymistyczna, choć tak ponura, tak otępiała, w samotności i w duszy własnej pustka, ślepotą, o ile tylko braknie tych kontaktów ze zbiornikami oficjalnego optymizmu. Wejrzenie pesymistyczne dotarłoby głębiej, gdyby stać na nie było i to wejrzenie musi być wytworzone, jeżeli człowieka ma się wyzwolić z niewoli naskórka zbiorowego i sprowadzić ku własnemu wnętrzu. Najpierw trzeba znać, w czym życie wewnętrzne własne jest tajemnicze, bądź złe, a więc mieć się musi mniej lub więcej świadome przecucie pesymizmu humanistycznego, ażeby się stać opornym tej niwelacji. Godności ludzkiej i tutaj, jakimś dziwnym prawem przeciwieństwa, naucza właśnie pesymizm. Ujawnienie własnemu sądowi moralnemu a nie rozgrzeszanie przez zbrodniczy utylitaryzm tego, co w duszy nieprzystępne i ponure, wskazuje różność indywidualną i daje poczucie jakości własnej.

Ta ostatnia para związków doprowadziła nas całkiem blisko ku sensowi obecnych przeobrażeń. Wiele się w latach przejścia mówiło i pisało na temat tzw. powrotu do średniowiecza. Myśli postawione przed kilkunastu laty przez Wippera i Bierdiajewa, zwłaszcza drugiego, znalazły powszechne przyjęcie, albowiem widocznie odpowiadały powszechnemu oczekiwaniu.

Bierdiajew przez nowe średniowiecze rozumiał „przejście od racjonalizmu historii nowożytnej do irracjonalizmu lub nadracjonalizmu typu średniowiecznego”. Dużo ze znamion tego przejścia już się dokonuje na oczach naszych z tą okrutną przesadą, która dla potomnych będzie jedynie bólem porodowym nowej epoki. Na razie te dwa filary średniowiecza wzniosły się wyraźnie: zasada bezwzględnego autorytetu i zasada hierarchicznego miejsca jednostki w społeczeństwie zamiast rzekomej równości powszechnej. Brakuje zaś zupełnie ducha, wspólności atmosfery i wiary moralnej, która by bez przymusu, o tyle potrzebnego, o ile go wymaga ślepotą i nieudolność moralna jednostki, mogła skąpać i porównać wszystkich – nadając hierarchię, ale równocześnie ukazując wspólny całemu światu bieg tej hierarchii. I kto wie, czy to spaczenie, to nadmierne wynaturzenie autorytetu i hierarchii, nie będzie powodem, że wiele zapowiedzi nowego średniowiecza, które logicznie sądząc, winny by nastąpić, nie wcieli się jednak w swoim wykończonym, absolutnym kształcie. Wydaje się, że więcej z dziedzictwa liberalizmu wejdzie w skład nowego czasu, niż zrazu sądzono.

Na myśli mam to najłatwiejsze doprawdy, bo na przeciwniku najbardziej bezbronnym dokonane, zwycięstwo nad względną chociażby wolnością badania, twórczości artystycznej, myśli kulturalnej. Skutek będzie ten, że odprężenie po pierwszej fali powszechnego ucisku, tutaj zapewne najmocniej się będzie domagało wyrazu. Knebel jako argument jest przecież tylko podpatrywaniem pozorów średniowiecza, ponieważ w średniowieczu istniał żar sporu, dyskusji, swobodnego docierania do wspólnej prawdy całej epoki i te wieki nie były wcale tak wyciągnięte pod strychulec, jak wmawiać chcą uzurpatorzy. Palono na stosie za błąd, za kacerstwo, to prawda, ale nie zabijano myśli nim się pojawiła. Jest jakieś tchórzliwe parweniustwo w tym społeczno-państwowym maltuzjanizmie, w obowiązkowej bezpłodności, narzuconej myśli i sztuce przez pseudośredniowiecze przejścia, nie było tej lekkości, mimo większej bezwzględności wobec błędu, w średniowieczu chrześcijańskim.

Osuną się w ziemię, nie będą trwać w takiej swojej wyniosłości, uderzone zaniechają swojej dumy, jeszcze będącej objawem przejścia, jeszcze narodzonej pogrobowo z zamierającego ducha antropocentrycznej pychy, te dwa pierwsze filary nowego czasu, ale wokół nich narośnie nowa budowla. I jeżeli ta budowla ma być naprawdę według wzoru chrześcijańskiego średniowiecza, a nie wydaje się, by inny autorytet przetrwał i nie skompromitował się, to rzucane tutaj myśli o pesymizmie znajdują w takiej budowli swoje miejsce. Wielkość średniowiecza jest bodaj głównie w tym, że mimo przeciwnej propagandy odrodzenia, średniowiecze człowieka znało – znało w szerszej proporcji i wymiarze psychoetycznym, niż odrodzenie, chlubiące się tym, że odrodziło znajomość człowieka. Człowieka jako całość metafizyczną rozciągniętą od rzek piekielnych do róży mistycznej wokół Stwórcy znało lepiej i tak w sensie zaświatowym tej rozpiętości człowieka, jak w jego odbiciu w naturze ludzkiej. Odrodzenie pogłębiło tylko znajomość ziemskiej partii człowieka, ale ziemia nas nie tłumaczy. Klaczkowo w *Wieczorach florenckich* doskonale zwraca uwagę, jak niezwykła jest i całej literaturze świata niedostępna ta rozpiętość przeżyć etycznych, którą znał Dante – od grozy i potępienia po uniesienie mistyczne, po światłość niezamkniętej kontemplacji Boga. A co posiadał Dante, posiadała jego zmierzająca już, kiedy tworzył, epoka.

Nie pomieści się więc nadkruszona dumą i racjonalizmem natura ludzka w całości nowych czasów, jeżeli do jej pojmowania nie przydamy pamięci o małości człowieka, jeżeli słowem nie przejdzie uprawy pesymizmu chrześcijańskiego. Nie ludzę się naturalnie, ażeby jedna rozprawka mogła wiele wpłynąć na całe nastawienie człowieka współczesnego wobec siebie. Choć to antropocentryczne i pyszne nastawienie jest już anachronizmem,

wnioski powolniejsze są od faktów i trzeba czasu, by z gotowego materiału czasów wnioski te nareszcie zakwitnęły i dla przeciętnych aktorów widowiska stały się oczywiste.

Chodzi przeto o co innego. Padają rozdęte i człowiecze autorytety. Nic nie świadczy, by którakolwiek z tych mnóstwa instytucji światopoglądowych, społecznych, politycznych, roszcujących sobie często prawo do szacunku religijnego, jakie na miejsce autorytetu religijnego rzuciło oświecenie i wiek XIX, miała przetrwać jako lekarstwo przyszłości. Złudzeniem wieku ubiegłego są samotne reformatorstwa intelektualistów, błędne nadzieje, że myśl odosobniona i nieoparta o instytucje donioślejsze od działalności jednostki zdoła się zapisać w świadomości moralnej ogółu. Gdzie więc oparcie, gdzie gwarancja skuteczności? Tylko w instytucji, której tradycja i hierarchia daje miejsce indywidualnym przekonaniom, która nadaje im własność nie sądu własnego, ale dopracowania się do prawdy istniejącej a tylko przed oczyma poszczególnymi zasłoniętej. Zgodność drogi szukania, która w końcu okazuje się równoległą szlakowi biegnącemu od tysiącleci, tak że bez szkody dla kierunku a z gwarancją pewniejszego osiągnięcia celu, przejść można na szlak odwieczny, jest świadectwem, że nie błędziło się indywidualnie. Szlakiem tym Kościół katolicki i jego ustalona od wieków nauka o naturze ludzkiej. Tylko przez udział w tej zbiorowości metafizycznej i ponadczasowej osiąść się daje gwarancja prawdy i skuteczności dla własnej ścieżki. Przekreślić ścieżynę, pójść za drogowskazem wiekuistym.

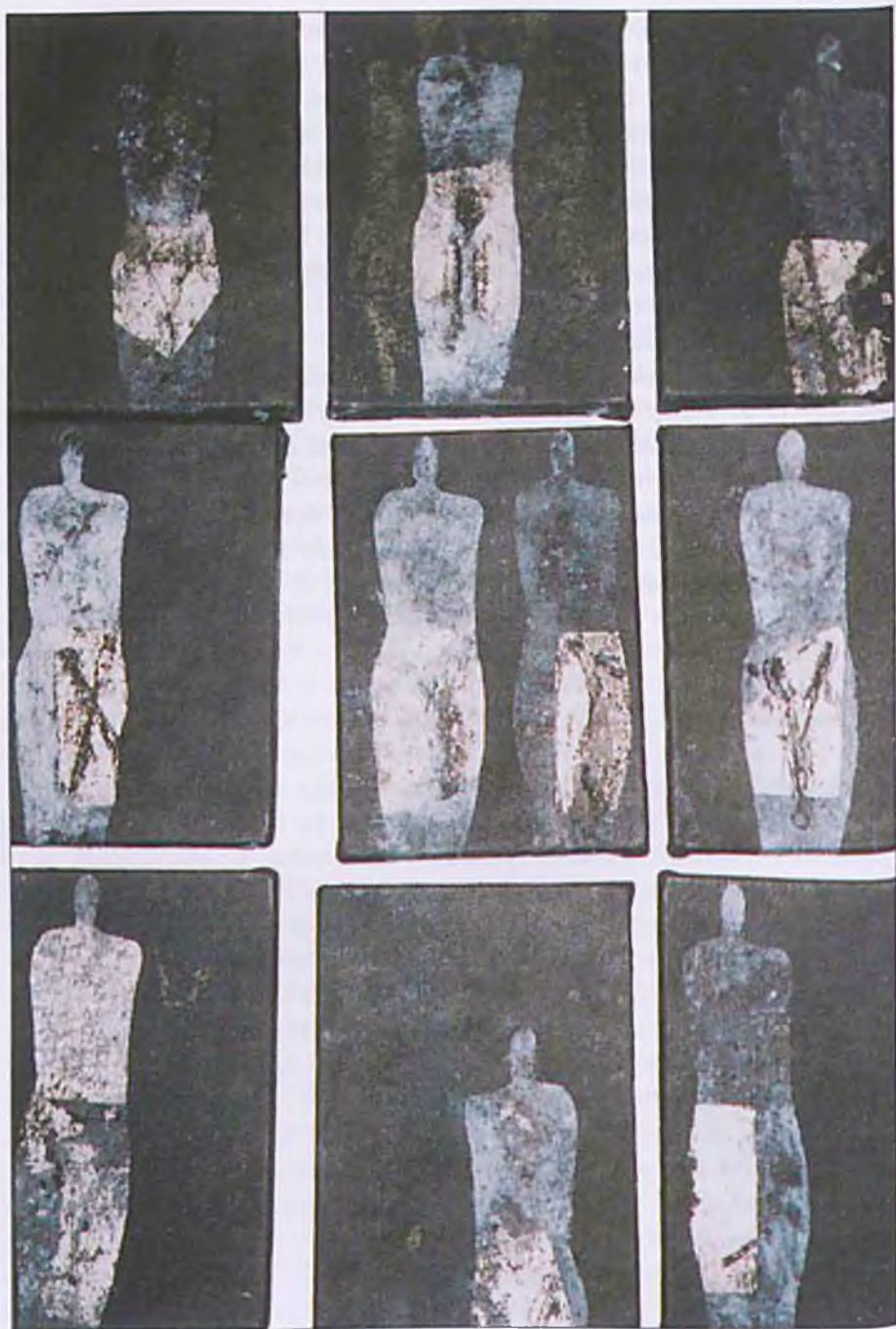
Ale czy wobec takiej zgody, bez której wszelka skuteczność wystąpień pesymistycznych wydaje się mrzonką, czymś w rodzaju zakładania prywatnego planetarium, w jakim ciała niebieskie biegłyby według prywatnego widzimisię właściciela, kiedy nad głową jego kołuje kosmos nadludzki, czy wobec takiej zgody nie są resztką nie odrzuconej pychy przesadne nieraz, ale chyba tylko uczuciowo, nie dogmatycznie, przesadne z katolickiego stanowiska zdania o człowieku, o jego słabości, które w tych rozważaniach padały? A gdyby były taką resztką, wyrzec się ich?

Nie. Uważam te myśli nie tylko za wytwór własny, w którym każda litera byłaby godna obrony, ile za symptom konieczny, wywołany wymaganiami epoki, których nie sposób przemilczeć. Uważam te myśli za coś w rodzaju dowodu historycznego dla prawdy, która trwa zawsze w swojej realnej, nie tak jaskrawej postaci. Niekiedy jednak, by do działania została pobudzona, muszą zostać ostro ukazane jej wyniki, jej związki z epoką, ostrzej aniżeli w całym układzie prawdy omawiany jej wygląd egzystuje. Doba nasza pozwala dokładniej widzieć skuteczność pesymizmu chrześcijańskiego i trwałość skutków grzechu pierworodnego, jakby rozmyślnie zesłana została, by się ujawniły prawdy mogące ulec zapomnieniu, ale to nie

znaczy, by dowód historyczny miał rościć sobie możliwość zastąpienia prawdy. Jeżeli rzeka tłucze się i pieni po kamieniach, nie znaczy, by nie mogła płynąć gdzie indziej cicho i dogłębnie. Taką jej własność wywołują dno i brzegi – czasy i zdarzenia. Miotamy się dzisiaj, zapomniane są chwile nurtu spokojniejszego, ale prawda jest bardziej spokojna i bardziej głęboka, mniej doraźna. Wymiar metafizyczny tej prawdy nakreślił św. Tomasz z Akwinu, przejął Kościół w uchwałach Soboru Trydenckiego, i jeżeli nie o dowód z epoki chodzi, ale o wygląd stały, myślę, że inaczej pojęcie natury ludzkiej takie, które człowieka uczy pokory i uczy równocześnie wiary w siły nie od niego zależne, wyglądać nie może.

A że nam z tej prawdy wiecznej ujawniony został jej kształt ostrzegawczy, bądźmy za to wdzięczni Opatrzności. Żeśmy ujrzeli, jak bardzo w historii, bardziej niż przewidzieć się dawało, odpaść może natura ludzka, od swego wzoru, to może w tym celu, abyśmy jako przeżycie własne i prawdę nabytą powtarzać mogli takie słowa św. Pawła (*Drugi List do Koryntian*, XII, 7): „Ażeby mię wielkość objawienia nie wynosiła, dany mi jest bodziec ciała mego, anioł szatanów, aby mię policzkował.”

Kazimierz Wyka



*** Ewa Bathelier



Fot. Elżbieta Lempp

Julia Hartwig

Niepewność

Jeżeli wiedzieli czego chcą od sztuki
wystrzegali się zawsze pozorów piękna
a kiedy ich skusiły – kajali się za odstępstwo
Ale tyle jest uwodzicielskiej mocy w samej urodzie świata
taka nasza niewiedza co ułudą co prawdą
że wciąż wpadamy w pułapkę uczuć i doznań
i nie chcemy pozbawić się żadnej radości
nawet wiedząc jak niewiele są warte i krótkotrwałe

Nie idźmy

Nie idźmy jeszcze spać
póki tak pięknie gra muzyka
nie idźmy jeszcze spać
póki nie świta
Póki umiemy stąpać za krokami nocy
w ciemności z którą szukamy braterstwa
Nie idźmy jeszcze spać
dopóki dźwięki gubią czas
Nie idźmy jeszcze spać
Nie idźmy spać

Bellagio

Oltarz cały złoty od krzewów mimozy
i w konfesjonale miejscowy ksiądz włoski
który zgadza się wysłuchać wielkanocnej spowiedzi
po francusku

Upadek na pochyłej ścieżce ogrodu
i niechęć by podnieść się z ziemi
bo tak bezgraniczne jest niebo w górze
pod koronami kwitnących drzew migdałowych
Poczucie raju
istnienia w nieistnieniu
wieczna chwila
Pisał o niej sławny przechodzień
potrącony przez powóz na wzgórzu Mémilmontant

Kraniec miasta

I co tu spotykam
Stado turystów
zgarbiony staruszek mówiący do siebie
znudzony kelner w drzwiach restauracji
ulica wspinająca się w górę po kamiennych schodkach
zamknięta z obu stron murami ogrodów
Białe duchy dnia drzemią we wnękach kamienic
czekając na zatrudnienie

Rachunek

Kiedy kruk przypomniiał opowieść sprzed wicków
poranek wydobywał się właśnie z niewoli mgły
A tobie przeznaczone tylko tyle jawy co snu
prawda mieszka zapewne w innych rejonach
Mieć nadzieję kiedy już nie ma nadziei
przebaczać to co niewybaczalne
Po co zadawać sobie pytania bezkarnie
na które odpowiada ci wzruszenie ramion
a ty ani umiesz ani pragniesz im sprostać
Jest we śnie kamień grodzący pieczarę gdzie leżysz
jest we śnie skała która wciąż idzie przed tobą
i zbudzenie które miało być zmartwychwstaniem
a przynosi tylko niemoc i wstyd
które obnosić będziesz z fałszywie podniesionym czołem

Szukanie

Zerwać ozdoby lata
zerwać zasłonę i odkryć wszystko w nagości
jednym spojrzeniem
Zostawić same owoce
zostawić tylko dojrzałość
jej piękno postarzałe
niepewne czy się odrodzi

Julia Hartwig



Fot. Tadeusz Witkowski

Adriana Szymańska

Niewidzialni mieszkańcy świata

Julia Hartwig należy do tych osobowości twórczych, które od pierwszej przeczytanej linijki przykuwają uwagę nie tyle niezwykłością ekspresji, ile raczej zwyczajnością wyrazu – czarującą powagą i czułością, dystansem i żarliwością, precyzją i przenikliwością w widzeniu rzeczy tego świata i rzeczy przynależących do innego, transcendentnego porządku. Od chwili zetknięcia się z tą twórczością bezpośrednio, a było to pod koniec lat 70., kiedy czytałam *Czuwanie*, potem *Chwilę postoju*, *Obcowanie* i *Czułość* – o trzech ostatnich pisząc z potrzeby serca, wzruszona i olśniona możliwościami i zakresem ogarniania przestrzeni trudnej, jak mi się zdawało do objęcia jedną, pojedynczą wizją – poezja Julii Hartwig towarzyszy mojemu myśleniu o świecie, mojemu poznawaniu siebie i tajemnic rządzących związkami między ludźmi i jest w tym byciu przy mnie tuż obok poezji Zbigniewa Herberta i paru jeszcze poezji, z których czerpię siłę i wiarę do trwania przy swoich własnych artystycznych wyborach i wysiłkach.

Już w *Chwili postoju* urzekła mnie ta zdolność Julii Hartwig do bycia jakby równocześnie w wielu miejscach naraz, a więc panoramiczność jej patrzenia na świat i stereofoniczność podsłuchiwania jego głosów, fakt, że można cofać się „w przeszłość tym pociągiem, który wlecze się powoli, staje na każdej

stacji i wciąż jeszcze trzyma się szyn znajomych od dzieciństwa” i nagłe pytanie *Co można usłyszeć w kuchni*, obraz starego człowieka, „który upadł w błoto i przepasza” i krowy siedzącej wśród kwiatów, co „o nic nie pyta, nie ciekawi jej los. Przeżuwa własną papkę, własne przeznaczenie, krążące nieśpiesznie w doskonale zamkniętym układzie jej wnętrza. Odrastające wciąż kwiaty i trawy dają jej złudzenie nieśmiertelności”. Właśnie: to chyba od zawsze najbardziej charakterystyczna cecha tej poezji: poruszanie się w labiryncie konkretnej, zmysłowej materii i lekkie, swobodne, niemalże niezauważalne przenoszenie się w dziedzinę wyobraźni, tęsknoty, marzenia czyli antycypacja całym innym wymiaru. Julia Hartwig ze zręcznością prestidigitatora zapala światło na klonie i wywołuje duchy przeszłości, budzi do życia wiosenne kwiaty, tworzy więź zjednaną z pejzażem górskim, małą koniczynką i złocieniem, by od adoracji szczegółowości, drobiazgowości istnienia przejść do konkluzji ogólnej, do filozoficznej lub surrealistycznej abstrakcji, która też przecież wyrażona jest językiem konkretów, odwołuje się do wymiernych zdarzeń i zjawisk: „Tęsknota do symboliki trwałej. Nie przez szpary, dziury w płotach, piwnice. Wejść głównymi drzwiami, gdzie umarli czekają na żywych w nie cierpiących zwłoki sprawach. Gdzie żywi stają się na powrót żywymi.”

Wnikając konsekwentnie w tajemnicę sprzeczności rządzących ludzkim losem Julia Hartwig osiąga w *Obcowaniu* ten stan ontologicznego zdziwienia, które wówczas, w momencie ukazania się tamtego tomu, wydało mi się szczytem doskonałości poznawczej. Światło poznania zyskuje tu bowiem całą jasność, a prawda, która objawia się w akcie tworzenia dotyczy przede wszystkim konieczności *o k r e ś l e n i a*, objęcia rzeźbą słowa materii nienazwanego: „Wierzę w zdanie. W przystanek który szuka formy/składnej i skromnej jak codzienna mowa”. Racjonalny model poznania uwidocznił w tej postawie nie wyklucza innych sposobów odczytywania rzeczywistości. „Poezja Julii Hartwig – pisałam o *Obcowaniu* („Przegląd Powszechny”, luty 1988) – przekonuje o tym, że racjonalizm poznawczy, mimo swych programowych *r a c j i*, poddaje się na co dzień, w realizacji poszczególnych sytuacji lirycznych weryfikującej presji emocji, magii, «niestateczności snu» i imperatywów eschatologicznych. Poeta nawet podlegając pozornie dominacji intelektu jest może najmniej *sapiens* z gatunku *homo*. Bo choćby wypierał się jawnie władzy żywiołów, choćby nieustannie marzył o «zdaniu wiarygodnym», jest przecież wiecznie podróżującym dzieckiem, które tak odpowiada na pytanie o sens własnej podróży: «W podziw i w pokorze przybywam tutaj, by najłagodniej uczyć się śmierci.»”

Symbolika podróży z jej perspektywą ciągłego odkrywania rzeczy przez okno pociągu, w nieustannym przepływie i zmienności, kształtuje wiersze Julii Hartwig od początku. W *Czułości* uderzyła mnie przede wszystkim domina-

cja podmiotu lirycznego w trzeciej osobie. W drugiej osobie Julia Hartwig mówi rzadziej, najrzadziej w pierwszej i to z preferencją liczby mnogiej. Poezja, to królestwo liczby pojedynczej, staje się w tym wypadku orkiestrą liryczną, ekspozycją wielu głosów, postaw i emocji. Już nie antynomia poznawcza – wiedza-niewiedza, nie ontologiczny konflikt – trwania-nicości, ale pochwała istnienia jako ekspresji zbiorowej buduje w *Czulości* filozoficzne zaplecze tej poezji. „Być sobą/To rzecz najtrudniejsza i nieosiągalna” – mówiła Julia Hartwig w *Obcowaniu*. Jakby w imię tego przekonania w *Czulości* większość wierszy ciąży w swych zasadniczych sensach w kierunku anonimat. Pragnienie rozplątania się w wielości czy utożsamienia z każdym przejawem istnienia mogłoby być interpretowane jako wyraz mistycznej tęsknoty poetki za Jednością, za złączeniem się z Absolutem, gdyby nie konkretna wskazówka, jakiej udziela nam Julia Hartwig:

Pod koniec mało cię obchodzi czy jesteś wciąż sobą
wszystko co w tobie zamieszkało ma prawo bytowania
odzywasz się cudzymi głosami
śniesz snami innych ludzi.

Nie rozproszenie więc, a kumulacja stanowi cel i efekt poznawczych dążeń poetki. Wola skupienia w sobie wszystkiego, cokolwiek znalazło się w kręgu jej osobistych doznań i obserwacji. Kolekcja obrazów, pejzaży i postaci staje się materia przeżyć podwojonych: odbite w przenikliwym spojrzeniu poetki zjawiska przyrody i akty wyobraźni, pojedyncze ludzkie losy i historyczne zdarzenia znajdują nowy, nacechowany subiektywizmem, ale też wyniesiony do rangi mitycznego znaku sens. A jednocześnie świat, wnika-
jąc w duszę poetki, pozostawia w niej trwałe ślady wzruszenia i pamięci. „Poezja Julii Hartwig – pisałam kilka lat temu („Przegląd Powszechny”, grudzień 1992) – jest liryczną ilustracją Jungowskiej teorii archetypów: każdy odruch serca, każde skupienie myśli ma w tle odległy, magiczny pierwowzór.” Opozycja – tożsamość zbiorowa i tożsamość pojedyncza – zdecydowanie odzyskuje w widzeniu poetki pierwotną nierozdzielność potwierdzaną świadectwem ciągłości dziejów i mnogości w niej ludzkich istnień. „Ach głowo jaka jesteś pyszna/kiedy wszystko chcesz wyprowadzić z siebie”. W tym zawołaniu wyraża się wprost wątpliwość w suwerenność pojedynczej tożsamości. „Patrząc wstecz, wspominając swoje przeświadczenia i przypadki/powiedz sam – jak tu można mówić o tożsamości – pyta poetka, dokumentując kolejnymi wierszami swoje dramatyczne przekonanie o współnocie wszystkich istot w cierpieniu, o tym, że „trud samotności dany jest nam po równi”.

Pomieszanie planów, wędrówki w przestrzeni i czasie, rozpamiętywanie cudzych doznań i krzyżowanie ich w nagłych błyskach emocji czyni z tej po-

ezji – często nazywanej klasyczną – zamaskowany poligon współcierpienia. Tytułowa „czułość” jawi się po lekturze całego zbioru jako stan metafizycznej ekstazy, przejaw miłosnej koncentracji podmiotu lirycznego na przedmiocie poznania, który w tym akcie duchowej afiliacji traci bezosobowość rzeczy nieważnych. Tożsamość tej poezji jest więc odbiciem tożsamości *universum* przetworzonego w procesie kontemplacji w wewnętrzne pejzaże pamięci. To pamięć ocala przed zagładą nietrwałą urodę rzeczy i zjawisk i opromienia je światłem znaczenia.

Pamięć jest jednak nie tylko zwierciadłem duszy, jest także źródłem kreatywnych mocy poety w najtrudniejszych dla niego momentach istnienia – przekonuje w najnowszych wierszach Julia Hartwig. Jest także ostrzeżeniem przed zbyt dużym ufaniem samemu sobie, gdy w grę wchodzi kontakt ze światem niepojętym, rozświetlającym na ekranie serca i umysłu całkiem nieznanne stany ducha. *Zobaczone* to jakby księga duchowych niezwykłości, niekiedy wręcz niesamowitości, rejestr tych stanów i doznań, tych subtelności myśli i uczuć, które ocierają się wprost o transcendencję. Elementarne zakresy i funkcje poezji Julii Hartwig nie zmieniają się w zasadzie od lat, ale jakże wielkiej przemianie uległo to, czemu poetka zawsze nadawała największe znaczenie: odnajdowanie poznawczych kontekstów własnej liryki i miar tożsamości jej podmiotu i przedmiotu. W *Zobaczonym* Julia Hartwig już nie kroczy przez świat z ciekawością i brawurą zdobywcy, nie przyswaja sobie jego zwykłości i jego osobliwości z powagą czy humorem odkrywcy, gdyż coraz częściej po prostu błąka się po zakamarkach realności i nierealności szukając duchowego wsparcia u Boga, umarłych, dobrych duchów wszechświata. Skupiona jak zwykle na niuansach, drgnieniach, migotach rzeczywistości z całą mocą własnej bezradności ucieka w niedomówienia, przemilczenia, zawieszenia, niedookreśloność słowa. Potencjalność pustki, przestrzeni niecoswojonej i niezamieszkałej – opuszczonej lub jeszcze nie odkrytej – wyznacza uczuciowy pejzaż tych wierszy. Wśród strof snują się jakieś byty niedoformowane, niedoistniejące – jak u Leśmiana – a z ich niewidzialnych postaci wieje niewiarygodna słodycz akceptacji, adoracji duchowych przede wszystkim stanów istnienia. „Uzdrawiająca monotonia”, „cicha nijakość”, „świat zatrzaśnięty na glucho”, melancholia, poddawanie się pustoszącej tyranii wspomnień to teraz nastroje i wizje nie tylko pożądane, ale wręcz ukochane przez poetkę. W wielu nowych wierszach czujemy i ciężar samotności, i pokusę rezygnacji, i ból obcości. A przecież te ciemne strony życia ukazywane przez Julię Hartwig z bezwzględną grozą szczerości nie wyczerpują skali jej obecnych przeżyć i przekonań. Z odzyskiwanym raz po raz szlachetnym heroizmem powraca w *Zobaczonym* do czystych zapisów doznań niełatwych i niepopularnych, jak ta apostrofa do bólu z wiersza *Stać*:

W cieniu nie jesteś sobą chcę cię znów w jasności
 bólu mój moja radości tak uchwytna nawet w pamiętaniu

Z odwagą i godnością powtarza też prawdy, którym była wierna przez całe życie: „Nie dla zapominania żyjemy, ale dla pamiętania”. A tuż po wierszu wyrażającym dotkliwą tęsknotę za bliskim zmarłym (*Którejś nocy*) pojawia się wiersz *Kiedy zdawało mi się, że nie ma już żadnego ratunku*; w którym poetka formułuje swoje przekonanie o zbawczej sile sztuki nadającej formę cierpieniu i przetwarzającej ból, gdy trwał „szalejąc dotąd i niszcząc wszystko dookoła”. Wiara, trudna wiara Julii Hartwig, nie opiera się tylko o ocalający Logos, ale też o miłosierdzie Boga. Komentarze do *Pisma Świętego* mają w wykonaniu Julii Hartwig tę po ludzku odczuwaną i myślaną ambiwalencję widzenia: ulotnej pewności towarzyszy zwątpienie, gwałtownej radości – lęk, gorycz i bunt. Wiersz *Wskrzeszony*, przywołujący Ewangeliczną wizję przywróconego do życia Łazarza, poraża ostatecznością natrętnych jak w obłędzie niepokoju o sens cierpienia:

Co myślał o świecie Że wszystko jest blahe
 czy na odwrót – pełne powagi
 Czy rozpoznawał sam siebie Jedno wiedział na pewno:
 że choć wskrzeszony jest nadal śmiertelny
 i że przeszedłszy przez własną śmierć
 nie wie o niej więcej niż inni

Śmierć nie jest więc w tej poezji figurą stylistyczną ani symboliczną igraszką w żonglowaniu pojęciami o bycie, jest głęboko doznawaną prawdą o naszym życiu w jego dosłownej, obezwładniającej istotności, w jego bolesnym trwaniu i nieustępliwym przemijaniu.

Pod koniec zbioru znowu pojawiają się zapisy fragmentów – blasków i cieni afirmowanego świata, który dla Julii Hartwig zawsze stanowił tajemnicze źródło harmonii i niepokoju, zachwyty i współcierpienia. Wiersz o świętym jarząbie – dosadna, szczegółowa, drążąca aż do mistycznego dreszczu analiza śmiertelnego odejścia drzewa, a także gorączka uniesień nad ulotną cudownością istnienia w pisanych prozą *Błyskach*, dowodzi, że autorka *Chwili postojów* i *Czuwania* nigdy nie przestanie być sobą: czułą i śmiałą, uważną i zdumioną bardziej tym, co „poza mną, niż we mnie” czytelniczką rzeczywistości. A owi niewidzialni mieszkańcy świata: żywi i umarli, zapamiętani i zapomniani, realni i nierealni idą wciąż przez jej wiersze przemieniając nasze dusze na wzór ich własnych wewnętrznych kodów. Patronuje im ów anonimowy „przechodzień” – „naznaczony niebytem i tak zagłębiony w sobie/jak nie bywają nawet ludzie ze śmiercią u wezglowia” – z wiersza pod tym właśnie tytułem (z to-

mu *Czuwanie*), postać symbolizująca w poezji Julii Hartwig całą tę nierozpoznaną przestrzeń obcości, inności, nieobjętości, która dzięki uważnemu patrzeniu poetki, dzięki empatii, jaką obdarza ona wszystko, co znajduje się w zasięgu jej uwagi, przestaje być osobna, inna i obca, stając się częścią jej własnego losu, a także – poprzez jej wiersze – naszego losu.

Julia Hartwig przez całe życie była twórcą bardzo aktywnym. Jest, jak wiemy, tłumaczką poetów francuskich i amerykańskich, autorką monografii o życiu i dziele Apollinaire'a i Nerval, a także *Dziennika amerykańskiego*, w którym z otwartością na wszystkie nowości przybysza i rozrzutnością osoby wrażliwej na wszelkie stany i struny rzeczywistości, tworzy przenikliwy obraz amerykańskiego świata. Dla mnie wszakże pozostanie przede wszystkim poetką olśnień szczególnych, poruszających zarówno sekretne przestrzenie magii istnienia jak i empatyczną sferę współbycia z innymi ludźmi, innymi bytami i odsłaniających w błyskach epifanii całkiem inny świat – tragiczny i porażający w swym niedopoznaniu świat wieczności, która jawi się w jej wierszach „bezpańska dzika i monumentalna/jeszcze jeden dowód naszego szaleństwa”.

W 1999 roku, na koniec tysiąclecia, ukazały się trzy zbiory wierszy Julii Hartwig: *Przemija postać świata. Wybór wierszy* (Wydawnictwo: „Pruszyński i S-ka”), *Zawsze od nowa. 100 wierszy*. (Wydawnictwo: „Twój Styl”) i wspomniany wyżej tom *Zobaczone* (Wydawnictwo a5). To dobry znak także na początek nowego tysiąclecia, gdyż wiersze Julii Hartwig przeniosą przez symboliczny próg między epokami te wartości, które stanowią gwarancję ocalenia w nas tego, co najgłębiej ludzkie w traktowaniu zjawisk naszego świata. „Świat trzeba przefiltrować przez siebie” – powiedziała Julia Hartwig w jednym z wywiadów („Nowe Książki”, grudzień 1998). Ale też ona sama udziela światu kredytu własnej ufności, własnej sympatii i własnego niepokoju. Uznając z pokorą, że klęska wpisana jest w sam zamiar poetycki, tak mówi o przyczynach braku satysfakcji twórczej: „Czy dałam z siebie wszystko? Czy świat, który odsłania się w moich wierszach, stanowi bodaj aluzję do bogactwa tego świata, jakie dane było mi zaznać?” (ze wstępu do wyboru wierszy *Przemija postać świata*). Myślę, że możemy odpowiedzieć za poetkę: tak, bo zarówno wielka jest jej o tym świecie wiedza, jak i szczerza jest deklarowana przez nią bezradność wobec ogromnej o nim niewiedzy, a właśnie na styku tych dwóch potencjalnych funkcji tworzenia powstaje pulsujące energią wieloznaczenia, artystycznym kunsztem i lirycznym blaskiem dzieło Julii Hartwig.

Adriana Szymańska



For. Andrzeja Bernat

Joanna Pollakówna

Modlitwa o obraz

Te oczy, co wpijają się w piękności Twoje
wchłonąć ich nie umieją – tak strasznie trwonią je.
Gdy mi oczy zatrzaśniesz wreszcie w szczelną ciemność,
jeden obraz mi zostaw – niech odpłynie ze mną
i niech trwa nieruchomy, pod martwą powieką,
niby skrzyni wyprawnej cudnie zdobne wicko.

czerwiec 2000.

Mistrzowie pomniejsi

Mistrzowie czuli... nie Najwięksi wcale;
w przestrzeni rozkochani
rozkochani w Chwale
Boskiej, farbą sławionej żarliwie;
chórzyści sztuki, w namiętym porywie
malujący Wcielenie i Łaskę i Mękę.
Z zachwytem wywodzący pędzlem drzewa, rzekę,
most kroczący przez rzekę,
nieba rozjaśnienie,
gdy opada na wzgórze,
żeby spotkać ziemię.
Mali, czuli Mistrzowie,
chór żwawy, siermiężny
– krzewów bujne listowie
u stóp Niebosiężnych.

wrzesień 2000.

Joanna Pollakówna



Fot. Bogdan Kręszel

Julian Kornhauser

Zasnąłś

Zasnąłś
jak nasionko dmuchawca
na łące nad źródłem

w górze
jasne jaskinie uśmiechają się
dziko

coraz wyżej
coraz dalej

tam na końcu
najcieplejszy jest dach
i
załzawione oko
stawu

więc zasnął
śpisz
szumi potok szumią trawy

potok i trawy
trawy i potok
co toczy i trwa

Błąd

Tkwi w szczegółach. Drobny,
choć bolesny. Niewidoczny,
lecz przeszkadza. Co zrobić,
by się go pozbyć?

Zapomnieć? Naprawić?
Błędy nawarstwiają się, rosną,
tylko one są żywe, tylko o nich
się pamięta.

Błędne posunięcia. Błąd na samym
początku. Błędy zwijają się w kłębek,
mocny i twardy. Rzucisz,
a nie rozwinie się.

Uczyć się na błędach. Ale czego?
Muzyki błędów? Błędnego
rozumowania? Błędne
koło. Błąd na błędzie.

Rządzą nami, dyktują warunki,
jakby nie były błędami, lecz
rozczarowaną, rozgrymaszoną
czeredą przypadków.

Wypłaczesz się? Odrzucisz
 więzy? Na horyzoncie majaczy
 błędny ogień, oślepiający
 korektora.

Od Whitmana do Dylana

pastor, kapitan statku, prawnik, dziennikarz, filozof, profesor, pielęgniarz,
 celnik portowy, farmer, twórca reklam, wiceprezes towarzystwa
 ubezpieczeniowego,
 lekarz, wykładowca, urzędnik bankowy, redaktor, asystent sekretarza
 stanu, kompozytor,
 kierowca ambulansu, wydawca, nawigator, bibliotekarka, teoretyk literatury,
 matka ośmiorga dzieci, pilot, recenzent, muzykolog, rockman i pianista

zachciało im się opisywać dziadków i własne sny, rozmawiać
 z Panem Bogiem
 i poetami, zachwycać losiami, rzekami, stacją benzynową i supermarketem,
 wspominać ojców, nietoperze i lądowanie na księżycu, składać hołdy skalom
 wapiennym, flocie, Atlantydzie, rozpaczać z powodu Indian i Murzynów,
 Żydów i Azteków, eksperymentować, ironizować i stroić miny, opiewać
 miłość i przyjaźń, obserwować ocean i sępa, metro i ubogie staruszki

ale czy zastanowili się choć przez chwilę nad sensem tego wszystkiego,
 nad tym czy utrwalone pasemka włosów, mina rozwoziciela lodu czy oczko
 na pończosze młodej kobiety odślaniają jakąkolwiek prawdę
 ich słowa brzmią jak bzykanie trzmiela a stado kosów zatrzymane w wierszu
 przemyka niepostrzeżenie, śliwki nie pachną, źródło nie smakuje,
 cierpkie pomarańcze śpią na talerzu snem sprawiedliwych owoców

ich poematy, dystychy, wiersze wolne, ich alby, sonety, dialogi poetyckie,
 ich westchnienia i modlitwy, wyliczanki i uczucia jak się mają
 do pracy w gospodarstwie, mowy w sądzie, wykładu ze studentami, leczenia

czy sterowania samolotem? Czy żyją innym życiem, oderwanym od
pastorskiej
ascezy, precyzji nawigatora i sztywności sekretarza stanu

kiedy zasypiają nad butelką whisky, wyskakują z okien, giną pod kołami
wściekłych samochodów, wpadają w obłąd, ich słowa, tak skrzętnie dobrane
i dziecięco naiwne nic nie znaczą nic nie znaczą
są błyskawicami na gorącym niebie filiżanką czarnej kawy która spokojnie
dymi na parapecie, rozsypującymi się kopcami zgłosek

wasz zapal był jak spalona zapalka nie przydał się na nic
cóż po was wiersze pokrzywy wiersze szkiełka rozpulchniony trądzik
a piękność, północ, przywidzenia już dawno zamienione w beton

Julian Kornhauser



Fot. Elżbieta Lempp

Aleksander Fiut

Sarmata w wehikule czasu (Stanisław Lem jako czytelnik)

Nie ukrywam, że przystępuję do rzeczy z „pewną taką nieśmiałością”. Mam bowiem przed oczyma zarys ogromnej góry, którą usypały mądrość i wiedza pisarza oraz otaczający tę górę długi łańcuch interpretacji i komentarzy. Ani mi w głowie wspinać się na te niebosiężne szczyty! Stawiam sobie zadanie znacznie skromniejsze. Interesuje mnie mianowicie, jak Stanisław Lem czyta. Jakimi kryteriami kieruje się, dobierając sobie lekturę. Co go w książkach bawi, co drażni, co nudzi, co zaś zaciekawia. Jaki użytek robi ze swej niesłuchanie rozległej erudycji. Mówiąc dokładniej: jakie świadectwo swoich lektur pozostawił. Jak dalece się w nich odsłonił – już nie tylko jako pisarz, ale też osoba prywatna. Pozostawiam na boku *Filozofię przypadku* oraz *Fantastykę i futurologię*, które wymagałyby osobnego i obszernego studium. Pragnę dowiedzieć się czegoś nowego o Lemie spoza jego „naturalnego” otoczenia, czyli literatury *science fiction*. Jednym słowem, ograniczam się świadomie do tych jego lektur, które odznaczają się pewną, by tak rzec, bezinteresownością. Do książek rzeczywistych, nie zaś przez Lema wymyślonych. Mając w pamięci kpiny pisarza z polonistów, czy ironiczne uwagi pod adresem „gotowego szkolarkstwa” oraz „uczeńców”.

Wypada zacząć od początku, od lektur dzieciństwa i wczesnej młodości. Z wywiadu, którego Stanisław Lem kiedyś udzielił, niedwuznacznie wynika, że należały one do kanonu, obowiązującego kilka generacji (z pewnym zdziwieniem i wzruszeniem odnalazłem w tym spisie także własne kiedyś ulubione książki). Otwierają tę listę utwory, które małemu Stanisławowi czytali dorośli. Jak choćby wiersz Porazińskiej o komarze, który z „dębu spadł i złamał sobie w krzyżach gnat”, co czteroletniego wówczas chłopca niesłychanie przejęło. Wśród już samodzielnych lektur znalazły się zeszytowe, w czerwonych i niebieskich okładkach, edycje książeczek dla starszych oraz młodszych dzieci. Ale także *Duch puszczy*, powieści Karola May'a, Dumasa ojca. Potem było *Serce d'Amicisa*, *Opowieści mórz południowych* Londona, *Księga dżungli* Kiplinga wreszcie opowiadania o Sherlocku Holmesie – do nich szczególnie Lem będzie odtąd powracał, smakując, jak powiada, „archaiczną niewinność kryminału”. Osobny dział stanowiły książki z gatunku *science fiction*, szczególnie poświęcone podrózom kosmicznym: *Lot na księżyc* Juliusza Verne'a, któremu młodociany odbiorca nie mógł wybaczyć, że pojazd na księżycu nie wylądował, a także czytana w wieku 10-11 lat trylogia Żuławskiego, z której podobały mu się tylko dwa pierwsze tomy „i już tak zostało”. Obok lektur młodzieżowych znalazło się miejsce na pełne wydanie Fredry, które Lem przeczytał mając dwanaście lat i Słowackiego, którego przedkładał wówczas, jak wyznaje, nad Mickiewicza, zachwycając się szczególnie dygresjami w *Beniowskim*, *Horsztyńskim* (zwłaszcza rozmową Sforki z Trombonistą) i *Balladyną*. Kraszewski wydawał mu się od początku „straszliwie nudny”. Próbowal też wgryźć się w Chestertona, ale bez szczególnego zapалу. Przyszła wreszcie kolej na *Trylogię* Sienkiewicza, która stała się od tej chwili jedną z jego najbardziej ulubionych lektur. W liceum zafrapowały go natomiast *Ziemia obiecana* i opowiadania Grabińskiego. Wypada przy tym dodać, że zainteresowania młodocianego czytelnika nie ograniczały się jedynie do literatury pięknej. Już od dziecka majsterkował, oglądał z zainteresowaniem atlasy anatomiczne, a jego prawdziwy zachwyt wzbudziły, podarowane mu przez ojca pięknie wydane *Dziwy przyrody profesora Wyrobka*, które kosztowały wówczas prawdziwy majątek – całe 80 złotych! Podczas okupacji natomiast jego ulubioną lekturę stanowiły wiersze Rilkego. Wyzna przy tym, że ta lektura wywarła wpływ na kwiecistość stylu *Obłoku Magellana*.

Równie interesujący jak sam zestaw lektur wydaje się dodany do nich po latach komentarz. Jest rzeczą charakterystyczną, że uogólniając swoje osobiste doświadczenia, Lem kładzie szczególny nacisk na niebezpieczny wpływ, jaki zawarte w książkach obrazy okrucieństwa mogą wyrzucić na wyobraźnię dziecka. Co oczywiście nie znaczy, by nie dostrzegał zmian, jakim z biegiem czasu może ulec ocena tego samego utworu. Stąd kiedyś

wstrząsająca, „pełna jakiejś tajemniczej grozy” *Wyspa mędrców* Marii Bujno-Arctowej czytana w wieku dorosłym rozczarowuje go, jako powieść dosyć przeciętna, w której „autorka strasznie napłatała a potem sama z tego wyjść nie mogła”. Podobnie uznawany kiedyś za lekturę zakazaną, wzdającą na pokuszenie Pittigrilli okazał się „dość nieszkodliwą ramotą”. Upływ lat zweryfikował także przeświadczenie, że „książki złe, słabe np. Karol May – umierają z czasem. Natomiast książki wartościowe przeżywają dzięki wsparciu czytelniczemu”. Bo jak konstatuje Lem z niejakim zdziwieniem: „May nie tylko żyje, ale ma się świetnie”. Z tej reguły wyłamują się tylko te utwory, które przenosi się w wiek dorosły i wciąż odkrywa na nowo – do nich należy np. *Kubuś Puchatek* czy *Alicja w Krainie Czarów*.

Wyciąganie z tych wczesnych czytelniczych doświadczeń zbyt daleko idących wniosków byłoby wysoce ryzykowne. Czy jednak można wykluczyć, że wielokrotnie deklarowana przez Lema, wprost i pośrednio, niechęć do epatowania horrorem przynajmniej w pewnej mierze bierze się z wiedzy o dziecinnych strachach? Albo że jednym z impulsów skłaniających do refleksji nad wpływem, jaki recepcja dzieła literackiego wywiera na rozumienie jego sensów oraz umiejscowienia go w hierarchii, była pamięć o zmienianych przez czas wartości i znaczeniu ulubionych książek? Nie wspominając oczywiście o zamilowaniu do przygody, wprowadzania do własnych utworów motywów kryminalnych czy zainteresowaniach literaturą *science-fiction*, medycyną, przyrodoznawstwem. Jakkolwiek by było, zestaw książek, którym Lem poświęcił swoje szkice, odznacza się prawie taką samą kapryśnością, jak lista jego lektur dziecinnych. Znaleźć tu można – obok *Miłości na Krymie* Mrożka – *Dzień oszusta* Iredyńskiego, obok *Lolity* Nabokova – *Dziecko przez ptaka przyniesione* Kijowskiego, obok *Trylogii* Sienkiewicza – *Gada* Leśmiana. By nie wspomnieć o *Torpedzie czasu* Słonimskiego, *Wojnie światów* H.G.Wellsa, *Ubiku* Philipa Dicka. Są zatem na tej liście dzieła różnej rangi i różnej maści. Zarówno niewątpliwie arcydzieła, jak produkty standardowe, powieści, wiersze i dramaty, utwory współczesne i klasyka. Co tym wyborem kieruje?

Trudno się oprzeć przemożnemu wrażeniu, że Lem podchodzi do dzieła literackiego trochę podobnie, jak entomolog do nieznanego owada, lekarz, do trudno dającego się zdefiniować przypadku chorobowego, astronom do nowoodkrytej galaktyki. Próbuje zatem dotrzeć do jego istoty, określić genezę i warunki powstania, jakoś je zaklasyfikować. Ale też, za każdym razem, co innego zdaje się budzić jego zaciekawienie. Wartość *Dnia oszusta* Lem odnajduje w tym, że przedstawia on „zjawisko z zakresu patologii społecznej, nie indywidualnej”. Podczas lektury *Lolity* zastanawia go przede wszystkim, jakie konsekwencje wynikają z faktu, iż głównym bohaterem i zarazem narratorem powieści jest zboczeniec. Punktem wyjścia do ogólnych rozważań o języku



Rysował Stanisław Lem

poetyckim staje się dla Lema zagadkowy i niepokojący, Leśmianowski obraz dziewczyny „z mlekiem w piersi”. Czytając *Wojnę światów* zadaje sobie pytanie, dlaczego Wells nie napisał już dzieła tej klasy i co powoduje, że ta książka pozostaje niedoścignionym wzorem powieści *science fiction*.

Opisami Lemowskich przygód czytelniczych rządzą dwie, komplementarne wobec siebie zasady: zasada pozornego dyletantyzmu i zasada podważonej uczoności. Nie ma potrzeby przekonywać, że pomimo deklarowanej niekiedy niewiedzy pisarz doskonale się orientuje w tak odległych od siebie dziedzinach, jak teoria literatury, medycyna, astrofizyka, przyrodoznawstwo, cybernetyka czy wyższa matematyka. Toteż, aby interesujące go zjawisko przyszpilić, swobodnie i na przemian posługuje się różnorodnym instrumentarium. Bodaj najpotężniejsze armaty, by nie rzec – prawdziwą baterię rakiet międzykontynentalnych – wytacza Lem podczas interpretacji *Gada* Leśmiana. Już sama lista nazwisk i formuł przeciętnego czytelnika o humanistycznym zwłaszcza wykształceniu musi wprowadzić w niemałe pomieszczenie. Bo czegoż tu nie ma! I „formuła Bayesa” „przywoływana przez matematyka rosyjskiego Nalimowa w *Probalistycznym modelu języka*, i odwołania do koncepcji Chomskiego, i napomknięcie o geologicznych „zestrojach synklin z antysyklinami”, i „nieskończoną w sensie Cantorowskiego ALEF” i „zrost czynników emocjonalnych z semajologicznymi i logiko-semantycznymi (w sensie Ajdukiewicza)”. Znajdzie się też miejsce dla teorii Wittgensteina i praktyki neurofizjologów, dla tańca VOODOO i antropologicznych interpretacjach Biblii.

Ale owa uczoność bywa niejednokrotnie podważona. Lem napuszcza na siebie rozmaite systemy pojęciowe, zderza uczone terminy i przygląda się z rozbawieniem, jak się nawzajem podgryzają. Bawi się, nie jest to wszakże zabawa błaha i całkiem bezinteresowna. Zakreśla bowiem ona granice poznawalnego. Pomimo wszelkich wysiłków nie daje się przecież określić dokładniej społecznych przesłanek nihilistycznej postawy, jaką opisał Iredyński. Niedocieczoną tajemnicą pozostanie także źródło aktu poetyckiego czy manifestująca się w dziele literackim „akcydentalność zrośnięta z prawidłowością”. Aby znaleźć przepis na „długowieczny utwór o nieprzemijającej problematyce”, „należałoby wymyślić” – zauważa Lem, „ogólną teorię relatywistyczną” nie w fizyce, jak teoria Einsteina, lecz w historii”. Czy ma to oznaczać, że podejmowanie takich prób jest wysiłkiem daremnym? Przeciwnie. Według Lema należy je powtarzać nieustępliwie, pomimo ryzyka błędu, z góry zakładając, że pewne zjawiska, także na terenie literatury, będą uparcie strzec swoich sekretów. Bowiem, z jednej strony, tego rodzaju próby mogą być użytecznym testem dla systemu pojęć roszcujących sobie nierzadko pretensje do nieomyślności. Z drugiej – poszerza się tą drogą zakres dostępnej wiedzy. Powiększa teren i zasięg literaturoznawczych kom-

petencji. Przekracza wydawałoby się nieprzekraczalne bariery, które oddzielają od siebie wysoce wyspecjalizowane dziedziny najnowszej nauki.

Kluczowe dla Lema-czytelnika terminy to: „przejście”, „przekład”, „zrost”, „przesmyk”, „przerzutka”. Pomiędzy literaturą i życiem, „prywatną bylejakością” a „powszechną koniecznością”, fizjologią i estetyką, zmyśleniem i prawdą. Ale także pomiędzy różnymi semantycznymi warstwami dzieła a siecią jego uzależnień od rzeczywistości intersubiektywnej. Stąd najwyżej ocenia Lem tego rodzaju pomysły literackie, które kryją w sobie potencjalnie jak największą ilość znaczeniowych możliwości. Za tego rodzaju wehikuły wieloznaczeniowości uzna w powieści Kijowskiego „fenomenologię Dziecka”, w powieści Iredyńskiego – portret nihilisty, w powieści Nabokova – przestoczenie pedofila w męczennika miłości, w powieści Wellsa – inwazję Marsjan. Każdy z tych pomysłów niesie w dziele i poza dziełem cały szereg swego rodzaju semantycznych reperkusji, które można na rozmaite sposoby wyklądać. Ale każdy też musi być na swój sposób konieczny i nie do zastąpienia. Jeśli prawdę zawartą w dziele literackim można lepiej wypowiedzieć językiem filozofii czy jakiegokolwiek dyscypliny naukowej, niknie, powiada Lem, potrzeba napisania owego dzieła. Inna sprawa, czy kryjące się potencjalnie w pomysle możliwości znaczeniowe i estetyczne autor potrafi właściwie spożytkować. Zdaniem Lema, nie do końca udało się to na przykład Kijowskiemu, w którego utworze zabrakło oszczędnego i wydajnego operowania środkami artystycznymi, czego rezultatem stało się końcowe „rozogniskowanie” utworu. Z kolei Iredyńskiemu nie wystarczyło artystycznej odwagi, by zidentyfikować się z narratorem, z którego postawą tak czy inaczej sympatyzował. W *Lolicielu* poczucie smaku pisarza razi dosłowność sceny masturbacji. Uważa wreszcie, że istotnym mankamentem obrazu przybyszów z innej planety jest u Wellsa pozbawienie ich własnej kultury oraz swego rodzaju wampiryzm.

Słów podziwu nie szczędzi Lem jedynie *Imieniu róży* (swoją drogą szkoda, że ta przenikliwa interpretacja nie towarzyszyła polskiemu wydaniu powieści). Jest to w każdym razie dzieło, które zdaje się w pełni wypełniać milczące postulaty Lema. Odznacza się nade wszystko ścisłym sfunekjonalizowaniem, obarczonych wielorakim sensem, elementów swojej struktury. Czego rezultatem stają się m.in.: „przewrotna dyslokacja faktów i ich sensów”; przekonywające przebranie filozoficznej problematyki w kostium zużytych chwytów i konwencji literatury masowej; wprowadzanie elementów fantastyki bez naruszania granic werystycznego prawdopodobieństwa; takie rozmieszczenie głównych konfliktów, żeby pozostając w zgodzie z własną epoką, celowały równocześnie w naszą terażniejszość. Odtworzona na tej podstawie recepta na literacką długowieczność wydaje się prosta: „wielostronność erudycji, wyobraźnia o dużym potencjale fabularnym, suwerennym względem erudycji, oraz umiejętność od-

najdywania lub aranżowania takich okoliczności sytuacyjnych, które pozwalają zogniskować maksimum ludzkich spraw, tyleż codziennych, co eschatologicznych.” Jedyne drobny problem w tym, że Umberto Eco dokonał wynalazku, który, jak każdy wynalazek, nie daje się powtórzyć.

Lem jest w istocie wyznawcą dosyć tradycyjnego modelu prozy – powieści z tezą. Swoją interpretację *Imienia róży* rozpoczyna stwierdzeniem, że jest to dzieło realizujące taki właśnie model. Co postmodernistycznych autorów, uznających Umberto Eco za swojego duchowego ojca, wprowadziłoby pewnie w osłupienie. Czy miałoby to znaczyć, że Lem opowiada się za tanią dydaktyką czy moralistyką? Nic podobnego! Jakkolwiek trudno zaprzeczyć, że ukryty zamysł wychowawczy uobecnia się w jego wywodach pośrednio i okrężnie – poprzez akcentowanie poznawczej funkcji literatury. W swoich uwagach o książkach Lem niejednokrotnie podkreśla, że zawiesza swój osąd moralny lub moralizatorski i rozlicza autora wyłącznie z estetycznej celowości użytych elementów konstrukcyjnych. A przecież wyzna, że odstręcza go nawet groteskowa makabra *Pily* Leśmiana. Mając za złe Wellsowi wprowadzenie, funkcjonalnie zbędne i estetycznie tanie, motywu kanibalizmu od razu dodaje z naciskiem: „na zarodki okrucieństwa, tkwiące we wszelkim bycie cywilizowanym, pisarz, naszej zwłaszcza epoki, oczu zamykać nie ma p r a w a .” Ważą bowiem doświadczenia pokoleniowe: pamięć o zbrodni ludobójstwa, o milionach okrutnie torturowanych, zamęczonych w obozach koncentracyjnych, wywiezionych do Gułagu. Stąd za ślepą uliczkę uważa Lem zarówno zabiegi autotematyczne, jak eksperymenty *nouveau roman* czy powieści postmodernistycznej. Gra, którą autor toczy z odbiorcą i tradycją literacką musi mieć według niego swój określony cel i wyraźny adres. Nie może być beztróskim przesypywaniem konwencji, wyrazem płytko pojętego hedonizmu – bez poznawczych ambicji i moralnego znaczenia. Bo jednak pojęcie prawdy obowiązuje, pewne zasady, etyczne zwłaszcza, nie podlegają dyskusji, a gra tam się kończy, gdzie się zaczyna cierpienie.

Rzecz zatem można, że światopogląd Lema-czytelnika wspiera się na trzech milczących założeniach. Założenie pierwsze: ponieważ żadna z metodologii, nie tylko literaturoznawczych, nie pozwala dotrzeć do semantycznej nadwyżki kryjącej się w zwłaszcza wybitnym dziele literackim, należy te usiłowania pomnażać i podejmować z tym większym uporem. Założenie drugie: skoro nawet pojedynczego dzieła nie opisze jeden system pojęć, wypada symultanicznie i wobec siebie komplementarnie stosować rozmaite metody, mając w pamięci cząstkowość ich rezultatów. Założenie trzecie: jeśli literaturoznawcy stają bezradnie i wobec aktu twórczego, i samego utworu, trzeba wesprzeć ich usiłowania sięgając po rynsztunek pojęciowy i narzędzia do innych, niehumanistycznych także, dziedzin nauki, biorąc je wszakże w ironiczny nawias.

Calej tej praktyce przyświeca jasno określony ideał dzieła literackiego, który pokrywa się z wyobrażeniem arcydzielności. Swoje poglądy najprościej wyłożył Lem w szkicu o *Wojnie światów* Wellsa. Właśnie ta powieść uzmysławia wagę socjologicznej intuicji oraz technologicznej inwencji, które sięgają poza świadomy zamysł autora i ograniczenia jego epoki, sprawiając, że dzieło nie tylko się nie starzeje, ale też rezonuje w miarę upływu lat coraz większą ilością znaczeń. Bo już druga wojna światowa potwierdziła trafność i przenikliwość obrazu „indywidualnych i zbiorowych reakcji w kulturze zdruzgotanej”, „krachu porządku ludzkiego, owej koszmarniej ł a t w o ś c i jego zniszczenia”. Na tym przykładzie należy „uczyć się (...) rygoru wizji podporządkowanej ogniskującym władzom rozumu”. Przewaga pierwszego elementu prowadzi bowiem do pozbawionego intelektualnych ambicji fantazjotwórstwa, baśniopisarstwa, nierzadko na pograniczu kiczu. Przewaga drugiego zamienia literaturę, jak to się właśnie Wellsowi w późnej twórczości przydarzyło, w beletryzowanie społecznych poglądów autora. Lem przestrzega, że „od literatury należy wymagać wiele – lecz nie bez pomiarkowania. Wymagania bez granic porażają ją tak samo, jak minimalistyczne, czyniące z niej pustą zabawę.”

Wielowariantowości ujęcia i różnorodności przywoływanych kontekstów na innym poziomie odpowiada wielość ról Lema-czytelnika. Bywa on znakomitym teoretykiem, historykiem literatury i krytykiem literackim, ale jest, pozostaje nade wszystko pisarzem. Znając doskonale rozmaite trendy w metodologii badań literackich i umiając się nimi w razie potrzeby posłużyć, poddaje je równocześnie krytycznej ocenie. Nazwie strukturalizm „osteologią literatury”, wypowie kąśliwe uwagi na temat stosowania do badań literaturoznawczych narzędzi zapożyczonych z psychoanalizy i teorii komunikacji, dokona także arcyzłośliwego „destrukcji dekonstrukcji”. Równocześnie, pokpiwając sobie z badaczy, jakby mimochodem ujawni, że, na przykład, doskonale się orientuje w historycznoliterackiej recepcji Sienkiewicza. W odpowiedzi na ankietę poświęconą przemianom dokonującym się w literaturze III Rzeczypospolitej wyrazi pogląd, który dowodnie świadczy, iż bacznie i z uwagą śledzi bieżące życie literackie. Zdobędzie się nawet na wywołanie sporu wokół oceny jednej książki – mam na myśli *Wilczy notes* Mariusza Wilka.

Jednakże spoza tych biegle wypełnianych ról coraz to prześwituje osobowość samego pisarza, który pomnaża je dodatkowo o swoje pozaliterackie, filozoficzne i naukowe kompetencje. Którego ciekawi ponadto, jak inni, wykonujący tę samą profesję, radzą sobie z podobnymi do jego własnych wyzwaniem, estetycznej zwłaszcza natury. Niby mistrz, który podpatruje w trakcie pracy innego mistrza, rzemiosło cudze porównuje w własnym. Skąd oryginalna próba „poprawienia” *Wojny światów* Wellsa al-

bo wyznanie: „Zawiść, do jakiej się przyznałem, poczynając omawiać *Imię róży*, to świadomość sytuacji autora, który zamierzony świat musi budować na własną rękę, skoro za wieczę obserwacyjną wziął sobie przyszłość. Tak na przykład moja ostatnia powieść *Wizja lokalna* jest nieporównanie uboższa od *Imienia róży* co do ilości wprowadzonych elementów, konstytutywnych dla konstruowanego w niej świata, oraz co do ilości gier w tym świecie uprawianych. Wynika to trywialnie z sytuacji, w której autor albo ma, jak Umberto Eco, do dyspozycji całe biblioteki autentyczne, albo, jak ja, może, a raczej musi sobie sporządzać biblioteki przez siebie wymyślone.”

Słowem – oryginalnym pomysłem Lema jest, moim zdaniem, odwzorowanie – w zapisie pojedynczym, prywatnym, własnym i niepowtarzalnym – wielostylowości i wielowariantowości odbioru utworu literackiego. Przy czym konkretyzacje, które są zwykle dziełem czytającej zbiorowości i zostają nieuchronnie naznaczone historycznymi ograniczeniami jej świadomości, odbijającej niczym lustro określony stan wiedzy, możliwości poznawcze i obowiązujące wartości, Lem pragnie zawrzeć w jednym tekście o jednym, konkretnym dziele. Powstaje tym sposobem napięcie pomiędzy różnorodnością odczytań – jak gdyby „cudzych”, przytoczonych niemalże – a ich podporządkowaniem zarówno osobowości autora, jak też jego ukrytemu zamysłowi i własnemu systemowi wartościowania. Jeśli jest to polifonia, to z pewnością zdalnie kontrolowana.

Konsekwencją przenikających się nawzajem ról piszącego o swoich lekturach jest, co dosyć oczywiste, pograniczność gatunkowa jego wypowiedzi. Lemowska refleksja nad książką łączy w sobie elementy rozprawki teoretycznej oraz krytycznoliterackiej interpretacji z prywatnymi wyznaniem i deklaracjami pisarza. Ma to zresztą swoje odzwierciedlenie w samym stylu. Nieraz się zdarza, że Lem, pisząc o jakimś dziele, woli od teoretycznoliterackiej terminologii użyć systemu pojęć zapożyczonych z pozahumanistycznej dziedziny wiedzy, lub wręcz wprowadzić własne, stylizowane wedle takiej modły pojęcia. W komentarzu do *Imienia róży* można znaleźć i „międzygatunkowe przejścia”, i „rezonatory historyczne”, i „uniwersalny algorytm szerokoadresowej kreacji”. Obok tego Lem naśladuje czasem stylistyczne cechy analizowanego utworu. Bodaj z największym upodobaniem Lem sięga po frazę Sienkiewiczowską. Jej kontur łatwo dostrzec, jej z lekka sparodiowanego echa, wzbogaconego o ironiczne i groteskowe modulacje, nietrudno się dosłuchać w całym jego dziele, wliczając w to oczywiście omawiane szkice. A już najzabawniej owo echo brzmi wtedy, gdy wędrowiec po galaktykach o *Trylogii* pisze. Wówczas, w Gombrowiczowskie ślady postępując, pana Henryka rozpaczliwe a daremne młyńce omija i jednym celnym a błyskawicznym sztychem w jego słabe miejsca trafia. Bo, jak po-

wiada, jeśli czytać *Trylogię* tom za tomem, od razu, jak w „nicowanym fra-ku”, wyjdą na wierzch wszystkie „niekonsekwencje, krzywizny, garby”, „wszystka dekonstrukcjonistyczna słabość postaci”.

„Wtedy jednym dymem okryją się kolubryny, zwrócone w Sienkiewiczowską pierś, które Gombrowicz narychtował, wzięwszy na cel łatwą urodę cnoty, obronę Częstochowy, kukiełkowatą, ku poratowaniu cnót żeńskich zwłaszcza wyteżoną koincydentalność niezliczonych «trafów», dzięki którym nic to, że «Bar wzięty», i że Bohun Helenę w Waładynce dla się na deser zostawił, i nareszcie nawet przez księżącego medyka warzone dekokty, przeznaczone dla Oleńki, w ruch nie poszły, dzięki czemu Bogusław dokładnie wonczas atakami jakowymyś był z nóg zwalony, gdy niczym niedźwiedź miodem z barci żądze sycić zdecydował.”

Ale równocześnie Lem zachęci do czytania *Trylogii*, jak on to czyni, wybierając z niej niektóre tylko fragmenty, wydeptując sobie w tekście własne ścieżyny. Stanowczo odrzuci zarzut Gombrowicza, o to, że Sienkiewicz Polaków stylem swoim uwodził i zaczarował. Dopatrzy się w tym zarzucie zawiści o kunszt słowa. Jego zdaniem, „uwodzić, magię czynić, magią słów czarować oraz potrawy ducha z samych blasków warzyć, to jest sztuka prawdziwa, *ars magna*”. Będzie bowiem wyrażał nieklamany podziw dla języka Sienkiewicza, twierdząc, że „jest to i pozostanie pomnik ulany z najwspanialszej polszczyzny”, „najczystszy, jaki może być destylat i łaciną delia podszyta”. Wyzna, że to właśnie *Trylogia* najlepiej krzepiła mu serce w Wiedniu, w trudnym okresie stanu wojennego. Powie nawet prowokacyjnie, że przedkłada *Potop* nad *Iliadę* i *Odyseję*, już choćby dlatego, że woli „wracać do *Trylogii*, do Homera mniej”. Tym, którzy zarzucają Sienkiewiczowi sadyzm, przypomni że tylko ten pisarz miał odwagę pisania o zbrodniach i gwałtach XVII stulecia oraz zdołał je przedstawić w sposób, który „i prawdzie oddaje to, co prawdzie się należy, a mimo to nie poraża”. Ale równocześnie stwierdzi, że „Krytyki ekspertów historiografii nie zachwiały pozycji Sienkiewiczowskiej *Trylogii*, ponieważ nie było polskiego Lwa Tołstoja (...) Jednym słowem (...) tam gdzie brak pierwszorzędności, rolę jej wypełnia drugorzędność, stawiająca sobie ułatwione zadania i rozwiązująca je ułatwionymi sposobami.”

Sentyment dla Sienkiewicza jest u Lema ważny i wiele spraw wyjaśnia. Najpierw właściwości stylu. Soczystość i bogactwo słownictwa, nasycone-go współczesnymi już makaronizmami, rozległość zdań wielokrotnie rozczłonkowanych, ale nie tracących przez to na zrozumiałości, upodobanie do szyku przestawnego, słowem – gama kolorów skojarzona z polotem, wyrazistością i siłą języka pozwalają stwierdzić, że polszczyzna Lema, podobnie jak polszczyzna Sienkiewicza, ze źródeł sarmackich wprost czerpie i podobnie deli z łaciny jest podbita.

Ale to świadome nawiązanie sięga jeszcze gdzie indziej – wprost do najstarszej tradycji polskiej literatury, do szlacheckiej gawędy. Z niej zaczerpnął Lem umiejętność bezpośredniego kontaktu z czytelnikiem, dbałość o to, by go pouczyć, zabawić, ale nie znudzić. Tutaj pulsuje źródło wielowątkowej, swobodnej, przedzielanej dygresjami i rozbitej na fragmenty narracji, która niby rzeka rozlewa się w rozmaite dopływy, nie gubiąc wszak głównego nurtu. Tu także biorą początek pouczenie, ale dyskretne, respektujące wolność słuchacza, kult dla rodzimej tradycji, lecz nie pozbawiony krytycyzmu, zaciekawienie cudzoziemskimi nowinkami, ale nie bez ironicznego dystansu, wreszcie powaga pomieszana z rubasznym nieraz humorem. Bez wątpienia Lem idzie trochę w ślady Gombrowicza – wszakże nie do końca. Podczas gdy prześmiewczy gest autora *Trans-Atlantyku*, wymierzony w polskie mity i złudzenia, wydobyl z szlacheckiej tradycji i wyostrzył jej kult suwerennego indywiduum, Lem pragnie ową tradycję intelektualnie uszlachetnić. Uczynić zdolną do uniesienia najzawilszych problemów filozoficznych i najbardziej dramatycznych dylematów współczesności. Jego niełatwe do genologicznego zdefiniowania opisy doznań czytelniczych stanowią integralną i chyba nie do końca docenioną część jego całej twórczości. Są umiejscowione tam, gdzie kierują się główne zainteresowania: w sferę pośrednią, najtrudniej uchwytną. W pojmowane na rozmaity sposób „pomiędzy”. Nie przypadkiem swoje antropologiczne przypowieści zapięte w fabularny skafander *science fiction* Lem zastąpił stopniowo sylwami.

Obrona ludzkiej godności, znaczenie przypisywane wolności, kultywowanie cnót rodzących się w najbliższej wspólnotcie, od rodziny poczynając, obywatelska troska o losy państwa, krytyczny, acz respektujący prawo do odmienności stosunek do obcych, ten rodzaj współczucia które – że zapożyczę w tym miejscu celną formułę Lema z jego szkicu o Kijowskim – „pochodzi z pokornej dobroci raczej, aniżeli z pragmatycznej roztropności”, a ponadto poczucie miary, zmysł hierarchii i trzeźwość umysłu – innymi słowy, sam rdzeń Lemowskiego systemu wartości najwyraźniej wywodzi się z odziedziczonego przez polską inteligencję szlacheckiego etosu. Za jedno z wielu wcieleń Stanisława Lema można uznać Sarmatę, który wehikułem czasu wybiera się w podróż w najodleglejsze obszary kosmosu i najdalszą przyszłość. Albo – wędruje po galaktykach tekstów oraz ich rozmaitych konkretyzacjach. Sarmatę, któremu po odwiedzeniu dwudziestego wieku rozsypał się przedustawny ład świata i miejsce opiekuńczej Opatrzności zajął srogi i niepojęty Przypadek.

Aleksander Fiut

TRZY WIERSZE

Trzy najważniejsze wiersze polskiej poezji XX wieku. Po Czesławie Miłoszu („Kwartalnik Artystyczny” nr 3/15/1997), Stanisławie Lemie (nr 4/16/1997), Janie Józefie Szczepańskim (nr 1/17/1998), Ryszardzie Krynickim, (nr 2/18/1998), ks. Janie Twardowskim (nr 3/19/1998), Jarosławie Marku Rymkiewicz (nr 4/20/1998), Kazimierzu Hoffimanie (nr 1/21/1999), Julianie Kornhauserze (nr 2/22/1999), Leszku Szarudzie (nr 3/23/1999), Piotrze Sommerze (nr 4/24/1999), Gustawie Herlingu-Grudzińskim (nr 1/25/2000), Marii Danilewicz Zielińskiej (nr 2/26/2000), Ryszardzie Kapuścińskim (nr 3/27/2000) prezentujemy wybór Michała Głowińskiego.

Michał Głowiński

Poezja polska XX wieku to ogrom nieprzebrany, obfitość, nad którą trudno zapanować. A jak z tego morza wierszy, w wielu przypadkach znakomitych, często tylko poprawnych, a jeszcze częściej – miernych, wybrać trzy, które darzy się szczególną sympatią? Uważam, że to zadanie niewykonalne, ale cóż robić, skoro Redaktor Naczelny postawił je przede mną. Przywołam zatem trzy wiersze, które mnie olśniły, gdy byłem początkującym czytelnikiem poezji, nastolatkiem, uczniem. Chodziłem do skromnego prowincjonalnego liceum w podwarszawskim miasteczku, miałem jednak to szczęście, że trafiłem na znakomitą polonistkę, panią Alinę Żarską. Nauczyła swych uczniów wiele, chciała także oswoić nas z poezją współczesną. Przedstawiła wiersze Leśmiana (a nie zajmował on jeszcze wówczas, około roku 1950, tej pozycji co dzisiaj) i Przybosa, który był odbierany jako uosobienie nowoczesności. Na trzeci wiersz – Staffa – natrafiłem sam za uczniowskich czasów, wydał mi się szczególnie mądry.

Bolesław Leśmian

Wiatrak

Piętrząc się nad ugorów chętną mu równiną,
Wiatrak, na wszystkie wokół odsłonięty światy,
Poskrzypuje drewnianą w tańcu krynoliną,
A na trawę, jak diabeł, miota cień rogaty.

Wędrowcze, w jednym miejscu zatkwiony kosturem,
Co znaczą twoje wstrząsy i nagłe podrygi?
Komu kłaniasz się wokół dębowym kapturem?
Z kim tak trafnie rozmawiasz na migi i śmigi?

W co wierzysz? Kogo widzisz nad sobą w lazurze?
Gdybyś się uczłowieczył – jakie miałbyś lica?
Co za stwór się zataił w twej sękatej skórze?
Czym jesteś, oglądany przez duchy z księżycą?

Julian Przyboś

Gmachy

Poeta,
wykrzyknik ulicy!

Masy wespółztrzymane, z których budowniczy
uprowadził ruch: znicruchomiałe piętra.

Dachy
przerwane w skłonie.

Mury
wynikłe ściśle.

Góry naładowane trudem człowieczym:
gmachy.

Pomyśleć:
Każda cegła spoczywa na wyjętej dłoni.

Leopold Staff
Kochać i tracić...

Kochać i tracić, pragnąć i żałować,
Padać boleśnie i znów się podnosić,
Krzyczeć tęsknocie „precz!” i błagać „prowadź!”
Oto jest życie: nic a jakże dosyć...

Zbiegać za jednym klejnotem pustynic,
Iść w toń za perłą o cudu urodzie,
Ażeby po nas zostały jedynie
Ślady na piasku i kręgi na wodzie.

Zachowałem do dzisiaj podziw dla przywołanych wierszy Leśmiana i Przybosia; wiersz Staffa, który zapewne odpowiadał jakimś moim młodzieńczym nastrojom, wydaje mi się, kiedy po dziesięcioleciach go czytam, jedynie zgrabnym ćwiczeniem retorycznym.

Michał Głowiński

Z okazji przyznania
doktoratu *honoris causa* Uniwersytetu Jagiellońskiego
członkowi Zespołu „Kwartalnika Artystycznego”

Profesorowi Michałowi Głowińskiemu,
który od zarania współtworzy nasze pismo,
składamy serdeczne gratulacje –

Redakcja „Kwartalnika Artystycznego”



Bilha Kalischer-Hazaz

Dziecko Dudu

Nazywam się Mili i mam szesnaście lat. Prawie. Brakuje trzech miesięcy. Ale kiedy lekarz od alergii zapytał mnie, ile mam lat, powiedziałam mu szesnaście, bo tak łatwiej. I właściwie nie chcę być duża jak Nira, moja najlepsza koleżanka, która też ma szesnaście lat, ale robi sobie makijaż, żeby wszyscy myśleli, że jest starsza.

Wczoraj poszłam jak zawsze ze szkoły do domu. Nie śpieszyłam się, gdyż mamy tak czy inaczej nie ma w domu. Nigdy nie ma jej w domu o tej porze. Ale mój obiad stoi gotowy w małym garnku w lodówce, a ja mam go tylko podgrzać na gazie, położyć na talerzu i zjeść wszystko, aż do wyblakłych kwiatów wymalowanych na środku plastikowego żółtego talerza.

Nie zawsze jem, bo najczęściej nie jestem głodna, a też nienawidzę zapachu kotletów. Biorę kotleta, którego mama wyjmuję z dużego garnka, w jakim gotuje raz na cały tydzień i kładzie do małego garnka dla mnie, i daję go trzem kotom na podwórku. Kiedy mnie widzą, przychodzą z podniesionymi ogonami, jak maszty na flagi bez flag, patrzą mi prosto w oczy, albo na rękę z kotлетem i miauczą. Dżindzi to największy lobuz i chciałby zjeść wszystko. Ale ja sądzę, że wszyscy powinni zjeść tyle samo.

Czasami klóćą się między sobą, Dżindzi wydziera Czarnej jej porcję. Wtedy ja złoścę się na niego, bo to nieładnie z jego strony. Gotowanych ziemniaków nie lubią, dlatego wkładam je do małego plastikowego worka, wrzucam go prosto do kubła na podwórku i myślę o wszystkich dzieciach biednych i głodnych, mieszkających w Indiach, i że nie mają co jeść.

Kiedy wracam ze szkoły, idę przez ogród króla Jerzego, bo tam widzę Dudu. Kiedy byłam mała nazywałam tę ulicę „Króla Kinga Jerzego”, bo nie wiedziałam, że to głupie mówić jednocześnie i „król” i „king”. Bałam się też sama wchodzić do ogrodu, gdyż wysokie drzewa mają olbrzymie gałęzie, jak mnóstwo rąk, które rzucają cień i zawsze jest tam ponuro i strasznie, nawet w dzień, kiedy jest słońce wdzierające się pomiędzy drzewa. Z powodu wiatru ciągle przesuwiają się żółte plamy, które ono rzuca na ziemię, a mi jest trudno tak celować, żeby iść tylko w świetle.

Nawet teraz bije mi trochę serce, kiedy wchodzę tam sama dlatego, że czasem są tam strasznie dziwni ludzie, którzy zdaje się nie mają domów, a ja boję się, że będą do mnie mówić, bo nie wiem, co mam im powiedzieć. Ale tam Dudu przechadza się ze swoim wielkim wilczurem.

Dudu jest okropnie duży. Ma już trzydzieści lat i ma też żonę. Pracuje nocami, a w dzień spaceruje ze swoim psem. Cieszy się, kiedy mnie widzi. Również jego pies, Flesz, merda do mnie swoim puszystym ogonem, ale najczęściej obserwuje, sprawdzając, czy Dudu jest jeszcze w pobliżu. Dudu opowiedział mi, że kiedyś Flesz zniknął i wrócił do domu po trzech dniach, brudny i głodny, a ja myślę, że na pewno też i cuchnący, i odtąd nie odważa się oddalić. Dudu tak w ogóle, jest smutny. Ma taki wyraz oczu, które nawiasem mówiąc, są zielone. Kiedy mnie widzi, czasem jego spojrzenie zmienia się. On wie też, że nie mam ojca. Mój ojciec zmarł, kiedy byłam mała. Tak mi powiedziała mama. Nie pamiętam nic, wszystko wiem tylko z jej opowiadań i raz do roku idziemy na cmentarz do Kariat Szaul. Wcześniej przechodzimy przez działkę z uporządkowanymi nagrobkami. Tam, gdzie są żołnierze. Potem wchodzimy na działkę zwykłych zmarłych i nagrobki już nie są tak podobne jeden do drugiego. Mama prowadzi mnie do starego nagrobka tkwiącego pomiędzy dwoma wysokimi cyprysami, na którym wypisane jest nazwisko mojego ojca, wyjmuję małą szczoteczkę i zamiata igły z cyprysów i kulki, które opadły, i zwykły kurz. Potem wzdycha i wypowiada wiele rozmaitych zdań o tym, jakie życie jest dziwne, o braku nadziei i człowieku, który nic nie znaczy, bo oto dwoje ludzi jest razem i nagle jeden znika i niewiadomo, co się dzieje. Pozostaje tylko kamień, co pokrywa jego ciało, które też już zgniło, a robaki je zjadły.

Nie lubię o tym myśleć, bo nagle czuję te robaki na ciele i myślę o moim pogryzionym ojcu. Chcę wiedzieć ile tych robaków było i czy już zdążyły zjeść wszystko i poszły do innego zmarłego.

Był tam raz tak obrzydliwy zapach padliny. To był zdechły kot i zebrało mi się na wymioty. Moja koleżanka Nira, która ma zawsze głos jak dorosły, powiedziała, że ja należę do dorosłych, jak Dudu, gdyż mój ojciec umarł, kiedy byłam mała. Tylko jej opowiedziałam o Dudu i zaprzysięgłam na Boga, że nie powie tego nigdy nikomu. Myślę, że to miłe, kiedy Dudu obejmuje mnie i głaszcze i mówi, jaka jestem ładna. Mimo, iż wiem, że nie mówię całej prawdy, bo mam kilka ranek na twarzy, a nos mam zatkany prawie zawsze, nawet jeśli nie jestem przeziębiona. Oprócz tego jestem chuda, skóra i kości, jak mówi mama, kiedy podejrzewa, że nie zjadłam całego obiadu, który mi zostawiła w małym garnku w lodówce.

Nigdy nie widziałam żony Dudu. On także o niej nie mówi. Myślę, że on się jej boi. W takie dni, kiedy ona idzie do pracy, my idziemy do ich małego mieszkania przy ulicy Króla Jerzego, na dachu. Tam jest wielki hałas od autobusów, które przejeżdżają ulicą, a latem jest okropnie gorąco. Można umrzeć od gorąca. Nie wiem co się dzieje zimą, bo jeszcze nie byłam tam wtedy. Muszę naprawdę zapytać Dudu. Flesz siedzi na dachu w cieniu i czasami szczeka na gołębie, które drażnią go tym, że latają odrobinę wyżej, niż on potrafi podskoczyć. Dudu zawsze śmieje się i mówi, że one robią to specjalnie, aby go rozzłościć i wtedy obejmuje mnie bardzo mocno i rozciągamy się na szerokim łóżku zajmującym większą część pokoju. Ono jest zawsze nakryte jasnoniebieską narzutą, a poduszeczka ma zapach mydła. Może to zapach żony Dudu. W sypialni mają taką wielką trzydrzwiową szafę, a na kluczkach wiszą takie zielone kółeczka i to jest śmieszne, bo czasami i one przesuwają się i można wtedy szybciej myśleć o wszystkim. Dudu zawsze uważa, żebym nie zaszła w ciążę. On wie, że to jest niebezpieczne, bo ja nie biorę tabletek jak Nira, którą mama zabrała do ginekologa. Moja mama nie zabrała mnie, bo ja nie prosiłam, gdyż wiedziałam, że ona strasznie się rozzłości i nie pozwoli mi.

Ostatnio nie widziałam Dudu i czułam, że cały czas myślę o nim. Myślałam, oto jak się tęskni. Nie wolno mi przyjść do jego domu, ot, tak sobie, gdyż on mi nie pozwala z powodu żony. Wczoraj, kiedy szłam do domu przez ogród zamknęłam oczy i bardzo mocno myślałam o nim. Czasem, kiedy czegoś bardzo chcę, tak właśnie robię i kiedy nie dzieje się tak, jak chciałam, wiem, że to dlatego, że nie włożyłam dosyć wysiłku. Zatem usiadłam na ławce, włożyłam wysiłek, potem otworzyłam oczy i zobaczyłam, że ktoś już zdążył wyrysować okrągłe bruzdy w kształcie serca na ławce, mimo, iż jej far-

ba była całkiem świeża. Przesunęłam się trochę i zobaczyłam, że usiadłam na takich dwóch okrągłych plamach, jakie robią ptaki. Spojrzałam na swoją spódniczkę i próbowałam powąchać i sprawdzić, czy ptasi smród nie przykleił się do niej, ale mój nos był zatkany jak zwykle. Moja mama powiedziała, że być może to alergia i posłała mnie do specjalnego lekarza od alergii. Ten zadawał mi mnóstwo pytań i musiałam z nim rozmawiać pomimo, iż naprawdę nie chciałam. Nagle zobaczyłam Dudu i Flesza. Flesz obwąchiwał wokół jakieś drzewo, podniósł łapę i wyleciało kilka kropel bardzo żółtego pipi. Dudu powiedział, że on tak zaznacza swoje królestwo i psy, które przyjdą po nim i powąchają drzewo, dowiedzą się, że on tu już był. I to po to, a nie dlatego, że on chce sikać. Potem Dudu powiedział, że jego żona jest chora i on nie może zabrać mnie do domu z tego powodu. Wyglądał na zasmuconego i cały czas spoglądał we wszystkich kierunkach. W końcu powiedział, chodź wejdziemy do toalety. W ogrodzie jest publiczna toaleta z napisem „Dla mężczyzn wstęp wolny” i nawet jest tam rysunek małego czarnego mężczyzny stojącego w rozkroku, a wielka gałąź bugenwili wystaje z krzaka obok i trochę zasłania wejście. Nie chciałam aż tak bardzo, bo to nieładnie dziewczynie wchodzić do toalety chłopaków, ale też byłam ciekawa, by zobaczyć, jak u nich jest, i zgodziłam się. Dudu powiedział mi też, że ma złodziejski klucz i może zamknąć nas w środku i nikt nie będzie mógł wejść. W szkole nigdy nie weszłam do toalety chłopców. Zatem weszliśmy, kiedy nikt nie widział i Dudu zamknął nas od środka swoim kluczem, a gałąź bugenwili zaplątała się w drzwi i weszła z nami, a kiść przepięknych kwiatów zwisał w środku, ale ja nie czułam nic, bo mój nos był zatkany. Potem Dudu ścisnął mnie mocno. Ja też ścisnęłam go mocno i pieściłam jego twarz tak bardzo piękną. Dudu jest dosyć wysoki i musiałam unieść ręce do jego głowy, aby pogłaskać go po włosach. Kiedyś powiedziałam mu, żeby się nie strzygł, ale on i tak ostrzygł się i musiałam czekać dobrych kilka tygodni, aby znów zanurzyć wszystkie palce w środku. Potem on schylił się, żeby pocałować mnie w usta, a także w szyję, a ja dotykałam jego włosów bez unoszenia rąk.

Zazwyczaj, kiedy jest taki napalony, jak on mówi, ma trochę dziwne spojrzenie. Patrzy na mnie takimi głębokimi oczami, których zieleni staje się troszkę ciemniejsza, aż czuję, jakbym stała się powietrzem i on w ogóle mnie nie widzi, a za mną może jest ktoś inny i boję się, że on się rozczaruje, że to w końcu ja, ale to się nie zdarzyło ani razu. Ponieważ potem jego wzrok staje się znów zwyczajny, troszkę smutny, i on całuje mnie tak delikatnie. Zatem wczoraj on powiedział mi, że jest na mnie napalony szczególnie i chce, żebyśmy zrobili to stojąc. Połóżmy się na stojąco, powiedział. To śmieszne, kiedy się mówi leżeć na stojąco, bo albo się leży, albo stoi. Wtedy oparłam się o ścianę, a on podniósł moją spódniczkę i ściągnął mi

majtki i rozpiął swoje spodnie. Nie było to takie przyjemne, ale to nieważne. Położyłam brodę na jego ramieniu, i zza jego pleców na przeciwnej ścianie, widziałam toaletę chłopców, która w ogóle nie jest taka, jak u dziewcząt. Wzdłuż ściany wiszą zlewy podobne do białych porcelanowych hamaków bez przegród i wyobrażałam sobie ich, jak stoją z twarzami do ściany i sikają, każdy do swojego zlewu, a ich pipi ścieka na dół i znika wewnątrz koryta. Dziwiłam się, że nie mają oddzielnych kabin i rozumiałam, że oni sikają wszyscy naraz nie wstydząc się jeden drugiego, nawet jeśli są sobie obcy. Chciałam zapytać Dudu, czy to jest tak naprawdę, ale on westchnął i wiedziałam, że to nie czas, by zadawać mu takie pytania. Rozwarłam kolana, a on ścisnął moje pośladki i powiedział, żebym napierała na niego, by mógł poczuć mnie dobrze. Nie mogłam objąć go z siłą, jak robię to, kiedy on leży na mnie, bo jego pierś oddaliła się ode mnie, ale widziałam, że jest zadowolony, więc cieszyłam się. Na koniec on przestraszył się i powiedział mi, że uciekło mu i skończył wewnątrz, bo był taki napalony i nie zdążył wyjść. Wtedy pocałował mnie w usta i powiedział, żebym szybko poszła do domu i umyła się i zapytał mnie kiedy dostałam ostatni raz. Nie mogłam sobie przypomnieć i widziałam, że jest zły, bo mówił mi, że jeśli nie pamiętam, to muszę zapisywać. A do siebie powiedział, tylko tego mi brakuje. Wtedy powiedziałam mu, że jak się wydaje, powinnam dostać za parę dni. Zanim stamtąd wyszliśmy powiedział mi, żebym się schowała, a on zerknie, czy nikt nas nie widzi, jak wychodzimy. Potem powiedział, wyjdź szybko i wyglądał na zakłopotanego. Kiedy wyszłam, widziałam szybko prostującą się gałąź bugenwili, jakby nie było jej wygodnie być tak zgiętą i złapaną przez drzwi. Jej kiść podniósł się, spadły z niej dwie fioleto-we plamy i pobiegłam szybko do domu umyć się, jak mówił mi Dudu i nie mogłam myśleć tylko o stąpieniu po plamach światła, a jego sok rozlał mi się po nogach, a majtki były takie lepkie. Chciałam mu powiedzieć, żeby się nie bał, bo w międzyczasie jego nasienie już wypłynęło na zewnątrz. Ale już byłam koło domu, a on był daleko. Dzisiaj, kiedy znowu wróciłam ze szkoły przez ogród Króla Jerzego, nie widziałam Dudu, ale widziałam Flesza. Dziwiłam się, że Flesz chodzi sam. Chciałam go zapytać, gdzie jest Dudu, bo wiedziałam, że on boi się zgubić, ale Flesz nie wyglądał mi na zmartwionego. Widziałam to po jego ogonie uniesionym do góry i po tym, że obwąchiwał drzewo koło chodnika, żeby sprawdzić, kto przed nim tam sikał. Nagle usłyszałam kobietę wołającą go jego imieniem Flesz, a on pobiegł do niej. Ona popychała przed sobą wózek dla niemowląt, a ponieważ nie jestem głupia, zrozumiałam zaraz, że to jest żona Dudu i, że nie była chora, tylko urodziła dziecko. Nagle strasznie mnie naszło, żeby zobaczyć dziecko Dudu. Chciałam zobaczyć, czy jego oczy są tak samo zielone, jak

Dudu i czy ma wąsy. Śmiałam się do siebie na myśl o dziecku z wąsami, bo nawet Dudu nie ma wąsów, tylko, że przez kilka dni nie golił się i teraz ma i wąsy i brodę, ale takie jasne i nie kłujące. Nagle wiedziałam, że muszę zobaczyć dziecko. Wtedy poszłam dokładnie na wprost niej, a Flesz poznał mnie i pośpieszył do mnie i obwąchiwał mnie radośnie, a kobieta powiedziała mu Flesz, a do mnie powiedziała, nie bój się dziewczynko, on nie gryzie. Zerknęłam do środka wózka, a tam leżało coś dokładnie zawiniętego, pomimo gorąca i widać było tylko twarz maleńką i czerwoną. Nagle dziecko Dudu zaczęło wrzeszczeć, a cała jego twarz zrobiła się jeszcze bardziej czerwona, a także uszy i widać było jego dziąsła bez żadnych zębów, ale koloru oczu nie mogłam zobaczyć, bo je bardzo mocno zamknął, kiedy płakał, może miał jakieś życzenie i żona Dudu zaalarmowana wyjęła swoją paczkę z wózka, objęła ją i powiedziała jej kilka uspakajających słów, jak nie płacz laleczko, mama jest tu, i kołysała go, a ja poszłam sobie, bo widziałam już prawie wszystko.

W przyszłym tygodniu skończy się nauka i Nira powiedziała, że pójdziemy sobie na mnóstwo filmów wyświetlanych codziennie, a ja myślałam, że nie będę potrzebowała wracać do domu przez ogród Króla Jerzego.

Bilha Kaliszer-Hazaz
Przełożył z hebrajskiego Tomasz Korzeniowski

Tytuł oryginału: *Ha-tinok szel Dudu*; na podstawie: „Moznaim” (Tel Awiw) nr 5/1991.



Leszek Szaruga

Katedra

kto zapadł się w przepaści
którą w słowie wydrążył

słowa pusta skorupa
oto jego świątynia

czy z bogiem czy bez boga
czerep pełen milczenia

rzucona w górę czaszka
krąży ponad planetą

Poeta pamięta

ecie pecie
słowa śmiecie
co wy wiecie
nic nie wiecie

śpiewa madonna
lecz nie ta
myśli poeta

ironia obronna

ecie pecie
radio plecie
brzydko klniecie
przy poecie

plotą dziennikarki
koszałki opałki
gad gadu
do obiadu
lecz bez ładu

i mówi kobieta
poeta poeta
ale głowa nie ta

kosmiczne bzdury
radio nadaje
baj baj baj
nicość zostaje

to cud natury
słowo poety
jak głos planety
zwodzi kobiety

umarły poeta
z wyrwanym językiem
budzi się z krzykiem

omywa go leta

w eterze
powrót poety
nas już nie bierze
niestety

radio jest głośno
poeta cicho
w radiu śpi lichy

bezsilny złością
poeta pisze wiersz
bardzo długi wiersz
das lange Gedicht
das Nichts

oto żywy poeta
umarłego języka
w radiu gada kobieta
potem bzyka
muzyka

cytat z owidiusza
nikogo nie rusza
tylko dusza
bełkocze
w małym miasteczku
pólnocy
po niemiecku

afera wybucha
poeta słucha
co w radiu nadają
ze świata i z kraju

wtem poeta słyszy
głosy ulicy
lęka się i boi
nie wie na czym stoi

co było a nie jest
nie pisze się w rejestr
der Tod ist ein Meister
poetycki klajster
czy z polski czy z niemiec
zawsze cudzoziemiec

żeby oprzytomnieć
najlepiej zapomnieć

Leszek Szaruga



Andrzej Szuba
postscriptum CLXX

uwierzyć
że Twoja cisza jest nieszczęlna
że można Cię napocząć słowem

postscriptum CLXXI

Dorocie

z mijającego cię
po południu cienia
wyprowadź kobietę

postscriptum CLXXII

skąd słowo?
z boskich niedopowiedzeń
a skowyt?
z przemilczeń

postscriptum CLXXIII

tu jest wszystko
tam nie ma nic
do rozumienia

postscriptum CLXXIV

na tyle
na ile umiesz być sam
jesteś
potem się wtapiasz

postscriptum CLXXV

lęk
że również On
ma jedno życie
twoje

postscriptum CLXXVI

zabrał z sobą obraz
wczepionego w ciało
powietrza

postscriptum CLXXVII

snop czerni
na twoją jedynokrotność –
pisze się nekrolog

postscriptum CLXXVIII

Piotrowi

nie milczenie ale pytanie
o sposób istnienia słowa
którego nikt nie pamięta

postscriptum CLXXIX

od okna do okna z nadzieją
że w którymś nie pada
od zdjęcia do zdjęcia

postscriptum CLXXX

milczenie stąd
że nie sposób
domknąć pytania

Andrzej Szuba



Fot. Jerzy Lewczyński

Kazimierz Nowosielski

I gdzie tu zamieszkać?

(O ogrodach u wybranych poetów pokolenia
Współczesności)

W połowie lat pięćdziesiątych prawda o zbrodniach stalinizmu powoli stawała się rzeczywistością nie do ominięcia; nie można już jej było ani przemilczeć, ani zlekceważyć tak na planie wielkiej, jak i małej polityki, tak w strategicznych przewidywaniach komunistycznych ideologów, jak i w mniejszej skali – gdy przychodziło im rozważać oraz kalkulować społeczne skutki swych doraźnych, codziennych decyzji. W sposób mniej lub bardziej czytelny, ale jednak musiała być uwzględniana w kreowaniu obrazu czasów, w którym uczestniczyli zarówno zwykli, szarzy ludzie, jak i wysoko postawieni dygnitarze, uczeni czy artyści. To, co się zdarzyło m.in. na lutymym zjeździe KPZR, potem za sprawą poznańskiego czerwca i październikowego plenum KC PZPR w 1956 roku, wyznaczało granicę, poza którą z wyraźnym trudem dawała się już cofnąć wiedza o zbrodniach i nadużyciach systemu. Mimo usilnych starań kolejnych partyjnych ekip, by przysłonić przeszłość coraz to innym imieniem dookreślanego socjalizmu, nigdy już

świadomość tego, czym jest „jedynie postępowy ustrój” nie mogła być budowana tak, jakby się nic nie stało. I choć nie zdołano policzyć trupów, ani tym bardziej zważyć oraz w pełni rozpoznać ogromu wyrządzonych wówczas krzywd, bo już przystępowano do tworzenia tym razem „socjalizmu z ludzką twarzą”, to jednak pamięć tego, czym była Kolyma, Łubianka, warszawski gmach SB przy Rakowieckiej w pewnym sensie powstrzymywała sztukatorskie zapędy rozmaitych manipulatorów, zwrotnicznych i przyspieszaczy historii; dalsze instalowanie systemu odbywać się już musiało przy nieco zmienionych dekoracjach. W polskiej literaturze dość szybko rozpoczęło się bicie w cudze piersi (Ważyk *Poemat dla dorosłych*), pospieszne szukanie usprawiedliwień, że przecież nie my pierwsi i nie ostatni (Andrzejewski *Ciemności kryją ziemię, Bramy raju*), poszukiwanie zdradzonych przez praktykę „prawdziwych źródeł komunizmu” (powrót do młodego Marksa – Kolański i krąg tzw. rewizjonistów).

Pojawili się także artyści, którzy szansy na odmianę życia jęli upatrywać w alternatywnej wobec marksizmu koncepcji historii. Dla nich koszty urządzania komunistycznego raju okazywały się zbyt straszliwe, by raz jeszcze, z pełnym przyzwoleniem sumienia, powierzyć odpowiedzialność za jednostkowy i wspólnotowy los ideologom wykształconym na dialektycznym materializmie i leninowskiej wizji dziejów. Wielu pisarzy jakkolwiek nadzieję na ludzki świat poczęło umieszczać na obrzeżach oficjalności, „za pierwszą – jak by to określili stratedzy z lat pięćdziesiątych – linią politycznego frontu”, na zapleczu fasadowej rzeczywistości PRL-u, poza zasięgiem ustrojowej retoryki i zideologizowanych urzędniczych praktyk. Tam szukali miejsc dotąd zlekceważonych, pogardzonych, niesłusznie zapomnianych, gdzie tętniło, ich zdaniem, niezdeprawowane, nieznieszczone przez politykę prawdziwe życie. Wedle mniemań niektórych krytyków (Kisielewski, Sandauer) tzw. literaturę socjalistycznego realizmu zgubiły nie tyle, jak sądzili politycy, niedostatki w realizowaniu klasowych ideałów, ile właśnie ów brak realizmu, na który, przynajmniej propagandowo, ta sztuka z taką skwapliwością się powoływała.

Zataczająca wśród pisarzy coraz szersze kręgi niechęć do zideologizowanej, upartyjnionej historii przejawiała się nie tyle w akcie ukazywania prawdy o ruinach, jakie zostawili po sobie instalatorzy systemu, bo na to zdobywała się jedynie literatura na emigracji, ile ujawniała się w jakimś magicznym geście powrotu do źródeł niezmaconego jękiem ofiar i wrzaskiem ideologicznych poganiaczy „czystego czasu”, gdzie wszystko wydawało się jeszcze możliwe, pełne szlachetnych nadziei – jak w każdym dzieciństwie, jak u początków wielu ludzkich przedsięwzięć. Pisarskie wyprawy do bezdziejowej Arkadii sytuowanej w intymnej oraz imaginacyjnej biografii człowieka, do – jeśli tak

można powiedzieć – poziom „zero historii”, stały się niemal chlebem powszednim sztuki późnych lat pięćdziesiątych i następnego dziesięciolecia. Wymieńmy tylko niektóre zbiory powieści i opowiadań charakterystyczne dla tamtego okresu: *Głosy w ciemności* (1956) Strykowski, *Przebudzenia* (1962) i *Obcoplemienną balladę* (1963) Nowaka, *Chłopca o lisiej twarzy* (1962) Żakiewicza, *Rękę* (1963) Czernika, *Nagi sad* (1967) Myśliwskiego czy *Dziecko przez ptaka przyniesione* (1968) Andrzeja Kijowskiego.

Ich wspólną cechą wydaje się ucieczka przed grozą sprofanowanej historii w nieskażone ogrody dzieciństwa, niechęć do brania udziału w niecznych procederach naprawiaczy oraz korygatorów naturalnego biegu życia, szukanie – w pewnym porządku na wzór romantyczny – swoistego dziecięctwa dziejów i stref nieskalanych złem bezdusznych, totalitarnych cywilizacji.

Warto w tym miejscu przypomnieć pewien wątek ze wspomnianej powieści Stanisława Czernika. Otóż mały Aleksander, jeden z jej bohaterów, doznaje niedowładu ręki po złamaniu gałęzi w spółdzielczym sadzie, w którym miejscowi chłopci upatrują początek kolektywizacyjnych zapędów komunistycznej władzy. Tak oto kontakt z czymś obcym, jeszcze nieoswojonym, ba, odrzucanym przez wiejską moralność, praktykę i obyczaj okazuje się działać chorobotwórczo; odtąd Oleś instynktownie leczy swoją „ranę” chowając się w dzikiej części ojcowego ogrodu, w zbudowanym z łopianów szałasie. Z jednej strony mamy tu więc racjonalnie zaplanowany, lecz swoiście nieludzki sad Spółdzielni Produkcyjnej „Złota Róża”, a z drugiej: nieco dziki, ale zgodny z naturalnym porządkiem życia, przyzagrodowy, chłopski ogród, gdzie było miejsce na przypadek, spontaniczność i ukojenie zranionej „grzechem” świadomości.

Komunistyczny ogród, jak wszystko, co dało się wyprowadzić z ideowych zasad systemu, miał być świadectwem triumfu uzbrojonej w naukowe narzędzia ludzkiej woli; ucieleśniał Engelsowską utopię natury opanowanej przez świadomego swych klasowych celów człowieka, udowadniał jego wolność od Stwórcy, zapowiadał możliwe do osiągnięcia już tu na ziemi szczęście ludzkości:

Kto wie? Może wkrótce
Będziemy przedłużać,
Przeszczepiać jak pędy jabłoni
Życie ludzkie.
Wtedy
Wszyscy diabli wezmą problem Fausta.

– pisał Mieczysław Jastrun w wierszu *Stacja-Majakowski*, a Adam Ważyk w utworze *Rzeka* jeszcze bardziej personalizował tę wizję:

Mądrość Stalina,
 rzeka szeroka,
 w ciężkich turbinach,
 przetacza wody,
 płynąc wysiewa
 pszenicę w tundrach,
 zalesia stepy,
 stawia ogrody.

Nowa przyroda wyhodowana w laboratoriach Miczurina, Łysenki i innych, posługujących się postępową ideologią (zob. Amsterdamski, *Życie naukowe a monopol władzy. Casus Łysenki*, Warszawa 1981.) „uczonych”, była traktowana jako niezwykle ważny element przybliżania komunistycznego raju. Jak się okazało, sadzone tam drzewa, dla których humusem stawały się miliony ludzkich istnień, nigdy nie zakwitły, wymarzony zaś ustrojowy Eden odsłonił się jedynie jako stalinowskie piekło, „archipelag Gułag”, „niehumanitarna ziemia”, obszar cywilizacyjnych ciemności.

Nie tylko w powieściach, lecz i w polskiej poezji drugiej połowy lat pięćdziesiątych zaznacza się tendencja do omijania „głównych traktów” po marksistowsku zideologizowanej i praktykowanej historii. Poeci szukają miejsc zagubionych w wielkich dziejowych procesach, wędrują zapomnianymi ścieżkami, by odnaleźć swój niezwykle inspirujący, plenny artystycznie świat na pozornych nieużytkach cywilizacji (Białoszewski), na planie snów i głęboko rajonych lęków (Grochowiak), w enklawach wyobraźni mitycznej, w zapoznanych regionach plebejskiego doświadczenia (Nowak, częściowo Harasymowicz i Bryll).

Dla autora *Obrotów rzeczy* wymykający się propagandowym standardom żywot podwarszawskich dzielnic, bocznych uliczek, szarych klatek schodowych, sklepowych kolejek stał się najwspanialszą przygodą jego sztuki, cudownym, acz nigdy do końca niezwydzionym, pełnym nieobliczalnych zdarzeń, żyznym ogrodem egzystencji. Pisarz nieustannie zapuszcza się tam doznając swoistych zawrotów głowy i mowy: od nadmiaru dziwności, od bogactwa spełnień i niedopełnień, od intrygujących głosów „tłumu rzeczywistości”, które poeta przemieniał w niepowtarzalny świat swoich wierszy. Patosowi wielkich socrealistycznych przedsięwzięć przeciwstawiał fascynującą urodę poboczy, gdzie „Jest sobie zielony ogród/na rajskie porę/w rajskie szczypiory/w drzew kalafiory”.

Bujny ogród życia rozciągał się dlań tuż obok; wystarczyło dać jeden krok, rozejrzeć się ciekawymi świata oczyma, aby zaistnieć w środku epifanii, zostać wciągniętym w twórczy taniec języka, natury i wyobraźni. Ta sama, tylekroć przemierzana ulica, nigdy nie była taka sama:

„Co to? Drzewa, ale skąd ta zielen, ta faktura. Jak sierść. I taka zamknięta. A może zmęczenie, złudzenie. Rezygnuję z zielonego światła, robię kursik w prawo, sprawdzić. Akacje. Bo chyba akacje. I nagle wyłaniają mi się zza mojego węgła dalsze. Ale olbrzymy. Zwierzęta. Prawielbłądy, do potęgi, zielone. Zielonogarbne. Na nogach pni. Coś przedziwnego. Idę, patrzę, prawie nie wierzę. Co to za miasto? Za kontynent?”

Inny kierunek odzyskiwania zapomnianych ogrodów istnienia zaproponował w swej poezji i prozie Tadeusz Nowak. Odnalazł je w archaicznej wyobraźni plemiennej, w kulturze ludowej, w chłopskim doświadczeniu, gdzie wszystko odbywało się wedle jakiegoś przedhistorycznego kodu, zapisanego w księdze traw, gwiazd czy rzek, a odwzorowywanego w odwiecznych obrzędach i plebejskich rytuałach, które on starał się przypomnieć i ożywić w swej sztuce. Fascynowała go duchowa i materialna jednia tej cywilizacji, kiedy nie było jeszcze tego strasznego w skutkach oddzielenia czasu natury od czasu człowieka, prawdy słowa od prawdy uczynków, symbolu od rzeczy:

Powrozami słońca
do zdrowego drzewa
gminnej wyobraźni
mocno przytroczony,
słyszę trzask gałęzi
kiedy gałąź śpiewa
i pod stopą biją
siwych dolin dzwony.

Nowakowy ogród szczęśliwej większości odgradzały od historii nie tylko, jak w *Obcoplemiennej balladzie*, Wisła i Dunajec, lecz kultywowany wewnątrz chłopskiej społeczności rytuał, czytelny dla niej system znaków, obcy tym zza rzeki, zza wzgórz, zza granic oswojonego czasu. W przeciwieństwie do tych, którzy swą tożsamość wiązali z nieustannym korygowaniem biegu historii i biegu natury, tutaj niczego nie należało poprawiać; wszystko było na swoim miejscu: jak na początku, jak w wiecznym czasie mitu, obrzędu, opowieści.

W twórczości autora *Jasełkowych niebios* ogrody dzieciństwa, ogrody ludowe traktowane są zarazem jako niesłusznie zapomniane ogrody ludzkości, do których ciągle tęskni i które przywołuje w snach nie tylko pojedynczy człowiek, lecz i zmęczona sama sobą współczesna europejska kultura. Tę Nowakową diagnozę zdawały się potwierdzać nie tylko badania Junga, ale i niezwykle płodne oraz modne w latach sześćdziesiątych praktyki strukturalistów, odwołujące się do ahistorycznych zasad „myśli nieoswojonej” ludów pierwotnych, zepchniętych na margines głównych

zainteresowań epoki. Claude Levi-Strauss starał się pokazać ich doświadczenie jako zagubiony paradygmat ludzkości i swoiste remedium na gorączkę nadmiernie uhistorycznionej cywilizacji, „przegrzanej” w procesie nieustannego produkowania nowości i w związku z tym już mało efektywnej w poszukiwaniu prawdziwego szczęścia człowieka.

Również ze swoistym zanegowaniem atrakcyjności kultury budowanej na wszechzobowiązującej wizji postępu mamy do czynienia w poezji Stanisława Grochowiaka. Jego *Agresty*, a także inne wczesne zbiory charakteryzuje odrzucenie związanych ze wspomnianą wizją cywilizacyjnych walorów młodości, siły, innowacji, dynamiki i historiozoficznego optymizmu. W wielu jego wierszach przejawia się tendencja do kreowania świata zimnego, egzystencjalnie wystudzonego, przenikniętego paradoksalnym życiem martwoty. Grochowiak socrealistycznej apoteozie tężyzny fizycznej, transparentowej poetyce zdobywców i motorniczych historii przeciwstawił tajemniczą urodę śmierci, butwienia i rozkładu. Jego ogród został stworzony z odpadów, z rzeczy wyrzuconych do lamusa, z drażniącej jak woń trupa, świec i jedliny aury funeralnych nastrojów.

Jest w naszym ogrodzie pewna suchość form To może
Dłatego drapak zamiast róży Albo
W miejsce hortensji widelce i noże
Które się wkłada – by zasnęły – w album

To jest w ogrodzie zamiast fontann – kurek
Rozkwitły w siedem jezorów żelastwa
Leżak zwalony jak Don Kichot z siodła
Piłka wypchana skamieniałym wapnem”

– pisał Grochowiak w wierszu *Ogród* z tomu *Rozbieranie do snu*. Znamienna dla jego utworów hieratyczność języka nadaje pleśnieniu i zamieraniu pewną dostojność, rytualną podniosłość, ba, nawet swego rodzaju metafizyczny poblask. Tylko takie, zdaniem poety, będzie ostateczne piękno naszego ogrodu życia, który już tu i teraz rozkrzewia się w śmierć:

Pośród agrestów
Drucianych i śliskich
Co biorą księżyc w drobne siatki klucia
Męskość poety dojrzeva tak biało,
jakby gruzlica zwapniała mu nerwy.

Innego rajy nie będzie, zdaje się mówić poeta, a więc po cóż zażarta walka o to, czego się i tak nie przybliży, nie urzeczywistni w porządku ziemskich dzie-

jów człowieka; wszak po próbach jego założenia – pokazuje nasz wiek – zostaje tylko zrujnowane sumienie, rozpacz i łzy. Po cóż go szukać na krańcach historii, kiedy tak naprawdę nawet nie zwiedziliśmy ogrodów naszych ciał? „W czym sobie upatrzyłaś, upodobałaś, wyobraźnio monotonna?” – pytał Grochowiak w jednym ze swoich ostatnich tomów, w *Bilardzie* – i odpowiadał:

W ogrodach lęku, jak mniemam, Dobry Panie, w sadach
Kościanych figur na szachownicy, gdzie macaniem kości
Gra się o Nienamacalne.

W trochę innym świetle przychodziło widzieć ogrody indywidualnego i wspólnotowego dojrzewania pisarzom debiutującym nieco później, kiedy z lekka opadły już emocje związane z doświadczeniami 1956 roku i próbami – jak to wówczas nazywano – „odzyskiwania socjalizmu z ludzką twarzą”. Należy do nich gdański poeta Mieczysław Cychowski, którego pierwszy zbiór pt. *Miejsca wydrążone* (1960), choć metrykalnie bardzo bliski poetyckiej formacji Współczesności, wnosił tonacje i rozpoznania w pewnym stopniu odbiegające od tego, co ukazywała twórczość jego starszych kolegów. Autor *Progresji* przede wszystkim odsłaniał rzeczywistość podwójnego „zranienia” jego generacji: wojenną i powojenną jednocześnie, hitlerowską i stalinowską zarazem. Obie zdają się u niego nie do oddzielenia i obie też w efekcie określa on jako egzystencję „wydrążoną”; jako świat dramatycznego i drastycznego wykorzenia z transcendentnych oraz historycznych wartości.

Ogród staje się dlań bardziej figurą wygnania niżli obrazową zapowiedzią nadziei, a jeśli już wpisywany bywa w porządek indywidualnego doświadczenia poety, to bardziej jako miejsce okrutnej konfrontacji rzeczywistości i marzeń, tęsknoty i bolesnego spełnienia, kruchej prawdy dzieciństwa i okrutnej realności wieku dojrzałego.

Krajobrazy opadają z nas –
i tylko światło unosimy
dla pocieszenia oczu.
Z próchniejącego nieba i owoców
w pierwszy zstępujemy śnieg.

– tym wierszem otworzył Cychowski swój debiutancki tom, wskazując w nim zarazem na to szczególne miejsce, w którym dokonuje się rozstrzygające dla obrazu jego świata spotkanie rzeczywistości ziemskiej i sakralnej, wiecznej i doczesnej, a obie widzi poeta jako przeżerane przez śmierć, dotknięte nieodwracalnym procesem rozkładu. Tak oto okazuje się, iż jedno motywuje drugie: erozja transcendentnych i historycznych nadziei niesie ze sobą degradację ziemskich spełnień człowieka; metafora „próchniejącego nieba i owoców” kon-

centruje w sobie ciemną prawdę dotyczącą obu wymiarów ludzkiej egzystencji. W sytuacji „gdy krajobrazy opadają z nas” – tym, co pozostaje – a co tak często podkreśla pisarz – to bytowanie wyzbyte złudzeń, trudna zgoda na własną samotność; co najwyżej: „pocieszanie oczu”, ale już mniej – duszy. I taki jest też ogród tego artysty (u Czychowskiego częściej sad niżli ogród): opustoszały, wygłuchły, prawie że wymarły. Tym jednak, co jeszcze ciągle czyni go bardzo ludzkim – to pamięć tego, co się w nim przeżyło, a zwłaszcza – pamięć dzieciństwa, choć i ona u niego bywała poddawana straszliwej próbie zła, cierpienia i deziluzji – jak w wierszu *Złote klucze* z pierwszego zbioru:

Znalazłem pęk złotych kluczy.
 Chciałem pootwierać drzwi, ale zły człowiek
 powrozem skrępował mi ręce i do każdej
 klamki przytroczył kudłatego Cerbera.
 „Krzycz sobie – powiedział. – Ja bardzo lubię
 słuchać jak ktoś krzyczy” – i do sadu pobiegł
 zaszcześcić trucizną jabłoniom, które rodzą.

Przywołaniem motywu gnijących owoców nieba i ziemi, zmarniałych i zmarnowanych plonów fatalnie realizowanej historii, otwierał Czychowski swój debiutancki tom, i obrazem ogrodu, w którym dokonuje się akt ostatecznego rozstania ze złudą własnego oraz wspólnotowego szczęścia ową książkę zamknął:

Upokorzony przez nędzarzy i zawistnego sługę -
 między ślepcami Breughla musiałeś pozostać – (niestety).
 Twoje lichtarze i kwiaty i niewidzialne berło
 I cały ogród ten w słońcu zatopionej Atlantydy.

W ten sposób rozmaici poci po 1956 roku, od tytułu najbardziej znanego pisma tej generacji zwani pisarzami Współczesności, na obrzeżach zinstytucjonalizowanych „ogrodów totalitarnej ideologii” próbowali uprawiać głęboko wewnętrzne ogrody swych przeczuć, marzeń i snów. Represjonującej utopii komunistycznej przyszłości przeciwstawiali bujny drzewostan egzystencji, w którym jest miejsce na prawdę, imaginację, ludzką nadzieję i strach. Czasem też, jak w przypadku Czychowskiego, sytuowali tam swoje doświadczenie biograficznego oraz aksjologicznego „wydrążenia”, przez które z trudem przebijała się plebejska wiara w odrodzieńczą moc życia i w ulotne piękno, kiedy – jak pisał poeta – „z pozorów liści odkrywa się iluzję owoców”.

Kazimierz Nowosielski



Fot. Tadeusz Baranowski

Małgorzata Baranowska

Już

Melbie

Ostatnie chwile nad wodą.
Już schodzi poźłota.
Rżysko świeci ciemno.
Już się zjawia księżyc.
Niepokonany pan.

Więc nokturn?
Już złoto topi się w srebro.
Już granatowy las.
Już mchem porosły gwiazdy.
Przechadza się czas ostatni i pierwszy.

Duch miejsca

Na skrzyżowaniach światła
odstraszają zwierzęta,
ale krzewy się nie boją.

A ono jak stało, stoi.
A ono rośnie, jak rosło.

O czym tu się mówi?
O niepoliczonym?
O nieobmierzonym?

Skąd miasto?
Skąd arterie?
Skąd dźwięk i blask?

W mieście bez imion i nazw
jezioro zamrożone.
Rzeką płynię zieleń.

Nad ulicami dnieje.
Nad placami mgła.
W przejściach nieśmiało powietrze.
Na niebie blask nie sięga dna.
Nasila się dźwięk.
Upada czas.
Wśród dachów gwiazda.

Spotkanie w wieczności

- Tego nie pamiętasz?
Przed postawieniem kroku na ziemi przez Kolumba-Adama
zwierzęta miały się nieźle.
Czasem któraś brama się zacięła
i nie mogły z gatunku przejść w gatunek.
Niekiedy zawiódł któryś ojciec czy matka.
Ale ogólnie szło dobrze.
Dobrze się biegało, kicało, pędziło, jadło, szczypało i żarło.
W rajskim się świecie żyło zwierzętom, pustyniom i wiatrom.
Gdy miecz Archaniola wygnał Adama z Raju,
tutaj, na brzegach ziemi, jeszcze go nie znano.
Biedny, dwunogi, goły i płaczący.
- Co to mu leci z oczu?
– To dobre na suszę?
– Jaki ma dziwny kolor! Ale...
– Właśnie! Jaki? To dobre pytanie.
Więc kiedy się pojawił, wszystkie się rzuciły.
Wszystkie się zeszły ze skał i pustyni.
Z lasów podpełzły. Z fal się wychyliły.
po to, by go przyjąć w swej otchłani wieków.
– Szło dobrze. Szło im dobrze – Kainie.

Pełnia

Pełnia. Gwiazdy trzymają się mrozu.
Ulice powtarzają zapomniany wzór.
Poeci nie śpią, bo pełnia.

Wysokość nieba staje im w gardle.
Dachy pod powiekami.
Pod stopami czas.

Nikt nie śmie uderzyć w klawiaturę ulic.
Zza sceny chór zapomniany.
Od frontu nieznane maski.

Okręty placów jeszcze nie ruszyły.
Młody księżyc wschodzi jak należy.
Poeci nie.

Małgorzata Baranowska



Fot. Agnieszka Herman

Teresa Ferenc

Rozmowa o wieczności

W starych murach lęku
odnalazłam podobną do mnie
Za nią się modłę
pod ścianą chłodu
Mewy zerwały się z powietrza
Z dłoni wyfrunął listek topoli
jak zielona planeta

Tak zapowiadasz swoje przyjście
na rozmowę o wieczności

Właśnie spadł tynk
ledwo uchylłam głowę

Moja twoja fotografia

Chłopiec z białą świecą
patrzy w obiektyw
jakby mu niebo prószło
w oczy jasnym światłem

Rośnie
Mundurek coraz krótszy
Spieszy się
Buciki głośno stukają
o kocie łby

Wiatr ucieka
Trzeba go dogonić

Zobaczyć że niebo
w Gdańskiej Zatoce
myje do białości kamyki i chmury
rozedrzeć muszlę
pełną żywego
Dotknąć językiem lepkiej śmierci

Pod spaloną ścianą
odnaleźć dziewczynkę
trzymającą palec na ustach

Stare dziecko

Wśród rachitycznych drzew
wapiennego nieba
zgubiłam stare dziecko

Ani je przygarnąć –
jest jak garstka zwiędłej trawy
spoza horyzontu

Ani pogłaskać –
głowę ma obolałą
aż po czubki włosów

zmęczone serce wpięto mu w klatkę
jak motyla
Kołata skrzydelkami
ale już zapomniało
jak biegnie trawa
w przeciwnym kierunku

Mosty którymi chodziliśmy
do siebie
dziurami zarosły
Zabłądziliśmy do cudzych jabłoni
Ktoś tu klęczy
Ktoś za nas powtarza
– moja wina moja wina
Niczyja
Trzeba było dojść
do tego miejsca

Psalm na koniec

Zimę zadałeś nam
Brakowało jej do szczęścia
Czujemy pod stopami
gwiazdny pył
Coraz nam cieplej w śniegu
Bóg z nami się brata

Zawsze był
w niebie na ziemi
z tobą ze mną

Tylko te nasze oczy
Ojczy
ślepe jak u kociąt

Rozbieramy się już ze zmysłów
Zobaczymy nareszcie
co w nas tak świeci

Dusza

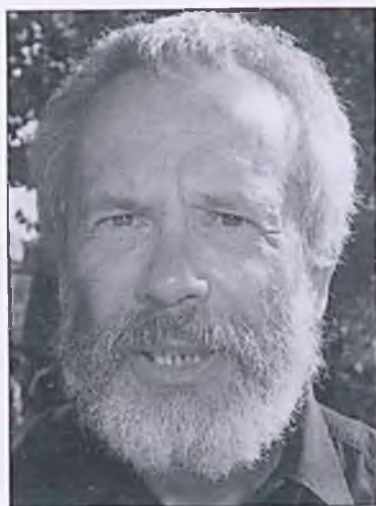
Jeszcze z ciała nie wyleciałam
Jeszcze obok siebie nie stałam
jak pragnienie przy wyschniętej studni

Duszo... Duszo... tak nazywam iskry
wyskakujące z kamienia
Duszo... łańcuchu pokoleń
jak antylopa poprzez falujące trawy

Jesteś Boży ślad
w ciałach ludzkiego bezdroża

Należę do twojego królestwa
młoda jak źrebię
stara jak piach

Teresa Ferenc



Fot. Marcin Czapliński

Bogusław Kierc

Porównanie

Uniesienie Kobiety z Avila nad ziemię
(bez pomocy przyrządów czy narządów) siłą
woli mocniejszej od jej woli; ten
stan zachwycenia zdumiewa tak samo,
jak tępy bezwład za dużego ciała
czteroletniej dziewczynki, która, niewidoma,
nie wiadomo, czy słyszy cokolwiek, bo nie
daje żadnego znaku, nie potrafi
chodzić, ni mówić, ni chwytać, ni gryźć.

Wniebowstąpienie

Zabrał Go obłok i jedynie stopy
podziurawione zostawiły w glinie
ślad przyciągania ziemskiego. Drży nagość
nieba. Dziewczynka po Pierwszej Komunii.

Jeszcze o tym

Ale to jeszcze na szczęście nie wszystko.
A na nieszczęście – za mało. Przemija
postać naszego świata, a niczyja
postać uwija się świadcząc, że blisko

nas świat świetniejszy podwoje otwiera
gościnne. Skóra i tkanka tłuszczowa
na suknię ślubną dla tej, co się chowa
w nich (czy – pod nimi), ale nie umiera –

nie są materią godną jej piękności.
Memento mori – nie pora na dąsy:
pamięć nie święta, więc podkręca wąsy,
gdy śnieg się zsuwa z Wiecznej Kobiecości

(Jak tęcze z Jungfrau, kiedy stoi bosa
na słońcu. Stoi – lecz idzie o miłość).
Ach, to, co było między nami, było
ściślej konkretne niż śmiertelna kosa

jej włosów – ścięta na dowód, że więcej
dziewczyną już nie będzie, ale potem
jednak owoców stawał się żywotem
błogosławionych ten jej brzuch chłopięcy...

Poeta po latach

Że oblysiła się, jak napisano
u Izajasza; że te siwe strzępy
wieńczące czaszkę są po czymś, co było

warkoczem długim aż do ślicznej pupy;
że spod tych wąsów błyszczą w rozchyleniu
warg tamte zęby tkwiące nad zębami

niegdyś mlecznymi; że z mleka i miodu
tak wzruszająco spływających po
podbródku – ledwo szpakowata mierzwa

brody i nawet ów niebiański puch
między moimi udami płowieje
nad emblematem (by tak rzec) nie żeńskiej

płci – nie do wiary, że to jestem ja:
Miranda dzień po dniu powtarzająca
zdanie o ludziach: Jacy oni piękni!

Trzeci

Pan go nazywał Arielem. Był giętki.
Jak akrobata. Potrafił wyskoczyć
z okna, podwójnie okręciwszy ciało
wokół niewidzialnego pręta. Ale okno
bywało zwykle zasłonięte. Raz
nie zaślepiąło go bielmo firanki;
ujrzeliśmy, jak Ariel – odwrócony tyłem
do nas – był nagi. Za jego nagością
widać było sztalugę i szary prostokąt

plótna, jakby napięte na blejtramic miało wyobrazać napięcie, w jakim staliśmy, ukryci za pniem dębu. Pan malował chłopca, który był chyba naszym rówieśnikiem, ale się z nami nie zadawał. Wiem, że zawstydzalo nas, podglądających, ciało podobne do naszych; pamiętam smutek złożony z nagłym pożądaniem bycia kimś innym. Kim? Może aniołem z mieczem ognistym. I wtedy się stało. Niewielki płomyk wspinał się po mgiełce batystu. Dzisiaj wiadomo, że z rusztu ustawionego na miednicy (było zimno) wypadły rozżarzone węgle na zwiniętą niedbale frankę. Dym szedł prosto do nieba.

Bogusław Kierc

PO CO PISZĘ?

Kontynuując ankietę, po odpowiedziach: Czesława Miłosza („Kwartalnik Artystyczny” nr 4/8/1995), Ryszarda Krynickiego, Juliana Kornhausera (nr 1/9/1996), Jana Józefa Szczepańskiego, Tadeusza Konwickiego, Zbigniewa Żakiewicza, Aleksandra Jurewicza, Andrzeja Stasiuka (nr 2/10/1996), Henryka Grynberga, Stefana Chwina, Kazimierza Brakonieckiego (nr 3/11/1996), Tadeusza Różewicza, Urszuli Koziół (nr 4/12/1996), Michała Głowińskiego, Bogdana Czaykowskiego (nr 1/13/1997), Kazimierza Hoffmana, Janusza Stycznia (nr 2/14/1997), Grzegorza Musiał, Krzysztofa Karaska (nr 3/15/1997), Floriana Śmieci, Macieja Niemca (nr 4/16/1997), Bolesława Taborskiego, Ewy Sonnenberg (nr 1/17/98), Marka Kędzierskiego, Leszka Szarugi (nr 2/18/98), Ludmiły Marjańskiej, Janusza Szubera, ks. Jana Twardowskiego, Piotra Wojciechowskiego, Bohdana Zadury (nr 3/19/98), Adriany Szymańskiej, Ewy Kuryluk, Urszuli M. Benki (nr 4/20/1998), Józefa Kurylaka, ks. Jana Sochonia (nr 1/21/1999), Ryszarda Kapuścińskiego, Aleksandry Olędzkiej-Frybesowej (nr 2/22/1999), Macieja Cisły, Mirosława Dziecni, Piotra Szewca (nr 3/23/1999), Krzysztofa Cwiklińskiego, Krzysztofa Lisowskiego (nr 4/24/1999), Stanisława Lema (nr 1/25/2000), Anny Nasilowskiej, Tomasza Jastruna, Jarosława Klejnockiego (nr 2/26/2000), Marii Danilewicz Zielińskiej, Jerzego Gizelli (nr 3/27/2000) zamieszczamy kolejne wypowiedzi. Ciąg dalszy w następnym numerze.

Małgorzata Baranowska

Poszczególne moje pisania mają swoje wyraźne cele. Jednak na pytanie „po co piszę?” nie ma jednej odpowiedzi. A nawet być może nie ma żadnej odpowiedzi.

Czuję, że piszę, bo to ma być zrobione. Ale czy taka jest prawda?

Piszę, bo coś mnie zmusza. To coś, jeśli już człowieka dostanie w swoje łapy, nie puszcza. Oczywiście miałam wybór. Jak każdy. Ogromny wysiłek trzeba włożyć w samo przeżycie życia. Wolę część tego wysiłku zużyć na pisanie, niż na cokolwiek innego.

Małgorzata Baranowska

Teresa Ferenc

Rozwiązane usta

Poezja jak wzrok Boga
pada na człowieka

To mnie przerasta
jak ziemia

Taki wiersz pewnego dnia napisał się – bo wiersze piszą się same, wypływają spod pióra. Poeta jest ledwie przekąźnikiem. Słowo poetyckie w ustach człowieka to dar wnikania głębiej niż widzi oko, słyszy ucho. Myślę, że to ciekawość: co dalej, co głębiej – każe mi używać w wierszu „oka serca”. Słowo z ust poety jest jak pojazd przywożący z głębin nowe warstwy poznania. Używając poezji, muzyki, każdej sztuki stajemy się bogatsi. Obficie i dordzenniej czerpiemy ze świata. Wiemy też o sobie więcej, ponieważ wiersz często nas wyprzedza. I bywamy zdziwieni, że „to” było w nas, jakby bez naszej wiedzy, bez naszego udziału.

Myślę, że ta nieustanna podróż po złote runo jest odpowiedzią – po co piszę.

Dodam jeszcze: komu piszę? Sobie i tobie. Oddaję, co otrzymałam, przy tym doznając przyjemności, której z niczym nie da się porównać.

Zdarzyło mi się napisać w latach siedemdziesiątych wiersz przebaczący zbrodnię. W czasie hitlerowskiej pacyfikacji mojej rodzinnej wsi Sochy na Zamojszczyźnie, w 1943 roku, rozstrzelano na moich oczach ojca i matkę, także prawie całą rodzinę – paręnaście osób. Spalono domy, pozabijano ludzi. Dziewięcioletnia, cudem ocalałam z moim pięcioletnim bratem i dwuletnią siostrą. Przeżyło kilku starców, parę kobiet.

Żyłam wiele lat z piętnem tej zbrodni jak zaczadzona, nieumiejąca o tym mówić. Zapadałam w jakiś koszmarny, zrosnięty z całą ziemią dół. Żyłam z tym, ale Ktoś wiedział, że trzeba zasiać we mnie ziarno przebaczenia, w przeciwnym razie pewnego dnia rozsypie się moje ciało i dusza.

To doświadczenie dziecka, ten ciężar był nie na ludzki rozum, nie na ludzkie serce. Ziarno posiane we mnie kiełkowało bez mojej wiedzy, rosło bez mojego czucia, aż stał się wiersz niewiarygodny dla mnie samej: *Psalm o tej która ocalała:*

Ja
która ocalałam
przychodzę bo kazałeś
najkrótszą drogą –
I tak do żywego stopy podarłam

Przyszłam prosić
nie poniewieraj kości moich wrogów
cierpią jak ja na alergię
uciekają bez ratunku na chorobę raka
chciwi pyszni wiecznie głodni
jak ja ludzkim głodem

przebacz im krew mojego ojca
na wciąż żywej krtani
matkę – do dziś w zboże leci
jak rozlupany anioł
psa który mnie nie dogryzł

daj im jeśli możesz
zwykły ludzki spokój

I stało się, że zniknął ze mnie czad spalenizny, wysypał się żużel. Pozostała pamięć dotkliwa. To ona spisywała następne wiersze jak dokumenty, odciskała gorące pieczęcie. To trzeci powód, dla którego piszę. Jestem świadkiem. Po to rozwiązano moje usta.

Teresa Ferenc

Bogusław Kierc

Po nic

To jest uczciwa i ścisła odpowiedź. Ale ja to mówię zachłannie. Jakbym sięgał. Po nic. Rzekłbym, że jest to zachłanność duchowa, przekraczająca krawędzie zmysłowej i umysłowej dostępności. Nie pomijająca jednak tego dostępnego – przeciwnie – wnrzająca się w jego istotę, w której zawsze migocze przeblask tego *n i c*.

W *Dziejach Apostolskich* – powalony mocą światła Szawel „podniósł się z ziemi, a gdy otworzył oczy, nic nie widział.” Według świętego Augusty-

na, kiedy Szawel „nic nie widział”, widział Boga. Mistrz Eckhart przedstawia te słowa, żeby uwyraźnić istotę doświadczenia Szawłowego: kiedy widział nic, widział Boga.

Nie chciałbym, żeby to, z czego się bezwstydnie zwierzam, zakrawało na mętne metafizykowanie. Wierzę, że nie tylko mnie właściwe jest owo fundamentalne pragnienie przekazania się, złączone z koniecznością przekroczenia siebie, naruszenia swoich granic (i ograniczeń), „wyjścia z siebie”, czyli – transu.

Nie chodzi mi tu o jakieś błogie halucynacje czy pobożne widzenia, choć za swoje biorę słowa Hioba: „W ciele moim oglądam Boga”. I rzeczywiście towarzyszy temu rodzaj podniecenia czy zachwyty podobnego do ekstaz dzieciństwa, kiedy miewało się duszę na ramieniu, albo serce podchodziło do gardła.

Przecież te dwie metafory wyniknęły z nader konkretnego doświadczenia. I moje sięganie (pisanie) po *nic* jest równie konkretne.

Pamiętam jedną z pierwszych inicjacji dziecka, kiedy dla potwierdzenia odwagi musiałem zejść o północy do ciemnej piwnicy. To ciemno, do którego schodziłem (po które sięgałem), roztopiało się w ogólnej ciemności (w tym, czego nie widać, jest coś, czego jeszcze bardziej nie widać), ale czułem stopnie schodów, drąg poręczy, zimną wilgoć, stęchłe powietrze, zapach drewna, węgla i ziemniaków. No i tę moją duszę na ramieniu.

Inne świadectwo odwagi chłopięcej miałem dać wspinając się na wieżę triangulacyjną na Magórcze. Grube bale konstrukcji, szczupłe szczeble drabinek, woń żywicy i trawy, wiatr ntemal odzierał mnie ze mnie, ponad wysokościami spływającymi w niecki dolin jaśniała nade mną jakaś najwyższość (w tym, co widać, jest coś, co jeszcze bardziej widać). Serce podchodziło mi do gardła.

Te doświadczenia dołu i góry, *ciemna* ciemniejszego od ciemności i *jasna* jaśniejszego od jasności, były do siebie podobne. W pokonywanym strachu i porażającym zachwycie sięgałem po *nic*, w którym (nie-którym) drży nagie *jest*.

Ciekawe, że największy (dla mnie) znawca tego *nic*, Mistrz Eckhart napisał o nagim chłopcu, którym okazał się Bóg.

Zatem pisząc (po *nic*) usiłuję powtórzyć w napięciach i rozluźnieniach głosek, w rytmach mowy to, co się dzieje z moją duszą-ciałem, kiedy sięga poza dostępność – tym mocniej chwytając się dostępnego konkretnego.

Jednym z najpiękniejszych przedstawień Wniebowstąpienia pozostaje dla mnie pewien średniowieczny obraz w Instytucie Sztuki w Chicago, ukazujący głębokie ślady stóp Chrystusa odcisnięte w opuszczonej dopiero co ziemi.

Bogusław Kierc

Kacper Bartczak

Biegiem w biel

We live...unsponsored, free
Wallace Stevens, *Sunday Morning*.

Dzień się kończy Jest czternaście
po szóstej i świerszcze
są dociekliwsze Ty też
błądzisz wśród wydm lecz fale

łakną spojrzeń Nad tobą
jaskółcza płatanina określa
zakres dociekań w błękiecie
i nic nie powstrzyma chyżości

naszego umysłu Oto jest portret
domu którego nie poznamy
W tym że nie mamy dowodów
jest jego czystość i sens

Czasami zbawienie

Dziś po raz pierwszy
wstałem rano
i czytałem gazetę na werandzie
Powietrze było chłodne
gdy oddychałem

Dziś po raz pierwszy
w deszczu na ulicy
kupiłem jej bukiet nagietków
Deszcz smakował soczyście
gdy szedłem

Dziś po raz pierwszy
zrobiłem sobie jajko sadzone
i posypałem je pieprzem
Śniadanie smakowało słonecznie
gdy jadłem

Czasami zbawienie

Gdy po raz pierwszy
oddycham
idę
jem

Alchemia

Nad ranem
najciężej pracuje łazienka
by dać mi mnie nowego

Łazience oddaję się
jak matce i najwierniejszej kochance
nagi
nic nie ukrywam
sam nie wiem o sobie więcej

Jej emaliowane gładkości i owale
przyjmują mnie pokornie i w ciszy
treść najgłębszych obaw
i żołądka
pot pachwin i pach
krew dziąseł
ropny szlam rzeki snów
Łazienka przyjmuje mnie miłośnic
sama jak święta
pozostaje nie zbrukana

Klozet wanna zlew
kafelki ścielą się pod stopy
w rogu klęczy bidet
sanktuarium adoracji ciała
i jego konfesjonał

Stacja przesiadkowa między jawą i snem
z poczekalnią gorących kąpiel
i zimnych pryszniców
z przechowalnią bagażu mojego ja

Przychodząc do łazienki
jeszcze nie całkiem jestem
Obmywam się
z past żeli szczotek
otarć opatuleń namaszczeń
złuszczeń wysięków i wydzielin
flakonów i chlorowanej wody
warzę sobie duszę

Ile godzin do końca świata

Chcemy by z tych rozmów coś wyszło
na spotkanie jutra bo w urzędach nie znają
litości i zimne oczy tej pani nie powiedzą nic
o twej przyszłości Żadna z niej Kasandra

choć też gada bez sensu Za oknami trwają
remonty ale wczoraj sympatyk mistrza Polski
utopił się w fontannie i rząd nie wyszedł do protestujących
Spłonął już komisariat i browar Zalane są

piwnice Pozrywane przewody rażą cynizmem
oświadczeń Belki rusztowań wmieszały się w tłum
drabinek na placyku Tylko drzewa są

u siebie ale patrzą w inną stronę bo gleba
jest zmyta do białości Takie jest życie;
w strugach źle stawianych pytań

Kacper Bartczak



Wojciech Brzoska

Znicz

Mój dziadek od roku sypia gdzie indziej.
Dostał nowe miejsce obok kościoła.
Teraz głębiej i częściej dotyka snu.
Nad nim kiczowate głowy sztucznych kwiatów
zamiast głów ludzi. Podjeżdżamy bliżej
żeby wreszcie to zmienić. W samochodzie mój tata
mówi żebym jeszcze zaczekał bo nie wiadomo
czy znajdziemy znicz. Jeśli nie to przecież
nie mamy z czym pójść. On szuka w bagażniku.
Ja szukam w sobie. Obaj znajdujemy.
Dziwię się. Coś jednak nas łączy.
Jemu brakuje jeszcze tylko zapalek.

spowiedź bez słów. po przejściach.

J. P.

mgła rano i wieczorem, szept morza, które
ostrzega wprost do ucha, a ja nie chcę mówić,
nie chcę słuchać. codziennie spotykam inne

stworzenia, ale to wszystko dzieje się jakby
za szybą, za mgłą. mam świat na wyciągnięcie
ręki złamanej w łokciu. mam świat na wyciągnięcie

nóg w szpitalu albo w „sanatorium pod przyczepą”
z napisem: kobietom wstęp wzbroniony. dobrze
pamiętam – moja twarz w twoich metalowych

zębach, w twojej tandetnej zemście na mojej
płci. sama widzisz, że nawet teraz łączą nas
tylko rany: pocięta skóra i ten nieszczęsny tydzień.

przyjechałem tu żeby wreszcie odpocząć,
dobrze się zabawić.

wyjeżdżam żeby wreszcie się wyleczyć,
żeby dobrze

się zabliznić.

dojrzewanie, pociąg, inicjacja

południe, w pociągu bezwzględny tłok wyrzuca
z przedziałów nowych bezdomnych, przygarniętych
za chwilę przez uczynny korytarz.
kilkunastoletnia o twarzy dziecka bombardowana

feerią obrazów jak w teledysku śledzi
uważnym wzrokiem leżące na wznak, leniwie
dojrzewające ciała pól pokryte
rzadkimi jeszcze włoskami, coraz częściej

masowane przez delikatne opuszki promieni.
niebo jest lustrem odbijającym wstyd i dumę
jednocześnie okno jest lustrem przeszłości.
teraz schyla się, sięga do podartego plecaka,

wyciągając mały atlas anatomii zaciekawiona
cierpliwie sprawdza dalsze

bliższe podobieństwa.

kto pierwszy ten lepszy

ukradkiem zerkają na siebie, czasem wspominają coś
o porze żniw albo testamentie, ale zaraz gryzą się
w język, wracają do swoich spraw. dni rosą powoli

jak siwe strąki włosów na pomarszczonej skórze:
posiłki jedzone na siłę, jakby przeciw sobie,
strzępy słów, czarno-białe sny. oni już wiedzą:

listopad to miesiąc, w którym na groby
spadają liście, zmarłym robi się cieplej a żywym
chłodniej. ten wyścig rozpoczął się dawno, ale wciąż

nie widać końca, nie widać początku. co wieczór
każde z osobna modli się, żeby to właśnie jemu
przypadł ten zaszczyt, odpadł ten

ból.

Wojciech Brzoska

Tadeusz Hellikes

Sen

Śniło mi się, że jestem mordercą.
Zabiłem przyjaciela, nie przy tym nie czułem.
Sen minął, uśmiecham się do przyjaciela
Który spokojnie patrzy mi w oczy.
Lecz kiedy zostaję sam, nie wiem, kim jestem?
Czy nie mordercą? Bo skąd wziął się sen?
I czy nie wróci? W przeszłości wracał.

Inny sen

Żeby nie być samotnym ściałem sobie głowę
i siedzieliśmy przy stole, ja i ścięta głowa
ja-tułów na krześle, ja-głowa na talerzu
wpatrywała się w ręce, które ją obcięły
byłem we dwoje, toczyła się noc.

Okno

Cóż one robią? Jedna karmi koty,
Ale ta druga? Chyba chce być sama,
Czeka, aż tamta skończy i odejdzie.

Jedna ma bure palto, grzywkę siwych włosów,
Zgarbiona, wysuszona, co dzień nosi w torbie
Jakieś żarcie dla kotów, pewnie czerstwy chleb.

A druga? Dziś ją widzę po raz pierwszy,
Jest przy śmietniku, grubsza w żółtej kurtce,
Teraz schylona, drapie się po nodze.

Koty zjadły, odchodzi. Druga się ogląda,
Raz dwa przerzuca śmietnik, coś wyjmuje
I już jej nie ma, znika.

Tadeusz Hellikes

Blaise Cendrars

W sercu świata

Niebo Paryża jest bardziej czyste niż zimowy nieboskłon przezroczysty
od zimna.

Nigdy nie widziałem nocy tak rozgwieżdżonej i tak gęstej
jak tej wiosny,

Kiedy drzewa na bulwarach są jak cienie nieba,

A w rzekach skłębione liście jak uszy sloni,

Liście platanów, ciężkie kasztany.

Nenufar na Sekwanie to księżyc w prądzie wody.

Mleczna Droga na niebie omdlewając ściska Paryż,

Szalona, naga, przewrócona się ustami Notre-Dame.

Wielka Niedźwiedzica z Małą Niedźwiedzicą pomrukują wokół
Saint-Merry.

Moja ucięta ręka świeci na niebie w gwiazdozbiornie

Oriona.

W tym zimnym i ostrym świetle, które drgając jest jeszcze bardziej nierealne,
Paryż jest jak zamrożona podobizna rośliny,
Która ponownie wznosi się ze swego prochu. Smutny wizerunek.
Stojące pod sznur, pozbawione wieku domy i ulice są
Tylko kupą kamieni i żelastwa w tej nieprawdopodobnej pustyni.
Tej nocy ani Babilon, ani Tebaida nie są bardziej martwe,
niż to nieżywe miasto Paryż,
Niebieskie i zielone, atramentowe i smoliste, którego pobielane szczyty sięgają gwiazd.
Żadnego hałasu. Żadnego przechodnia. Ciężkie milczenie wojny.
Moje oko błądzi od ulicznych pisuarów do oczu ulicznych latarni,
Jedynie w takich oświetlonych miejscach wałęsa się mój niepokój.
I tak całymi wieczorami obchodzę pieszo cały Paryż,
Od Batignolles do Quartier Latin jakbym przemierzał
Andy
Pod ogniem nowych gwiazd, o wiele większych i bardziej porażających.
Krzyż Południa z każdym krokiem w jego stronę jest coraz cudowniejszy,
kiedy wynurza się ze starego świata
Ponad swoim nowym kontynentem.

Jestem człowiekiem, który nie ma już przeszłości. – Tylko mój kikut sprawia mi ból. –
Wynająłem pokój w hotelu, aby być zupełnie sam ze sobą.
Mam wiklinowy koszyk, całkowicie nowy, który zapełnia się moimi rękopisami.
Nie mam książek, ani obrazów, ani żadnej innej ładnej rzeczy.

Jakaś gazeta wala się na moim stole.
Pracuję w pustym pokoju, z tyłu mam zmatowiałe lustro,
Bose stopy trzymam na czerwonej posadzce, bawię się balonikami i dziecięcą trąbką:
Pracuję nad KOŃCEM ŚWIATA.

HOTEL NOTRE - DAME

Powróciłem do Quartier
Jak do czasów mej młodości
Sobie myślę to bezużyteczne
Przecież nic we mnie nie odżyje
Z tamtych marzeń i nieszczęść
Kiedy miałem osiemnaście lat

Wyburzono niemało domów
Zamieniono ulicom sporo nazw
Saint-Séverin jest оголоcony
Plac Maubert powiększony
Saint-Jacques ulicę poszerzono
Tak myślę nawet to ładne
Zarazem antyczne i nowe

No i właśnie pozbywając się
Brody i nawet włosów
Mam dzisiejszą twarz
Ale dziadka czaszkę

I dlatego nie żałuję nic
I przyzywam burzyciele was
Moje dzieciństwo zburzcie też
Całą rodzinę i mój świat
A tu zbudujcie dworzec lub
Zostawcie pustą przestrzeń
Skąd początek mój jest

Ja nie jestem synem mego ojca
I pradziadka tylko kocham
Nowe nazwisko sobie wziąłem
Zrozumiałe jak niebiesko-czerwony
Na rusztowaniu plakat
Za którym budują
Jutrzejsze nowości

Raptem syreny wyją, a ja biegnę do okien.
Od strony Aubervilliers już grzmi działo.
Niebo rozgwieżdża się od samolotów Boszów, pocisków, krzyży
i rakiet,
Krzyki, gwizdy, tonacje, które wybuchają i skowyczą
pod mostami.
Sekwana jest bardziej czarna niż czeluść, a jej ciężkie
łodzie
Są długie, jak trumny wielkich królów z dynastii Merowingów
Ozdobione gwiazdami, które toną w głębi wody
– w głębi wody.
Zdmuchuję lampę z tyłu i zapalam grube
cygaro.

Wyrwani ze snu ludzie szukają ratunku i hałasując wybiegają
na ulice,
Żeby schronić się w piwnicach Prefektury, które czuć
prochem i saetrą.
Fioletowe auto prefekta krzyżuje się z czerwonym autem strażaków,
Bajeczne i zwinne, dzikie i przymilne, tygrysie jak spadające
gwiazdy.

Syreny zamiauczały i zamilkły. Nawałnica wali
z całej siły. Tam wysoko. To szaleństwo.
Ujadania. Trzaśnięcia. Ciężka cisza. Potem przesywający upadek
i ogłuszająca wściekłość torped.
Łomot milionów ton. Błyskawice. Ogień. Dym.
Płomień.
Akordeon 75-tek. Ataki. Krzyki. Walnięcia. Przenikliwe dźwięki.
Kaszlnięcia. Osypywanie się ścian.
Całe niebo migocze od niewidzialnych mrugnięć
oczu,
Żrenice, kolorowe ognie, które tną, dzielą, ożywiają
melodyjne śmigła.
Nagle reflektor oświetla plakat Cadum z dzieckiem,
Potem skacze do nieba i robi w nim otwór mlekiem
jak smoczkiem.

Biorę kapelusz i teraz ja z kolei na czarne ulice
wychodzę.
Oto stare brzuchate domy, które podpierają się
jak starcy.
Wszystkie kominy i chorągiewki pokazują niebo
palcem.
Wchodzę na ulicę Saint-Jacques, ręce trzymam głęboko
w kieszeniach.

Oto Sorbona i jej wieża, kościół, liceum Louis-le-
Grand.
Trochę dalej proszę o ogień piekarza
przy pracy.
Zapalam nowe cygaro i patrzymy na siebie
z uśmiechem.
Ma piękny tatuaż, a na nim nazwisko, różę i zasztyletowane
serce.
To nazwisko dobrze znam: moja matka je nosi.
Wybiegam na ulicę. Oto i ten dom.
Zasztyletowane serce – pierwsze miejsce upadku –
O wiele piękniejszy niż twój obnażony tors piękny piekarzu –
Dom, w którym się urodziłem.

BRZUCH MOJEJ MATKI

To mój pierwszy dom
Był zupełnie okrągły
Często sobie wyobrażam
Jaki wtedy byłem...

Stopy na sercu twoim mamo
Kolana na wprost twej wątroby
Ręce skrzyżowane w przewodzie
W okolicy twego żołądka

Plecy zgięte w spiralę
Uszy zapchane oczy puste
Cały zwinęty i napięty
Z głową prawie poza twoim ciałem

Z czaszką przy otworze
Cieszyłem się twoim zdrowiem
Ciepłem krwi twojej
I uściskami taty

Często jakiś dziwaczny ogień
Elektryzował me ciemności
Szok w czaszce mnie pobudzał
Do podskoków na twym sercu

Wielki mięsień twej vaginy
Wówczas mocno się zaciskał
Ja boleśnie to znosiłem
Twoją krwią zalewany

Czoło nadal mam nierówne
Od tych pchnięć mego ojca
Dłaczego to musiałem znosić
Uduşzony do połowy

Gdybym mógł otworzyć usta
To bym ciebie ugryźł
Gdybym mógł już mówić
To bym krzyknął na pewno:

Gównu, ja nie chcę żyć!

Stoję na chodniku na wprost domu i długo na niego
patrzę.

To dom, w którym napisana została „Powieść o Róży”.
Ulica Saint-Jacques 216, Hôtel des Étrangers.
Pod 218 jest sztyld akuszerki pierwszego stopnia.

Ponieważ u niej nie było miejsca, odesłała moją matkę,
żeby położyła się i urodziła w hotelu obok.

Pięć dni później płynąłem parowcem do Brindisi. Matka
miała dołączyć do ojca w Egipcie.

(Parowiec – „packet-boat”, paczka, kurier, poczta;
mówi się jeszcze o kurierskiej żegludze z Indii oraz nadal
nazywa się kurierem transoceanicznym trójmasztowca, który
kursuje wokół przylądka Horn).

Czy jestem pelagianinem, jak moja egipska niania, czy Szwajcarem
jak mój ojciec,

Albo Włochem, Francuzem, Szkotem, Flamandczykiem jak mój
dziadek, albo innym nieznanym mi przodkiem, który był konstruk-
torem

organów w Nadrenii i w Burgundii, albo jeszcze innym,

Który był najlepszym biografem Rubensa?

Był jeszcze i taki, który śpiewał w „Chat-Noir”, o czym mi
powiedział Erik Satie.

Ale jednak jestem pierwszy o tym nazwisku, gdyż sam
je sobie całkowicie wymyśliłem.

W żyłach moich płynie krew Lavatera i krew Eulera,

Tego sławnego matematyka wezwanego na dwór Rosji przez

Katarzynę II, a który, będąc niewidomym, w wieku osiemdziesięciu
sześciu lat podyktował swojemu dwunastoletniemu wnukowi Hansowi

Traktat z algebry, który czyta się jak powieść,

Aby udowodnić sobie, że jeżeli stracił wzrok, to
nie utracił jasności

Umysłu ani logiki.

Stoję na chodniku na wprost i patrzę na wąski i
wysoki dom naprzeciw mnie,

Który odbija się wewnątrz mnie samego jak we krwi.

Kominy dymią.

Ciemno. Nigdy nie widziałem bardziej rozgwieżdżonej nocy.

Bomby wybuchają. Pada deszcz odłamków.

Rozpruta jezdnia ukazuje etruski cmentarz

założony na cmentarzu mamutów, odsłonięty

Na budowie, gdzie wznoszony jest Instytut Oceanograficzny
księcia Monaco.

Przy jego płocie zawracam, zataczam się,
przyklepam,
Nowy plakat na starych podartych plakatach.

O ulico Saint-Jacques! Stara szparo Paryża, który ma tu
kształt vaginy i o którego żywocie chciałbym nakręcić
film, pokazać na ekranie jego kształtowanie się,
jego kompozycję i promieniowanie wokół własnego rdzenia,

Notre-Dame,

Stara szparo na głębokościach, długie wędrowanie

Od Porte des Flandres do Montrouge,

O ulico Saint-Jacques! Tak, zataczam się, lecz nie jestem
śmiertelnie ranny ani nawet draśnięty.

Jeżeli chwieję się, to dlatego, że dom ten mnie przeraża,
więc wchodzę

– Drugie miejsce upadku – do Hôtelu des Étrangers,
gdzie już często wynajmowałem pokój na
dzień

Albo na noc, mammo,

Z kolorową kobietą, albo z umalowaną panienką z
Harcourt czy Boul'Mich'

I gdzie przebywałem przez miesiąc z tą amerykańską
dziewczyną, która miała powrócić do swojej rodziny w Nowym Jorku,
która jednak przepuszczała wszystkie statki,

Ponieważ była naga w moim pokoju i tańczyła przed
ogniem płonącym

W kominku i ponieważ lubiliśmy się kochać za
każdym razem, gdy kwiaciarka z rogu ulicy
przynosiła nam koszyk parmeńskich fiołków,

i ponieważ czytaliśmy razem, aż do końca,

„Fizykę Miłości” albo „Łacinę Mistyczną”

Remy de Gourmonta.

Lecz tej nocy, mammo, przychodzę tu sam.

HÔTEL DES ÉTRANGERS

Jakie jest Miłości imię mojej miłości?
Wchodzę widzę umywalkę szpilkę
Do włosów zapomnianą w kącie
Albo na marmurze
Kominka albo leżącą
W szczelinie parkietu
Za komodą
Ale jej imię Miłości jakie jest imię mojej miłości
W lustrze?

.....

Paryż, 1917

Blaise Cendrars

Przetłóżył Kazimierz Brakoniecki

Pierwodruk, „Littérature”, nr 16, Paryż, sierpień 1919 oraz „Montparnasse”, Paryż, nr z 1 maja 1922. Druk książkowy © 1947, Editions Denoël: *Au coeur du monde. Poésies complètes 1924-1929*. Przekład na podstawie wydania z 1996, Galimard, nrf, Paris. Ten poemat publikowany jest w Polsce po raz pierwszy w całości.

NOTY O AUTORACH

Małgorzata Baranowska, ur. 1945 w Krakowie. Krytyk i historyk literatury; pracuje w Instytucie Badań Literackich PAN. Opublikowała m.in.: *Pamiętnik mi-styczny* (1987, 1999), *To jest wasze życie. Być sobą w chorobie przewlekłej* (1994), *Warszawa. Miesiące lata wieku* (1986), *Prywatna historia poezji* (1999), w dalszym ciągu ukazująca się w odcinkach w „Twórczości”. Mieszka w Warszawie.

Kacper Bartczak, ur. 1972; tłumacz, pracownik naukowy Uniwersytetu Łódzkiego. Mieszka w Łodzi.

Wojciech Brzoska, ur. 1978; student kulturoznawstwa Uniwersytetu Śląskiego. Publikował m.in.: w „FA-arcie”, „Frazie”, „Śląsku”, a także w 2 (22) 1999 nr. „K.A.”. W 1998 ukazał się jego arkusz poetycki *Przeskok* (dodatek do „Opcji”). Mieszka w Sosnowcu.

Blaise Cendrars (właściwie *Fiédéric Sauser*), ur. 1887, zm. 1961. Poeta i powieściopisarz francuski, z pochodzenia Szwajcar; podróżnik i futurysta. Autor poematów i powieści, m.in.: *Milczenie i krzyk*, *Porażony gromem*, *Wielkanoc w Nowym Jorku*, *Proza Transsyberyjskiej Kolei*.

Teresa Ferenc, ur. 1934 roku w Ruszowie koło Zamościa. Opublikowała kilkanaście tomów poetyckich oraz zbiory wierszy dla dzieci; ostatnio ukazały się *Psalmy i inne wiersze* – wybór wierszy stanowiący podsumowanie ponad czterdziestoletniej drogi twórczej. Mieszka w Sopocie.

Aleksander Fiut, ur. 1945 w Żywcu. Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Autor tomów esejów i szkiców krytycznych. Ostatnio opublikował *Być (albo nie być) Wschodnioeuropejczykiem*. „K.A.” opublikował jego eseje w numerach 2 /1994, 1 (9) 1996, 3 (11) 1996. Mieszka w Krakowie.

Michał Głowiński, ur. 1934 w Pruszkowie. Profesor Instytutu Badań Literackich PAN. Autor m.in. monografii: *Powieść młodopolska; Zaświat przedstawiony. Szkice o poezji Bolesława Leśmiana*, współautor *Zarysu teorii literatury*. Wydawnictwo Open opublikowało jego opowieść pt. *Czarne sezony* nominowaną do Nagrody Nike 1999. Autor prac poświęconych analizie języka PRL-u: *Marcowe gadanie*, *Pereliada*, *Mowa w stanie obłąkania*, *Końcówka*. Ostatnio ogłosił *Dzień Ulissea i inne szkice na tematy niemitologiczne*. Mieszka w Warszawie.

Julia Hartwig, ur. 1921 w Lublinie. Autorka tomów poetyckich, przekładów i esejów. W 1995 w Wydawnictwie Znak ukazał się jej wybór wierszy pt. *Nim opatrzysz się zieleni*; w 1999 roku Wydawnictwo a5 wydało tomik wierszy *Zobaczone*,

nominowany do Nagrody Nike 2000. Wiersze Hartwig opublikowaliśmy w „K.A.” nr 4 (8) 1995, 2 (18) 1998, 1 (21) 1999. Mieszka w Warszawie.

Tadeusz Hellikes, ur. 1979 w Warszawie, studiuje filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim. Publikuje pod pseudonimem. (red.)

Bilha Kaliszcz-Hazaz, ur. w Tel Awiwie; po dwudziestu latach pracy w laboratorium immunofluorescencji telawiwskiego szpitala zajęła się medycyną alternatywną, refleksologią, mistyką oraz literaturą. Opublikowała pięć książek. Mieszka w Tel Awiwie.

Bogusław Kierec, ur. 1943 w Bielsku-Białej, autor szesnastu zbiorów wierszy, książek esejistycznych i sztuk teatralnych dla dzieci; edytor twórczości Rafała Wojaczka. Mieszka we Wrocławiu.

Julian Kornhauser, ur. 1946 w Gliwicach. Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Opublikował tomy poetyckie i prozatorskie, szkice i rozprawy krytycznoliterackie oraz przekłady literatury serbskiej i chorwackiej. W 1999 r. ukazał się tom szkiców Juliana Kornhausera *Postscriptum. Notatnik krytyczny*. Jego wiersze opublikowaliśmy w „K.A.” nr 3/94, 3 (23) 1999, prozę w nr. 1 (17) 1998, esej w nr. 2 (22) 1999 oraz przekłady w nr. 3/1994, 3 (7) 1995, 3 (23) 1999. Mieszka w Krakowie.

Czesław Miłosz, ur. 1911 w Szetejniach (powiat kiejdański) na Litwie. Laureat literackiej Nagrody Nobla w 1980 roku. W 2000 roku opublikował *Eseje* (Świat Książki) i zbiór wierszy pt. *To* (Znak), a w serii *Dzieł zebranych* ukazały się: *Dolina Issy* (Wydawnictwo Literackie), *Człowiek wśród skorpionów* (Znak), *Widzenia nad Zatoką San Francisco* (Wydawnictwo Literackie), *Wypisy z ksiąg użytecznych* (Znak). Wiersze i wypowiedzi Miłosza opublikowaliśmy w 3/1994, 4 (8) 1995, 1 (13) 1997, 3 (15) 1997, 4 (16) 1997, 2 (18) 1998, 3 (19) 1998, 4 (20) 1998, 1 (21) 1999, 2 (22) 1999, 3 (23) 1999, 4 (24) 1999, 2 (26) 2000, 3 (27) 2000 nr. „K.A.”. Mieszka w Krakowie i w Berkeley (California).

Kazimierz Nowosielski, ur. 1948 we wsi Rybno na Kujawach. Pracownik naukowy Uniwersytetu Gdańskiego. Autor tomów poetyckich, zbiorów esejów i szkiców krytycznych. Jego wiersze drukowaliśmy w „K.A.” nr 2 (6) 1995 i nr 3 (23) 1999. Mieszka w Gdańsku.

Joanna Pollakówna, ur. 1939 w Warszawie. Opublikowała jednaście zbiorów poetyckich i sześć książek o malarstwie. Ostatnio ukazały się: *Skąpa jasność* – wiersze, *Gлина i światło* – eseje. Uehonorowana nagrodami, z których najważniejsze, to: im. Kościelskich, Fundacji Alfreda Jurzykowskiego, im. Mikołaja Sępa Szarzyńskiego, Czesława Miłosza, Fundacji Kultury. Jej esej opublikowaliśmy w 1 (25) 2000 nr. „K.A.”. Mieszka w Warszawie.

Leszek Szaruga, ur. 1946 w Krakowie. Pracownik naukowy Uniwersytetu Szczecińskiego. Opublikował 12 tomików poetyckich i 6 książek krytycznoliterackich, ostatnio m.in. tom wierszy *Skupienie* (1997), *Dochodzenie do siebie, Powrót poetów* oraz *Milczenie i krzyk. Pięć esejów z powodu Młodej Polski* (1997). Jego utwory opublikowaliśmy m.in. w 2 (18) 1998 i 2 (22) 1999 nr. „K.A.”. Mieszka w Warszawie.

Andrzej Szuba, ur. 1949 w Gliwicach. Opublikował m.in. *Wyjście zapasowe* (1980), *Postscripta* (1986), *Strzępy* (1998), także liczne przekłady poezji amerykańskiej i brytyjskiej (m.in. G.M. Brown, E. Morgan, S. Crane, W. Whitman, E.L. Masters, A. Ginsberg, L. Ferlinghetti, E. Pound, R. Hass). Współpracuje z „Literaturą na Świecie”. Jego przekłady opublikowaliśmy m.in. w 1/1994, 1 (13) 1997, 1 (21) 1999 nr. „K.A.”. Mieszka w Katowicach.

Adriana Szymańska, ur. 1943 w Toruniu. Absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Opublikowała jedenaście zbiorów poetyckich, powieść i dwie książki dla dzieci. W 1999 r. w Wydawnictwie Dolnośląskim ukazał się jej tomik wierszy pt. *Opowieści przestrzeni*, a w roku 2000 w Wydawnictwie Czytelnik tom wierszy pt. *Lato 1999*. Wiersze Adriany Szymańskiej drukowaliśmy w „K.A.” nr 4 (8) 1995, 4 (20) 1998, 2 (22) 1999 i 1 (25) 2000. Mieszka w Warszawie.

Wisława Szymborska, ur. 1923 w Bninie (obecnie część Kórnika w Poznaniu). Autorka 9. tomików wierszy. Laureatka literackiej Nagrody Nobla w 1996 roku. W roku 2000 Wydawnictwo a5 wydało *Wiersze wybrane* Wisławy Szymborskiej w wyborze i układzie Autorki, a Wydawnictwo Literackie *Pocztę literacką, czyli jak zostać (lub nie zostać) pisarzem*. W „K.A.” nr 2 (18) 1998 został opublikowany esej Piotra Roguskiego *Jaki stąd płynie moral? Uwagi o poezji Wisławy Szymborskiej*. Mieszka w Krakowie.

Kazimierz Wyka, ur. 1910 w Krzeszowicach pod Chrzanowem. Historyk i teoretyk literatury, krytyk literacki, esecista. Studiował filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim, studia kontynuował w Belgii i Francji jako stypendysta Funduszu Kultury Narodowej. Po wojnie profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, w latach 1945-1950 redaktor naczelny „Twórczości”, współzałożyciel i dyrektor Instytutu Badań Literackich PAN. Profesor Kazimierz Wyka ma bogaty dorobek twórczy, około 950 publikacji. Przedmiotem jego badań była literatura XIX i XX wieku – romantyzm i Młoda Polska. Najważniejsze prace to m.in. *Pogranicze powieści, Modernizm polski, Cyprian Norwid, poeta i sztukmistrz*, Wstępy do *Dziela Słowackiego* i *Pism wszystkich* Fredry, analiza *Pana Tadeusza*. Interesował się także innymi dziedzinami sztuki – eseje im poświęcone ogłosił w tomach *Szkice literackie i artystyczne, Wędrując po tematach*. Zmarł w Krakowie w 1975 roku. W poprzednim numerze „K.A.” opublikowaliśmy pierwszą część eseju *Pesymizm a odbudowa człowieka*.

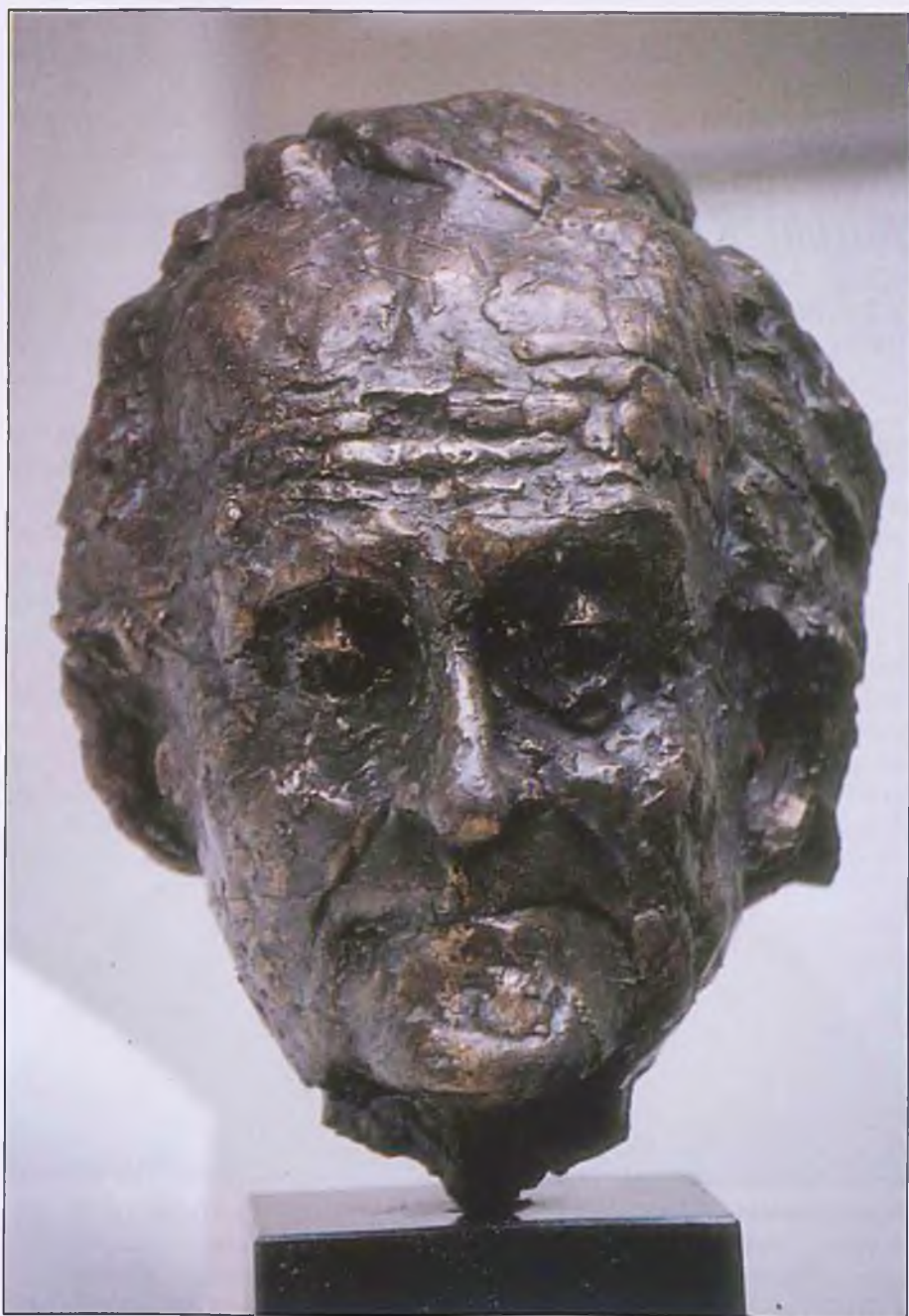
PLASTYKA

Prezentacje *Michał Kubiak*



Portret podwójny, 1983, brąz patynowany, 32 cm

Michał Kubiak, ur. 1946 w Bydgoszczy. Studiował rzeźbę w Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu. Dyplom obronił w pracowni rzeźby Olgierda Truszyńskiego w 1972 roku. Autor prac rzeźbiarskich w brązie, metalu, marmurze; twórca medali, płaskorzeźb, popiersi, portretów rzeźbiarskich. Mieszka w Bydgoszczy.



Andrzej Szwalbe, 1996, brąz patynowany, 55 cm



Z cyklu „Wędrowcy”, 1997, brąz patynowany, 195 cm



Bydgoskie Drzwi Błogosławieństw (awers), 1997, brąz patynowany, 320/230 cm



Bydgoskie Drzwi Błogosławieństw (rewers), 1997, brąz patynowany, 320/230 cm

WAŻNIEJSZE WYSTAWY I REALIZACJE:

- 1972 – Politechnika Poznańska, pierwsza Wystawa Indywidualna.
- 1972 – XXV Festiwal Młodych – Malarstwo, Rzeźba, Grafika, BWA Sopot i V Festiwal Kultury we Wrocławiu.
- 1973 – Wystawa prac z Adamem Myjakiem, BWA Bydgoszcz.
- 1973 – VIII Biennale Młodych, Paryż.
- 1974 – Wystawa Sztuki Polskiej „Poland Today”, USA.
- 1975 – Wystawa Indywidualna, BWA Bydgoszcz.
- 1976 – Ogólnopolski Plener Rzeźbiarski, Ustka.
- 1980 – Wystawa Indywidualna, UMK Toruń.
- 1981 – Indywidualna Wystawa Rzeźby, BWA Bydgoszcz, Koszalin.
- 1986 – I Triennale Rzeźby Portretowej, Gdańsk.
- 1987 – Wystawa Indywidualna, „Galeria 85”, Bydgoszcz.
- 1987 – Wystawa zbiorowa – „Wystawa 12 z Polski”, Niemcy.
- 1988 – Praca nad projektami płaskorzeźby Błogosławionego ojca Maksymiliana Kolbego, krucyfiksu i drogi krzyżowej pod wezwaniem Błogosławionego ojca Maksymiliana Kolbego, Bydgoszcz.
- 1990 – Realizacja płaskorzeźb Artura Rubinsteina i Jana Ignacego Paderewskiego.
- 1990 – Wystawy Indywidualne, BWA Bydgoszcz, Poznań, Toruń, Sopot.
- 1992 – Wystawa Indywidualna Rzeźby, Filharmonia Pomorska, Bydgoszcz.
- 1994 – Odślonięcie portretu rzeźbiarskiego Stefana Kisielewskiego, Filharmonia Pomorska, Bydgoszcz.
- 1994 – Grand Prix II Biennale Plastyki Bydgoskiej.
- 1994 – Wystawa – „Exhibition of Polish Art”, Londyn.
- 1995 – Rozpoczęcie prac projektowych do „Bydgoskich Drzwi Błogosławieństw” dla kościoła pod wezwaniem świętego Wincętego á Paulo, Bydgoszcz.
- 1997 – Otwarcie „Drzwi Błogosławieństw”. Odślonięcie popiersia Czesława Miłosza, Filharmonia Pomorska, Bydgoszcz.
Realizacja rzeźby z brązu z cyklu „Wędrowcy”.
- 1998 – Wystawa Indywidualna Rzeźby w czasie trwania 36. Bydgoskiego Festiwalu Muzycznego, Filharmonia Pomorska, Bydgoszcz.
- 2000 – Ukończenie „Chrzczelnicy roku 2000”, kościół pod wezwaniem Świętych Polskich Braci Męczenników, Bydgoszcz.
Odślonięcie rzeźby portretowej Jerzego Waldorffa, Filharmonia Pomorska, Bydgoszcz.

V A R I A

Michał Głowiński

Akademik Żarkow

Zdarzyło się to w całkiem już długich dziejach naszej instytucji bodaj raz tylko, dyrekcja wydała oficjalne rozporządzenie służbowe, na ten odczyt mają przyjść wszyscy, sala powinna być pełna. Nigdy do tej pory nie zaganiano u nas publiczności na naukowe imprezy, nigdy – tak się to wówczas nazywało – nie organizowano widowni. Oczywiście, trudno było zapędzić na uczoną prelekcję batalion rekrutów, czy innych żołnierzy należących do stołecznego garnizonu, oni specjalizowali się w zapelnianiu foteli na spektaklach sztuk, które były tak słuszne ideologicznie, że przynajmniej na pierwszych przedstawieniach sala teatralna nie powinna świecić pustkami. Jest zresztą pewne, że obecność mundurowych naszego dostojnego gościa by nie usatysfakcjonowała, choć niewątpliwie doceniał wagę obronności socjalistycznego obozu, był mężem uczonym i do ludzi nauki pragnął przemawiać. Nazwa naukowej godności tak zrosła się z jego nazwiskiem, jakby stanowiła arystokratyczny tytuł, socjalistyczną odmianę *von und zu*, choć nie przechodziła z ojca na syna, przyznawano ją za zasługi dla wiedzy, za dorobek wznoszony na chwałę socjalistycznej ojczyzny, a może nawet – całej postępowej ludzkości. I w istocie „akademik” zastąpił imię i *patronimicum*, „akademik Żarkow” – to brzmiało dumnie, mówiło wszystko i wystarczało; jakie nosił imię, świadom nie jestem, pamiętać zresztą nie mogę, bo chyba nigdy nie wiedziałem.

Jako sławista specjalizował się w literaturach Słowian południowych, fama zresztą głosiła, że nie był rdzennym Rosjaninem, wywodził się z którejś z nacji, żyjących na Bałkanach, może z Czarnogórców, może z Macedończyków, to jego rodzice, napędzani głęboką wiarą w jedynie słuszną ideologię, odbyli przed dziesięcioleściami pielgrzymkę do kraju, w którym stała się ona religią obowiązującą – i w nim osiedli. Mało kogo jednak interesowała genealogia akademika Żarkowa; kiedy przyjeżdżał do Warszawy i publicznie, i prywatnie mówił wyłącznie po rosyjsku – i w sposób naturalny wszyscy widzieli w nim przedstawiciela przodującej nauki radzieckiej. Zajmował się problematyką tak współczesną, że aż gorącą od aktualności, nie interesowały go zabytki z czasów Cyryla i Metodego, nie pobudzały jego badawczej wnikliwości średniowieczne pieśni epickie, choć musiał je cenić, dostrzegano w nich bowiem ludowość i traktowano jako prawdziwie postępowe. Jego wielką, i życiową, i naukową pasję stanowiły studia nad realizmem

socjalistycznym, studia porównawcze, bo pragnął dociec, jak on się kształtuje w różnych literaturach i jak się w nim odbijają narodowe swoistości. Był w tej dziedzinie znakomitym historykiem i komparatystą, światowym autorytetem, to niewątpliwie badaniom nad tą jakże szeroką i ważną materią zawdzięczał tytuł akademika. Realizm socjalistyczny obdarzał prawdziwym kultem, miłością wręcz, przekonany święcie, że nic wartościowszego w sztuce nie wymyślono. Cóż tam grymasy malkontentów i ludzi małego ducha, coż tam wybrzydzenia, nie mówiąc już o bezpardonowych atakach, jakie wciąż przypuszczają wrogowie, kiedy tutaj, po naszej stronie, wielkość jest i prawda!

Niestety, naszego języka akademik Żarkow nie posiadał, nie mógł zatem bezpośrednio i pełnymi garściami czerpać z twórczego dorobku polskiego realizmu socjalistycznego, jednakże jako uczony rzetelny i dociekliwy interesował się nim i brał go pod uwagę w swych rozważaniach uogólniających, korzystał z przekładów i z wiadomości przekazywanych przez tych, którym zadanie takie powierzył. Powołał po temu specjalnego współpracownika, niejakiego towarzysza Chlujewa, który polski znał całkiem dobrze. Towarzysz Chlujew dopiero zaczynał wówczas, przed ćwierćwieczem z okładem, w latach siedemdziesiątych, gdy formuła „realny socjalizm” stała się nazwą całej epoki, swą bujną karierę, choć miała się ona okazać nie aż tak błyskotliwa jak ta, która przypadła jego mistrzowi i pryncypałowi, nie mógł więc umieszczać przed nazwiskiem owego socjalistyczno-arystokratycznego tytułu, zapamiętałem zatem, że nazywał się Witalij Akakijewicz. Potem zresztą pozdobywał stopnie i tytuły, tak więc kiedy widziałem go po raz ostatni, całkiem niedawno, występował w roli powszechnie szanowanego profesora – i o realizmie socjalistycznym już nie mówił, nie wykluczam, że zapomniał o jego istnieniu, choć przez dziesięciolecia występował w roli strażnika socrealistycznego kodeksu i z pełnym przekonaniem atakował te polskie publikacje, które go krytykowały, przemilczały, lub tylko traktowały z niedostatecznym udziałem entuzjazmu. Zostawmy wszakże interesującą figurę Witalija Akakijewicza na boku, tym bardziej, że będziemy jeszcze mieli okazję, by się nim zająć i na jego osobie skoncentrować naszą narracyjną kamerę, powróćmy do głównego bohatera tej relacji.

Posłuchaliśmy dyrekcyjnego wezwania, na odczyt akademika Żarkowa przyszło bardzo dużo osób, w tym także te, które normalnie unikały uczestniczenia w tego rodzaju spotkaniach i dyskusjach, zatopione w swojej własnej problematyce, tym razem jednak poczucie obowiązku zwyciężyło. Zabrakło jedynie kilkorga kolegów, którzy w tym czasie bądź byli w rozjazdach, bądź „na chorobie”. Znakomity gość z centrali nie miał prawa narzekać, że mówi do sali, w której puste krzesła dramatycznie przypominają o tych, co nie chcieli na nich spocząć, by słuchać płynących od prelegenta nauk, podziwiać je, a gdy nadejdzie właściwa pora, nad nimi dyskutować, czyli chwalić, dziękować, wyrażać wdzięczność. Muszę jednak wspomnieć, że zwołano pospolite ruszenie na odczyt, choć tutaj raczej na miejscu byłaby formuła pospolite siedzenie, bynajmniej nie z tej racji, że przyjechał Rosjanin. Do naszego Instytutu przybywali od czasu do czasu rosyjscy uczeni, ale nigdy takich praktyk nie stosowano,

w większości byli to badacze znani i cenieni, których z chęcią się słuchało, choć przed ich nazwiskami nie pojawiało się na ogół słówko „akademik”. Zapraszano ludzi wybitnych, jednakże w wielu przypadkach nie mieliśmy szansy zobaczyć ich i usłyszeć, radziecka władza odmawiała im paszportów, bo patrzyła na nich kosym okiem, bądź też nie chciała, by pojawiali się w nadwiślańskim kraju, mimo że ich prace cieszyły się w nim zainteresowaniem, a niekiedy nawet autorytetem, może zresztą postępowała w ten sposób z tej właśnie racji. Należy delegować dobrych towarzyszy, doskonale wyćwiczonych w marksizmie-leninizmie, takich, co do których można mieć pewność, że zaufania nie zawiodą. Akademik Żarkow bez wątpienia spełniał wszystkie te warunki i to chyba z nawiązką.

Nie przyjechał tu wszakże po prostu jako uczony, który zamierza wygłosić odczyt, poznać polskich kolegów lub odnowić z nimi znajomość, przyjechał jako ten, który ma pouczyć, skierować na właściwą drogę, a przede wszystkim – skontrolować. *Pan Inspektor przyszedł* – ten tytuł sztuki Johna Priestleya, która z powodzeniem przeszła przez polskie sceny w okresie tuż-powojennym, nasunął mi się z dużą siłą i – zdaje się – nie byłem w tym odosobniony. Tu chodziło o inspekcję, faktu tego byli świadomi nasi szefowie, skoro tak energicznie zaapelowali o obecność. Dostojny gość miał opuścić Warszawę z przekonaniem, że był uważnie słuchany, jego próżność powinna zostać zaspokojona, bo to korzystnie wpłynie na sprawozdanie (dla Akademii i nie tylko dla Akademii), jakie z całą pewnością złoży. Jakimże byłby inspektorem, gdyby sprawozdania nie sporządzał!

Nie potrafię streścić po tylu latach, jakie minęły od tego wydarzenia, wywodów akademika Żarkowa, sądzę zresztą, że nie umiałbym ich zreferować zaraz po wysłuchaniu, nie odbierałem w skupieniu słów, jakie w obfitości wypowiadał, w słuch się nie przemieniłem, uwaga moja umykała w różne strony, myślałem o niebieskich migdałach, a gdy nuda osiągnęła apogeum, zająłem się mentalnie tym, co mogło dawać mi pewną przyjemność, a mianowicie przypominałem sobie, jakie utwory Mozarta mam w swej płytowej kolekcji. Mozart, tak zresztą jak inni wielcy kompozytorzy, jest dobry na wszystko, nawet na zebraniową nudę z importu. Coś tam jednak z występu akademika Żarkowa w pamięci mi pozostało.

Utrwalił się nie tyle jego wygląd, ile skromny zarys wyglądu. Drobny, o śniadej cerze i siwych włosach, robił na mnie wrażenie kogoś w wieku nieokreślonym, trudnym do sprecyzowania, wyslizgującym się bardziej szczegółowym oznaczeniom. W pewnych momentach wydawało mi się, że jest bardzo stary, że właśnie starczość wpływa na jego gesty i sposób mówienia, powolny, pełen nawrotów i powtórzeń, ale też nie pozbawiony dygresji i różnego rodzaju wątków pobocznych. Po chwili jednak gotów byłem sądzić, że nie chodzi tu po prostu o wiek, a porysowana brudami twarz i worki pod oczyma świadczą, że jest człowiekiem przedwcześnie zniszczonym, może na skutek jakichś strasznych przeżyć, o których nic nie wiem, a to pokolenie sowieckie, w tym nawet ci, którzy należeli do gorliwych budowniczych nowego systemu, nie było oszczędzane, może zaś z niehigienicznego trybu życia, również bowiem w cza-

sie jego krótkiego pobytu w Warszawie łatwo było pono dostrzec, że od kieliszka nie stroni, ba żyć bez niego nie może. Właściwie nawet temu się nie dziwie, bo jak bez wódki rozbierać trudne, tak skomplikowane problemy realizmu socjalistycznego na czynniki pierwsze.

Akademik Żarkow uważał, iż ma misję, polegającą na głoszeniu jego zasad, chciał do niego przekonywać, bo niewątpliwie zdawał sobie sprawę, że w Polsce kilkanaście lat po tym, jak przestał być obowiązującą doktryną, jednym ze stalinowskich nakazów, nie cieszy się on ani zainteresowaniem, ani – tym bardziej – sympatią, że traktowany jest – i to nawet przez wielu towarzyszy partyjnych – jako pomysł przebrzmiały i po prostu beznadziejny. Wiedział, że zwraca się do publiczności nastrojonej sceptycznie, niechętniej przedmiotowi jego uwielbienia. Wspominał o tym z nieukrywaną troską – i wyznał, że w istocie nie rozumie, jak dźiać się tak może w kraju budującym socjalizm i to odnoszącym na drodze do niego tyle sukcesów, a przy tym kulturalnym. Należy podziwiać umiar akademika Żarkowa, nie potępiał, nie używał ostrych słów, nie pouczał jak nauczyciel, który wie, co myśleć trzeba, bo przyjechał z centrali oświecać tych z prowincji. Ubolewał i dziwił się tym bardziej, że zapewne chcąc sprawić przyjemność gospodarzom oświadczył, iż polska literatura wniosła twórczy wkład do międzynarodowego dorobku realizmu socjalistycznego. A świadczy o tym znakomita twórczość Wandy Lwowny Wasilewskiej, ceniona wysoko także przez ludzi radzieckich. Wanda Lwowna jest chlubą polskiej literatury socjalistycznej, stworzyła dzieła wielkie – i naprawdę trudno pojąć, dlaczego tutaj nie są one właściwie oceniane i – przede wszystkim – kontynuowane. Marny los Wandy Lwowny w jej pierwszej ojczyźnie szczerze akademika Żarkowa zasmucał.

A w ogóle wykładowca nasz reprezentował niezwykle liberalną i otwartą koncepcję realizmu socjalistycznego. Przekonywał, że ma on już dawno za sobą okres błędów i wypaczeń, w którym – przyznawał bez ogródek – nie uwzględniano narodowych swoistości i widziano jego wzorowe realizacje w utworach może nie najlepszych, choć zrodzonych ze szlachetnych intencji. Teraz jest całkiem inaczej, owe błędy i wypaczenia należą już do przeszłości. Chodzi nie o to, by dzieła socrealistyczne podporządkowywały się zasadom określonej poetyki, ta bowiem może być zróżnicowana, ważne jest, by niezależnie od formy, jaką przybierają, głosiły socjalistyczne idee, służyły budowaniu nowego lepszego świata, pomagały partii i dawały wzory życia ludowi pracującemu miast i wsi. Przyznacie, towarzysze – zwrócił się akademik Żarkow do słuchaczy pod koniec wykładu – że taki program może aprobować każdy, kto żyje w obozie socjalistycznym i drogie mu są jego sprawy.

Ten retoryczny zwrot pozostał bez odpowiedzi. Gdy referent po dwu godzinach skończył wreszcie prelekcję, nie było chętnych do powiedzenia w dyskusji choćby paru słów. Zapanowało przygniatające milczenie, kłopotliwe dla wszystkich, dla niego, dla przedstawiciela dyrekcji, który zebranie prowadził i nie mógł dopuścić do tego, by zakończyło się ono głucho, dla nas wreszcie, przymusowych słuchaczy, którzy zasępiłiśmy się tak, jakbyśmy tworzyli bierną,

niczym się nie interesującą klasę – i za chwilę zniecierpliwiony pan profesor znacznie po kolei wywoływać znużonych, ale też przerażonych uczniów do tablicy, by odpytać, o czym to właściwie była na lekcji mowa. Najbardziej denerwował się wszakże sam akademik Żarkow, sytuacja była dla niego niepojęta, po tym, co on, sławny uczony, teoretyk, dyrektor, człowiek wyróżniony najwyższymi radzieckimi odznaczeniami, powiedział, na sali zapanowała cisza nie do zniesienia. Wreszcie stwierdził, że są tu przecież ci, co należą do aktywu naukowego Instytutu, i to oni powinni się ustosunkować do tego, co usłyszeli. Tak charakterystyczne dla realnego socjalizmu pojęcie „aktywu naukowego” w naszym Instytucie chyba w ogóle nie funkcjonowało, nie trudno jednak było się domyślić, że chodzi mu o członków partii. Wreszcie coś powiedziały dwie czy trzy osoby, niekoniecznie zresztą spośród owego „aktywu”. Akademik Żarkow usłyszał słowa pochwały, na nich niewątpliwie najbardziej mu zależało, dziękowano mu za to, że zechciał do nas przyjechać i przedstawić swoje tak oryginalne naukowe koncepcje. Zebranie wreszcie się skończyło, wychodziłem z niego wściekły z powodu bezsensownie straconego wieczoru, z poczuciem upokorzenia, bo jakże nie czuć się upokorzonym po wielogodzinnym przymusowym uczestniczeniu w imprezie tego rodzaju.

Nigdy potem akademika Żarkowa nie dane mi było już ujrzeć, była to chyba ostatnia jego wizyta w naszym Instytucie. Nie wiadomo, oczywiście, co napisał w sprawozdaniu z inspekcji, przeprowadzonej w Warszawie, trudno się spodziewać, by jego doniesienie było przychylne dla tych, którzy – ideologicznie ograniczeni lub wręcz zbłąkani – nie są w stanie zrozumieć, czym naprawdę jest realizm socjalistyczny. A o samym akademiku Żarkowie przynajmniej u nas powoli zapominano. Być może jego gwiazda przygasła. Kolega, który zwykł czasem zaglądać do sowieckich czasopism, powiedział, że bywa on krytykowany, jego idea realizmu socjalistycznego uznana została za niesłuszną, bo nadmiernie jest liberalna, po prostu kapitulanka – i prowadzi na manowce sztuki burżuazyjnej. Nie wiem, czy akademik Żarkow miał możliwość publicznej obrony swoich poglądów, czy też uznał błędy i dokonał samokrytyki. Niewątpliwie zarzutami się przejął – i wkrótce, być może ze zgrzyoty, zmarł.

I z tego smutnego powodu musimy się rozstać z naszym głównym bohaterem, nie chcemy wszakże kończyć tej opowieści tak pesymistycznym akcentem, skoncentrujemy przeto uwagę na jego następcy i uczniu, Witaliju Akakijewiczu Chlujewie. Na jego odczyty w Warszawie – przyznając z wdzięcznością i z satysfakcją – nie kazano nam przychodzić (może zresztą w ogóle ich nie wygłaszał), ale obowiązków swych nie zaniedbywał, czuwał, by w nadwiślańskim kraju nie pełniły się chwasty wrogiej ideologicznie nauki o literaturze. Pisywał surowe recenzje, potępiał w nich te polskie książki, które uznawał za antymarksistowskie, a szczególnie ostro oceniał publikacje, w jakich dostrzegał tony niechętnie wobec realizmu socjalistycznego. Jego wypowiedzi miały złowrogie znaczenie również za sprawą tego, że referowali je rodzimi gorliwcy, by pogrążyć swych wrogów, czy w ogóle tych wszystkich, których uważali za konkurencję. A cóż było bardziej skutecznego niż obuch przywieziony wprost z Moskwy.

Gdy w naszej części świata zaszły zmiany zasadnicze, o istnieniu Witalija Akakijewicza Chlujewa po prostu zapomniałem, a jeślibym sobie o nim pomyślał, to jako o jednym z zabytków tej rzeczywistości, o której już można mówić w czasie przeszłym dokonanym. Po kilku latach ujrzałem go na korytarzu. Jak się okazało, przyjechał – już profesor, ale jeszcze nie akademik – by wziąć udział w pewnej międzynarodowej konferencji. Przysłuchiwałem się obradom, postanowiłem jednak, że gdy on będzie trzymał mowę, salę opuszczę. W końcu jednak tego nie uczyniłem, zaciekawiło mnie bowiem to, co mówił – nie z powodu tez czy informacji, jakie przekazywał, ale ze względu na niego samego. W pewnym momencie wydało mi się, że zaznaję omamów słuchowych, że popadłem w dziwną przypadłość – i odbieram co innego niż słowa dobiegające z mównicy. Szczypałem się w policzek, by się upewnić, że nie śnię, wreszcie zapytałem siedzącą obok koleżankę, czy naprawdę mówi on to, co słyszę. Kiedy stwierdziłem, że mój aparat percepcyjny nie uległ dewastacji i znajduje się w najlepszym porządku, ogarnęło mnie zdumienie zaiste bez granic. Towarzysz Witalij Akakijewicz Chlujew w mocnych słowach potępiał niegodziwość komunizmu, mówił o ideologicznym dyktacie i o szkodach, jakie wyczyniała cenzura także w tym, co dotyczyło popularyzowania literatury polskiej w Rosji. I wypowiadał się tak, jakby sam nie współtworzył systemu, jakby z jego perspektywy komunizm to zawsze byli inni.

I kiedy słuchałem tej pogwarki, przypomniała mi się jedna z historyjek z okresu tuż-powojennego. Pewien malarz – batalista specjalizował się nie tylko w sporządzaniu rozległych scen, przedstawiających kawalerzystów, celował również w portretach dowódców. Z czasów przedwojennych pozostał mu konterfekt Rydza-Śmigłego, w Polsce Ludowej całkiem nieprzydatny. Coś z nim trzeba było zrobić, a więc przemalował marszałka na generała Świerczewskiego. Zadanie miał ułatwione o tyle, że obydwaj byli łysi, ale nie o tym chcę pisać. Wtedy, przed półwieczem, usłyszałem po raz pierwszy czasownik „przemalować” – i nie mogłem przypuszczać, że kilka dziesięcioleci później zdobędzie on zasłużoną popularność w formie zwrotnej. Tak, Witalij Akakijewicz Chlujew należy do pokaźnego grona tych, co właśnie się przemalowali, licznego i hałaśliwego także w Polsce, by przypomnieć choćby pewnego nader płodnego krytyka literackiego; ćwierkał on na cześć komunistycznej partii, do której się zapisał w bardzo młodym wieku, a teraz ćwierka na cześć antykomunizmu jak dopiero co nakręcony ptaszek odpustowy. Ale tu muszę bronić Witalija Akakijewicza, nie jest on figurą aż tak groteskową, jak ów krytyk, co niepomny swej zaszarganej przeszłości, nieustannie oskarża liczne osoby o różnego rodzaju niegodziwość. Może przeszedł autentyczną ewolucję od czasów, w których nauki pobierał u akademika Żarkowa? On, biedaczek, nie dożył czasów, w których mógłby ujawnić swą przemalowaną twarz.

Michał Głowiński

Aleksander Jurewicz

Zapiski ze stróżówki (9)

Lipiec, sierpień 2000

Pierwsza spokojna noc po deszczowym tygodniu. Sierść leżącego w nogach psa ostyga z zapachu wilgoci; pies śpi, czuję na stopach oddech i spokojne bicie psiego serca; wczoraj nie dawały mu zasnąć koty hałasujące za oknem w ogrodzie. Nie wiem, czy warto i czy chciałbym tak jak on – leżeć bezpiecznie przy kimś, cicho oddychać i nie czuć łomotania spieszącego się dokądś serca, spokojnie usnąć bez pomocy fioletowej pastylki *xanaxu 0,5*. Nie wiem, czy warto rozniecać to pragnienie i podsycać głód. Może nie warto, już nie warto... Jaki to ptak przeleciał za oknem niepokojąco furkocząc skrzydłami i słyszę, jak nie może znaleźć sobie miejsca na gałęziach lipy? Co to za ptak, który próbuje wydobyć z siebie głos i zaraz milknie, jakby nie mógł czegoś przypomnieć? Gdyby wspomnienia dało się zgasić tak łatwo i prosto jak lampę na stole lub żarówkę u sufitu albo niedopałek papierosa w popielniczce, gdyby tak mogło być... Długo nie mogłem zgasić tamtej lampy, choć widziałem, jak z czasem jej światło blaknie, matowieje, jak mniej wypływa z niej światła, chociaż zagasnąć całkiem nie chce. Ale już inaczej niż w tamtym lipcu patrzę na daleką sylwetkę listonosza pojawiającego się w perspektywie ulicy, już bez emocji i zniecierpliwienia patrzę na jego rower oparty o sąsiedni plot. Mija rok, a on mi tamtego listu jeszcze nie doniósł i nie doniesie, i już nie musi przynosić.

Tych dwóch cytatów nie łączy chyba tylko przypadkowa obecność w tym samym notesie; przedziela je kilkanaście kartek z wypiskami z innych książek, napisanych w różnych czasach, miejscach i językach, i chwile, kiedy je przeczytałem i wynotowałem:

„Często mi teraz przychodzi do głowy: «Oto umrzesz i nigdy już nie zobaczysz nieba, drzew, ptaków i wielu, wielu rzeczy, do których przywykłeś, z którymi żyłeś się, z którymi tak ciężko będzie ci się rozstać!»”

„*Gare du Nord*. Zegar wskazuje godzinę 16⁴³. Myślę o tej minucie, że nigdy nie wróci, że znika na zawsze, że ginie w anonimowej masie nieodwracalnego. Jakże błaha i bezpodstawna wydaje się teoria wiecznego powrotu! Wszystko ginie raz na zawsze. Nigdy więcej nie ujrzę tej chwili.”

Pierwsze zdanie wypisałem z *Życia Arsieniowa* Iwana Bunina, drugie znalazłem w *Z codziennych zapisków* Emile Ciorana.

Spośród przechowywanych tutaj książek wyciągnąłem dawny wybór wierszy Tadeusza Nowaka. Dziwnym trafem otworzyłem książkę na tym akurat wierszu:

Dzieciństwo moje szło przez pola z psem
Pies naszczekiwał i z królestwa zboża
uciekał anioł nagi jak rówieśnik
skaczący z wierzy w leśne siano rzeki.

Na pewno w głosach i szelestach utraconego czasu nie pojawia się dzwoniennie żurawi niosące się porannymi łąkami; ich wołanie przypomina jęczenie drzew od starej szafy, których dawno nikt nie otwierał, gdzie na wieszakach wiszą resztki po czymś życiu. Mam do żurawi jakiś zadawnoniony, niemożliwy do wytłumaczenia czy przypomnienia sentyment, a te miejsca, gdzie je w późniejszym życiu przypadkowo i rzadko spotykałem, zostawały mocniej w mojej pamięci. Dopiero tej wiosny przyleciały tutaj. Nabieram pewności, że ich głosy zostały się we mnie z pierwszego dzieciństwa, nie tylko dzikie gęsi, ale i żurawie. Teraz, w nadchodzącym pospiesznie zmierzchu życia przyleciały za mną, jakby dowiedziały się, że coraz częściej i na dłużej w to Miejsce powracam.

Tego Miejsca oswajając nie muszę, choć mijam więcej nieznanym niż tych, których znam i nie mam poczucia, że jestem już tutaj obcy. Nie, po prostu jestem Stąd. Ale czasami rozpoznaję kogoś w pamięci, a imienia jego przypomnieć nie mogę. Nie wiem, czy był w niższej czy wyższej klasie, witamy się jak starzy znajomi po długim niewidzeniu, rozmawiamy, a mnie nie daje spokoju jego imię albo chociaż nazwisko, pamiętam tylko, że był z sąsiedniej wioski, tylko nie wiem której. Jednak za chwilę widzę go w przeszłości i umiejscawiam w naszym wspólnym dzieciństwie. Tak, to przecież ten, co stał w naszej drużynie na lewej obronie, i kiedy się rozchodzimy wciąż nie wiem jak ma na imię, ale wiem, kto to był: chłopak z numerem 2 na jasnoniebieskiej piłkarskiej koszulce.

Zaraz potem mijam się z kimś w drzwiach sklepu i nie wiem, czy znam tego mężczyznę, co przyjrzał mi się uważnie. Chyba nie, raczej nie, nie mam jednak zupełnej pewności. Odwracam się za nim i widzę jak wsiada do samochodu, którego widok zmroził mnie, kiedy przechodziłem. Teraz wiem, że jednak go nie znam. Bo on wsiada do firmowego samochodu – karawanu zakładu pogrzebowego „Charon”, a jego spojrzenie było tylko i wyłącznie spojrzeniem taksującym. On po prostu mijając mnie już zaczął w myślach przeliczać, kiedy będzie mógł na mnie trochę zarobić.

A ona idzie pół wieku później, widzę przez okno jak niespiesznie przechodzi przez dziedziniec kościoła, a później słysząc pieśni na popołudniowym nabożeństwie usiłuję spomiędzy chóralnych pieśni kobiet wyłowić jej głos. To ona, tamta siedemnastoletnia dziewczyna, której historię spisuję kartka po kartce i układam w wolno rosnący kopczyk zaczerpionego papieru, wystukuję na maszynie do pisania jakąś melodię do jej pierwszej miłości, która źle się skończyła, szukam słownych dźwięków dla swojej wyobraźni, przypuszczeń i domysłów. Najprościej byłoby usiąść obok i poprosić: „opowiedz mi tamtą historię” albo: „opowiedz mi tamtą historię tak, jak chciałabyś o niej przeczytać lub co z pierwszej miłości przykleiło się do twojej pamięci na zawsze”. Ale zapytać nie mogę, czuję się trochę jak świętokradca, niezręcznie mi czasami, kiedy przechodzi przez ogródek mijając moje okno i stół, a ja akurat gdzieś ją prowadzę w dawnym czasie i pejza-

zu, coś każe jej mówić, płakać, czuć ból, głupio mi wchodzić do kuchni, gdzie przygotowała dla mnie bliny z maczuską i dogląda, abym wszystko zjadł, mówi, żebym trochę odpoczął, gdzieś poszedł, popatrzył w telewizor... Gdyby wiedziała, po co tutaj do niej na lato przyjechałem, to wiem, że nasze relacje byłyby inne, niż są i szybko pewnie bym stąd wyjechał. Przecież wiem, jak reagowała, kiedy pytałem o jakiś najdrobniejszy szczegół potrzebny mi do *Lidy* i musiałem szukać pomocy gdzie indziej. Wczoraj siedziała przed domem luskając groch. Za chwilę słyszę, jak krzyczy do kogoś idącego ulicą:

– Matko Boska, to pan dzisiaj trzeźwy? Pierwszy raz takiego widzę. A co to się stało? Niech pan zajdzie.

I widzę, jak skruszony chłopina idzie podwórkiem, a potem słyszę trochę wymówek czynionych jemu przez matulę, za chwilę już rozmawiają o malowaniu, gipsowych ściankach, cenach. Jak się zorientowałem, jest tutaj niczym Radio Erewań, Wolna Europa i dawna Fala 49, to na jej podwórku, przed domem albo werandzie splatają się nitki tutejszych życiowych węzłów – kłopoty na polu i w rodzinach, śluby, choroby i pogrzeby („najładniej ma zrobiony nagrobek, ten co się powiesił”), fakty, plotki i opinie.

Pod wieczór przechodząc korytarzem widzę ją klęczącą i odmawiającą codzienny różaniec, od niedawna używa pachnącego różańca z Watykanu przywiezionego przez córkę. Trudno niekiedy połączyć obie w tę samą osobę: tamtą siedemnastoletnią z tą pół wieku późniejszą, tą, której głos słyszę i tamtą, której głos, jakby szept życia tej dzisiejszej, odzywa się stukotem czcionek o papier. Do końca nie wiem, czy to ta sama dziewczyna – kobieta, jest i tak, i tak, czasami jednak zdaje mi się, że spoza liter i zdań wylania się jeszcze ktoś trzeci.

Parę dni zbierałem się, żeby pójść szukać żurawi. Może to jedyna okazja do zobaczenia ich z bliska. Nie wiadomo, co będzie za rok. Może osiadły w tej okolicy przez pomyłkę, zatrzymały się zmęczone długim lotem i więcej tutaj nie przylecą? Nie wiedziałem dokładnie gdzie są. Wiedziałem tylko skąd dobiega ich niepokojące dzwonienie. Były w innej, nieznannej mi strefie. Były za rzeczką, która stanowiła granicę naszych łąk, naszej wsi, naszego dzieciństwa. Nie wiem czemu odwracaliśmy oczy w drugim kierunku, dlaczego ciekawiły nas inne pola i lasy. No, nie wiem. Droga za obcą wioską, a raczej kasztanowa aleja poznaczona śladami kół traktorów, nagle skończyła się i miałem przed sobą już tylko nie skoszone pola, wzgórza porośnięte kępkami lasów, rozpraszane przez wiatr obłoki i słońce świecące z całą mocą, jakby chciało szybko i intensywnie powetować sobie za wszystkie deszczowe dni ostatniego lata w XX wieku.

Szedłem ścieżką wyłobioną w zbożu przez spłoszone przeze mnie sarny, lecz nigdzie ich nie słyszałem ani nie widziałem. Pomiedzy polami pojawiły się niewielkie mokradła, ale w trawie leżało tylko kilka żurawich piór, które podniosłem z namaszczeniem i schowałem do notesu. Więc gdzieś muszą tutaj być, tylko dlaczego milczą, czyżby drzemały południową porą? Wiedziałem, że nie wrócę dopóki ich nie spotkam. Pomyślałem nagle, że chyba jeszcze nie jest tak źle i chce mi się chodzić kilometrami po polach, na których nigdy nie byłem, przedzierać się przez płataninę powalonych przez deszcze zbóż, kluczyć nieznanymi drogami, kiedy

w mieście nie chce mi się nawet podejść do telefonu... Aż wreszcie je zobaczyłem, tak jak często bywa w życiu – w momencie gdy prawie straciłem nadzieję. Zobaczyłem stado żurawi, które najpierw wziąłem za zwiezione polne głązy lub kępy suchych ostów. Stały na swoich długich patykowatych nogach niespokojnie obracając cienką, podłużną szyją, na końcu której tkwiły małe lśniące lebki zakończone mocnymi dziobami. W słońcu mieniło się gęste stalowe opierzenie ich tułowi zakończone puszystymi pękami ogonów. Jeden nieopatrzny ruch, trzask nadepniętej gałęzi i poderwały się z przeraźliwym wrzaskiem rozpościerając olbrzymie skrzydła. Odfruwały w nieskładnym szyku i ich wołanie, nie na darmo nazywane jęczeniem, wypełniało pustkę letnich pól. Mogłem wracać.

Podchodząc do cmentarza zauważyłem, że coś zmieniło się wokół niego. Oczyszczono drugą jeszcze nie zagospodarowaną przez zmarłych połowę, obwarowując ją murem z białej cegły. Pośrodku stał czyjś samotny nagrobek. Zaintrygowany podszedłem i zobaczyłem niemiecką tablicę nagrobną z wrytym na niej napisem:

Her ruchet in Gott

Margarete Keup

5 märz 1905

5 aug. 1932

Was ich tue, dass weisst du

jetzt nicht, du wirst's aber

hernach erfahren

Joh., 13. 7.

Na lastrykowej płycie obok do połowy wypalonego znicza leżał bukietek polnych kwiatów. Wśród wielu myśli – przede wszystkim tej, że to właściwy sposób przypomnienia, że dawniej był tutaj czyjś cmentarz, jakże kiedyś inaczej, mrocznie i tajemniczo wyglądający – pomyślałem o tej młodej, przedwcześnie zmarłej Margarete, której płyta szczęśliwym trafem ocalała i zachowała się w dobrym stanie wśród zwałowiska pozostałości po niemieckim cmentarzu i to ją opatrność albo przypadek wybrały na strażniczkę zatartych grobów, jakby wróciła na swoje ostatnie miejsce w życiu z niedobrej podróży i teraz zostanie już na zawsze. Wierzę, że na zawsze. Nie wiem jak miejscowi zareagowali na ten odważny pomysł nowego księdza, wolałem jeszcze nie pytać. Ale wyobrażam sobie, i tego jestem pewny, że długo ten symboliczny grób będzie osamotniony, że nowe mogiły będą kopane w ostrożnej, lękliwej odległości od niego. Wciąż trzymam w pamięci tamten cmentarz, mogę odtworzyć dźwięk ciężkich łańcuchów zwisających przy czarnych marmurowych grobowcach, przywołać zimny dotyk marmurów i złoceń gotyckich liter. Wydeptaną pomiędzy grobami ścieżką skracaliśmy sobie drogę na boisko. A potem... Zabobonny lęk uchronił mnie przed nawet najmniejszym barbarzyńskim gestem, dlatego z czystym sumieniem zapalałem później co kilka dni znicze dla Margarete Keup.

Kolejny już wieczór zaczyna czekać bojący się ciemności, od paru dni osamotniony rudy piesek podobny do małego liska, a wraz z nastawianiem nocy jego szczekanie przechodzi w bezradny skowyt. To piesek Franka W., co niepostrzeżenie wymknął się do szpitala, z którego chyba już nie wróci. Niedługo po przyjeździe nie rozpoznałem Franka w postaci stojącej obok kapliczki. „Co to za jakiś starowiec i skąd się u nas wziął, film jakiś kręcą?”, pomyślałem przechodząc obok niego nabożnie, z ręką przygotowaną do uczynienia znaku krzyża, gdy on odezwał się pierwszy. Kapliczka Matki Boskiej, stojąca na rozwidleniu ulic, to we wsi miejsce strategiczne, skąd widać co się akurat dzieje przy którychś z trzech sklepów, gdzie gromadzą się amatorzy skaleczonego jutra, nieustraszeni połykacze siarkowśniowego napitku albo ruskiego spirytusu rozcieńczonego wodą ze studni (10 zł kosztuje półlitrowa butelka, z czego wychodzi ponad litr ognistej cieczy). Więc Franek stał na boso w jakimś jasnym płóciennym wdzianku, a na jego okazałym brzuchu, w którym drążył już korytarze fatalny rak, zwijała się Tolstojowska broda, kolo niego leżał ten wyjący teraz piesek. Z kieszeni wystawała pusta flaszka po winie. A to był kiedyś, w mało ucywilizowanych czasach, mistrz radiotechniki i jeszcze do teraz nie mogę ze zdziwienia domknąć oczu, kiedy przypominam sobie jak nam dzieciakom Franek demonstrował swoją konstrukcję polegającą na połączeniu budzika z radiem, czyli w momencie dzwonienia włączało się radio. Franek powoli zaczynał w życiu wraz z pojawianiem się coraz więcej technicznych cudów, zamykał się w swoim dawnym świecie i na znak buntu nigdy nie miał telewizora ani nie chodził na telewizję do sąsiadów, a teraz żył już nawet bez światła. Liczne rodzeństwo po śmierci rodziców (jego ojciec był nocnym stróżem pilnującym wioski, czyli w dzisiejszym języku – ochroniarzem wioski, popisał się też niezłym męskim wyczynem w postaci splodzenia po sześćdziesiątce najmłodszej siostry Franka) porozjeżdżało się po kraju, ogród z wolna dziczał i zarastał, z każdym rokiem skrywając ładny kiedyś dom. Jesienią i zimą wygląda on dosyć upiornie, jak zapomniana dekoracja z dreszczowca. Z naszej kuchni widzę tylko kawałek powyginanego dachu polatanego kawałkami papy i resztki komina, z którego od dawna nie unosił się dym. Tak, to jeden z tych życiowych pechowców, którym ukradną nawet dziury w podłodze. I przy tym domu został się tylko ten wierny pies, który wciąż ma nadzieję i nie może doczekać się na Franka, wciąż przywołuje go swoim nocnym wyciem, które słucham jak requiem dla odchodzącego dawnego świata, który jeszcze tlił się dopóki Franek, niczym batuszka, wylaniał się zza swoich chaszczy i szedł podłączyć się do codziennej porcji winopodobnej kroplówki, bo teraz zdany jest tylko na szpitalną kroplówkę bez smaku i nie dającą życiowego gazu. Tak to się kończy: skomleniem psa przechodzącym w samotne wycie. „Tego, co Ja czynię, ty teraz nie rozumiesz, ale później będziesz to wiedział.” (Jan, 13,7)

Aleksander Jurewicz

Wacław Lewandowski

Józef Mackiewicz ofiarą „potężnych sił”?

W 5 (548) numerze „Kultury” z 1993 roku ukazał się list Niny Karsov, właścicielki wydawnictwa KONTRA, zawierający następujące oświadczenie:

„Decyduję się na sprzedawanie w Polsce publikowanych przez londyńskie wydawnictwo KONTRA dzieł Józefa Mackiewicza wbrew woli zmarłego pisarza i wbrew własnym przekonaniom.

Józef Mackiewicz wierzył, że nigdy nie zrobię niczego, co byłoby niezgodne z Jego wolą – dlatego zostałam jedyną spadkobierczynią praw autorskich. Dziś podejmuję taką decyzję, bo nie mam innych możliwości chronienia tych praw, a zachowanie ich uważam za swój najważniejszy obowiązek.”

Do powyższego cytatu trzeba dołączyć dwa następne, jako dobrze wprowadzające w istotę sporu, o którym zamierzam mówić. Najpierw fragment wypowiedzi Włodzimierza Odojewskiego (*Józef Mackiewicz – autor nadal nieznany*, „Tygodnik Powszechny” 2000, nr 17):

„A już tragiczne wydaje się to, że Nina Karsov-Szechter jako rzekomy dysponent praw autorskich Józefa Mackiewicza blokuje całe już dziesięciolecie publikację dzieł pisarza w kraju. Wprawdzie od momentu, kiedy córka pisarza wystąpiła do sądu polskiego o stwierdzenie praw spadkowych po ojcu, czyli o d c z t e r e c h l a t [podkreślenie moje, W.L.] (jak wiemy, procesy w polskich sądach toczą się długo) Nina Karsov-Szechter zdecydowała się na sprzedaż niektórych książek pisarza w kraju, tych publikowanych przez wydawnictwo KONTRA w Anglii oczywiście, jednocześnie jednak zaopatruje każdy poszczególny egzemplarz w nadruk, iż... *czyni to niezgodnie z wolą Józefa Mackiewicza*”.

Pora na wyjątek z polemicznej względem Odojewskiego wypowiedzi Włodzimierza Boleckiego (*Józef Mackiewicz – pisarz przemilczany*, „Tygodnik Powszechny” 2000, nr 34):

„Stanowisko Niny Karsov uległo zmianie chyba na początku roku 1993, gdy dotarła do niej wiadomość, że pewien były wydawca emigracyjny przygotowuje w Polsce edycję utworów Mackiewicza (na podstawie wcześniejszych wydań KONTRY!) bez pytania o jej zgodę. Odpowiedzią była decyzja o przygotowaniu kompletnej edycji *Dzieł Mackiewicza* i – wbrew wspomnianym obiekcjom – o sprzedawaniu jej w Polsce. To właśnie w tej edycji znalazła się informacja, że wydawca decyduje się na sprzedaż utworów Mackiewicza w Polsce wbrew woli autora”.

Zestawiłem cytaty po to, aby unaocznic, że w rozgorzałym znowu z niezwykłą siłą sporze o dystrybucję krajową książek Józefa Mackiewicza, jedna ze stron – ta przeciwna działaniom londyńskiego wydawcy – miewa spore kłopoty z ustaleniem podstawowych faktów. Nie będę krył iż podejrzewam, że kłopoty te nie wiążą się z zawodnością pamięci, lecz są po prostu wynikiem przyjętej

z premedytacją taktyki. W końcu mocniejszy efekt osiągnie się mówiąc, że dzieła wybitnego pisarza-emigranta są w Polsce sprzedawane dopiero od czterech, nie zaś od siedmiu lat! Skądinąd wiadomo bowiem, że siedem lat temu trwało jeszcze ożywione zainteresowanie czytelnicze pisarzami „odzyskanymi” po upadku PRL. Jeśli jednak przeniesie się w czasie podjętą przez Ninę Karsov decyzję, a konkretnie wzmówi się czytelnikom, że została ona powzięta dopiero kilka lat temu, więc w okresie trwającego do dziś kryzysu czytelniczych zainteresowań dla literatury Drugiej Emigracji, można wtedy, jak czyni to Włodzimierz Odojewski, powiadać, iż wydawca „zniszczył pisarza”, celowo nie dopuszczając do dystrybucji w momencie trwania koniunktury.

Przypomnijmy – publikowane przez KONTRĘ *Dzieła* Józefa Mackiewicza (pierwszym tomem tej edycji jest *Droga donikąd*) weszły na rynek krajowy na przełomie wiosny i lata roku 1993. Inicjatywa ta została w kraju powitana polemicznym wystąpieniem Jacka Trznadla, który (w „Życiu Warszawy” z 16 czerwca 1993) ganił Ninę Karsov za umieszczenie na książkach wiadomego oświadczenia, znanego z „Kultury”, wtedy jeszcze nie nadrukowanego, lecz dołączonego w formie naklejki. Trznadel kwestionował prawa wydawcy, pisząc m.in.: „Uważam też, że Nina Karsov powinna wytłumaczyć opinii publicznej, dlaczego, i czy na pewno, Mackiewicz «wydziedziczył» ze swoich praw najbliższą rodzinę, m.in. córkę mieszkającą w Warszawie?”.

Siedemnastego września tego samego roku, w warszawskiej księgarni na rogu Marszałkowskiej i Hożej, odbył się urządzony przez Fundację Pomocy Bibliotekom Polskim wieczór promocyjny książek Józefa Mackiewicza. Spotkanie prowadził Włodzimierz Bolecki. Korzystając z obecności Jacka Trznadla, postanowiłem wówczas publicznie odpowiedzieć na pytanie publicznie przez niego postawione. Przypominałem zatem, że wileńskie małżeństwo Mackiewicza, z którego zrodziła się mieszkająca w Warszawie córka pisarza, było krótkotrwałe i nie było ostatnim zawartym przez niego związkiem małżeńskim. Cytowałem fragment listu Józefa Mackiewicza do Stefanii Kossowskiej, dobrze ilustrujący sąd autora *Nie trzeba głośno mówić* o kompetencjach „warszawskiej” rodziny w zakresie pieczy nad pisarską spuścizną:

„Niejaki Jerzy Jaruzelski w Warszawie ogłosił w «Czytelniku» książkę pt. *Mackiewicz i konserwatysty*, o moim bracie. Już miałem relacje z kraju, że «wszyscy są zachwyceni!»... etc etc. Euforia w rodzaju tej, o której Pani kiedyś pisała: «kochajmy się...» – Dla mnie ta książka jest wyjątkowo wstrętna, właśnie ze względu na ten typowy, specyficzny, komunistyczny – «obiektywizm»... Co jednak wzbudza we mnie szczególną odrazę, to zachowanie się mojej «rodzinki»: widać, że jeden przez drugiego, żona, siostra, córki [mowa o córkach obu braci, dop. moje, W.L.], wnuki, kochanki, kuzynki i inne parantele rzuciły się do autora z rodzinnymi fotografiami, albumami, pamiętnikami, osobistymi notatkami, które pozostawił zmarły, wspomnieniami, etc., wszystko w intencji, oczywiście, żeby «napisał jak najlepiej, najobiektywniej»... Żeby, słowem, stworzyć ten «MOST», (za który to inni, na emigracji, dostają dzisiaj swoje dolary). Oto jest najszlachetniejsze oblicze tego «walczącego w Kraju społeczeństwa». Język polski jest ubo-

gi. Ma jednak lepszą od innych definicję: nie mówi wojna: «cywilna», lecz wojna: «domowa». Szczególnie trafia to w przypadek komunizmu. Linia przebiega przez DOM, w poprzek rodziny. Szkoda tylko, że dzieli nie równo, a dzisiaj jak: 1 do 100-tu.» (list z 10 lipca 1976)

Jeżeli przypominam tamten wieczór, przytoczony wtedy list i polemikę z Jackiem Trznadlem, czynię to głównie po to, by pokazać, jak odgrzany dzisiaj, w roku 2000, przede wszystkim przez Włodzimierza Odojewskiego, spór o dystrybucję książek Mackiewicza opiera się na tych samych co wtedy, w 1993 roku, zbitkach słownych i argumentach. Następstwem owego promocyjnego wieczoru był artykuł prof. Trznadla w „Życiu Warszawy” z 28 września 1993, pod dobitnym tytułem *Mackiewicz jak ochłap*, w którym – prócz przygan i pouczeń pod moim adresem – wyartykułowany został pogląd następujący: „Twierdzenie, że pisarz nie życzyłby dziś sobie wydawania jego książek w Polsce – jeśli nie jest wynikiem komunikacji ze światem pozagrobowym – nie wytrzymuje krytyki.” – Oto dziś czytam najświeższą wypowiedź Włodzimierza Odojewskiego, właściwie filipikę przeciw Włodzimierzowi Boleckiemu, a w niej informację o tym, że twierdzenie iż Mackiewicz nie chciał wydawać w kraju, który z PRL stalby się „solidarnościową” Rzeczpospolitą, jest „zdumiewającą umiętnością jasnowidzenia wstecz”, skoro wiemy, że powstania III RP pisarz nie dożył. Jeżeli zatem Nina Karsov podtrzymuje pogląd, w myśl którego sprzedaż *Dzieł* w kraju jest sprzeczna z wolą zmarłego pisarza, to należy powiedzieć jej, iż ma wrażenie bezpośredniej komunikacji ze światem zagrobowym (Jacek Trznadel, 1993), albo, że zaszczepiła swym adwokatom warszawskim zdolność „jasnowidzenia wstecz” (Włodzimierz Odojewski, 2000 – *Jasnowidzenie wstecz*, „+ PLUS – MINUS” nr 44). Tak czy owak – wariatka! Tak teraz, jak i siedem lat temu, czytelnik nie bardzo zorientowany w sprawie, bezradny wobec nieznamości szczegółów, ma odnieść takie wrażenie i taki właśnie pogląd na temat Niny Karsov przejąć od jej adwersarzy. Wszystko zaś po to, by opinia publiczna uwierzyła, że spuścizna wybitnego pisarza polskiego znalazła się w rękach osoby szalonej, zatem ratowanie zagrożonego dobra kulturalnego usprawiedliwia nawet ignorowanie prawa – w końcu mowa o stanie „wyższej konieczności”. Tak zdaje się myśleć Włodzimierz Odojewski, gdy za zbrodnię Niny Karsov uznaje zatrzymanie pirackiej edycji książki katyńskiej Mackiewicza, przy czym nie obchodzi go, że edytor zignorował obowiązujące prawo, ważne jest, że tom wyszedł „w opracowaniu naukowym i zaopatrzonej w przypisy oraz wszelkie inne rzeczowe wyjaśnienia prof. Jacka Trznadla” (*Jasnowidzenie wstecz*)! Myślę, że jakkolwiek przenikliwy byłby komentarz prof. Trznadla, nic nie uzasadnia świadomego ignorowania stanu prawnego, porzucenia zasady legalizmu, której przestrzegania można chyba wymagać od ludzi zdolnych do formułowania wszelkich „rzeczowych wyjaśnień”, legitymujących się naukowym tytułem. Cóż, Włodzimierz Odojewski, który jako „monachijczyk” ma dla nas, „krajowców”, być wzorem postępowania i nauczycielem „reguł gry demokratycznej”, sądzi inaczej.

Jaki zaś jest stan prawny sprawy, przypominał w „Tygodniku Powszechnym” Włodzimierz Bolecki. Dopóki sąd w prawomocnym orzeczeniu nie stwierdzi inaczej, Nina Karsov jest właścicielem i dysponentem, jedynym i wyłącznym, praw autorskich Józefa Mackiewicza. Toczące się w Warszawie procesy o naruszenie tych praw są świadectwem gotowości londyńskiego wydawcy do obrony integralności spuścizny pisarza. Prócz tego toczy się także proces o odebranie Ninie Karsov tych praw na rzecz warszawskiej rodziny Józefa Mackiewicza. W tym procesie, w którym Nina Karsov jest stroną pozwaną, Włodzimierz Odziejewski pełni rolę oskarżyciela posiłkowego, o czym, sądzę, winien informować czytelników, do których zwraca się z intencją rzekomo bezinteresownej obrony interesów zmarłego pisarza. To wszystko razem nie musi zresztą czytelników interesować. Ważną jest natomiast odpowiedź na pytanie, czy istotnie Mackiewiczowi wyrządzono krzywdę? Czy pisarz ten jest w kraju zbyt słabo obecny z winy londyńskiego wydawcy? Czy byłby obecny lepiej, gdyby drukowano go w Warszawie a nie w Londynie, jeśli niezależnie od miejsca druku sprzedaż w kraju i tak jest prowadzona? Czy wreszcie można mówić, iż Nina Karsov wmawia zmarłemu pisarzowi poglądy, których ten nie wypowiadał?

– Zaczniemy od ostatniej kwestii. O ile jest prawdą oczywistą, że Józef Mackiewicz nie mógł nigdzie pisać o początkach III RP, ani oceniać jej kształtu ustrojowego, bo po prostu chwili narodzin tego państwa nie dożył, o tyle jest kłamstwem twierdzenie, że pisarz obserwujący historyczne zdarzenia, które do powstania III RP doprowadziły i które przesądziły o, by tak rzec, ideowym kształcie tego państwa, patrzył na nie z aprobatą. Nie jest tajemnicą, że w ostatnich latach życia Mackiewicz na emigracji prawie nie miał gdzie publikować, jako że poglądy jego nie odpowiadały temu, co emigracja – zbiorowo – uznała za wyraz patriotycznej powinności. Tak było w kwestii poparcia opozycji krajowej, tak w traktowaniu „Solidarności”, tak w sprawie polityki Kościoła w Polsce, wreszcie – w kwestii pontyfikatu Jana Pawła II. Gdy przed laty zapoznawałem się w Londynie z korespondencją Józefa Mackiewicza, ujrzałem dostatecznie wiele zapisanych przez niego zdań, wyraźnie określających jego stosunek do rysujących się już przecie zmian politycznych. Przytoczę jeden tylko fragment, z listu do Stefanii Kossowskiej z 15 lipca 1981 roku, myślę, wystarczająco dobitny.

„Niestety, to co Pani nazywa: «wszystko co polskie (Papież, prymas, Wałęsa, Solidarność)»... jest dla mnie:

papież: największy (z moralnej wagi gatunkowej) «poputczyk» bolszewizmu od r. 1917,

prymas (Wyszyński): jeden z największych zdrajców w dziejach Polski,

Wałęsa: jawny człowiek partii komunistycznej, działający na jej korzyść,

«Solidarność»: totalitarny zlepek autocenzury, komuny, Kościoła i najniższego gatunku nacjonalizmu; w szarości, nudzie i zakłamaniu. Brrr...”

Cóż poczną z tymi poglądami ci wszyscy, którzy – jak Włodzimierz Odziejewski – sugerują, że Józef Mackiewicz jest pisarzem w całości i ze wszystkim do przyjęcia w dzisiejszej Polsce? Myślę, że po prostu je przemilczą, co też

czynią, udając pierwszych naiwnych. Nawet wtedy, kiedy próbują umieszczać Mackiewicza na sztandarach tej części młodej prawicy, której patronuje Jacek Trznadel. Bo skądinąd wiadomo, że na te sztandary, jak i na żadne inne, sylwetka Mackiewicza nie pasuje.

Kolejna sprawa – rzekoma krzywda uczyniona pisarzowi przez wydawcę, tzn. rzekoma nieobecność na rynku krajowym. Powiedzmy krótko: od siedmiu lat dzieła Józefa Mackiewicza są na tym rynku obecne w takim zakresie, w jakim to jest możliwe. Nie będę powtarzał tego wszystkiego, co o staraniach promocyjnych wydawcy napisał Włodzimierz Bolecki w odpowiedzi danej Włodzimierzowi Odojewskiemu w „Tygodniku Powszechnym”. Przypomnę jedynie, że to samo pismo drukowało list Małgorzaty Czerwińskiej, równie gorąco oprostowujący paszkwil na Ninę Karsov pióra Odojewskiego. Przypomnę też, że książki Mackiewicza są rozprowadzane przez krajowego dystrybutora, który współpracuje z piętnastoma hurtowniami. Jeśli są do nabycia w nielicznych księgarniach, jest to wynikiem braku zainteresowania księgarzy. Pisząc dla „Rzeczpospolitej” (dodatek „+PLUS – MINUS”) Odojewski powiada: „dwie moje książki [...] wydane przez Czytelnika miały łączny nakład 40 tys. egzemplarzy [...] jestem pewien, że takie same nakłady mogłyby osiągać dzieła Mackiewicza.” Oczywiście – gdyby wydawcą nie była Nina Karsov, dodajmy w zgodzie z sensem wywodu Odojewskiego. – Łatwo sobie wyobrazić sytuację, w której *Dzieła* Mackiewicza, np. ograniczone tylko do dzieł powieściowych, wydaje jakiś wydawca krajowy w wielkim nakładzie. Po prostu – za publiczne pieniądze. Bo uzasadniono by zaraz, że to powrót pisarza po okresie gnębienia go przez wydawcę londyńskiego i zapewne uzyskano by sporą dotację, np. ministerialną. Wtedy zaś nie trzeba by się martwić sprzedażą – ta i tak by nie wzrosła – jako że książki byłyby już „zapłacone”. W końcu były już takie „pomnikowe” edycje innych ważnych pisarzy – emigrantów, po których krąg odbiorców ich twórczości się nie poszerzył, nadal pozostali pisarzami elitarnymi, dla wąskiego kręgu odbiorców, ale niskie wyniki sprzedaży nikogo nie martwiły, gdyż edytor konsumował dotację. Poza tym – Włodzimierz Odojewski przesadza z łaskawością dla Mackiewicza, gdy zrównuje jego książki ze swoimi własnymi. Zawsze było tak, że istnieli pisarze bardziej i – by tak powiedzieć – mniej nadający się do roli pisarza masowego. Jestem przekonany, że Włodzimierz Odojewski zalicza się do tej pierwszej grupy, zaś Józef Mackiewicz – do drugiej. I nie pomoże na to łaskawe zaproszenie Mackiewicza przez Odojewskiego do grupy pierwszej. Zwykło się mówić, że Józef Mackiewicz to „pisarz dla dorosłych”. Dodajmy – pisarz trudny, elitarny, przenikliwy analityk nie tyle przeszłości historycznej, co kierunków przyszłych urządzeń społecznych świata. Takiemu zaś pisarzowi masowa popularność, wynikająca z chwilowej koniunktury czy mody, nie jest niezbędna, by trwał w kulturze. Bo jego trwałość jest większa niż trwałość mód czytelniczych, orientacji odbiorczych czy doraźnych działań rynkowych. Cóż, pisarze nigdy nie byli, na szczęście, klanem zawodowym ludzi jednolitych. Bywali różni pisarze. Wśród nich i tacy, którzy gdy wypowiadali się w tekstach dyskursywnych, gdy schodzili z wyżyn pisarstwa artystycznego na niziny publicystyki, czynili to w przekonaniu, że poruszają

problemy istotne dla przyszłości naszej cywilizacji. Bywają jednak i tacy twórcy, którzy chwytają za oręż publicystyczny po to, by kwestionować np. legalność czyjeś związku małżeńskiego. W obu cytowanych tu wystąpieniach Włodzimierz Odojewski sugeruje, że Barbara Toporska-Mackiewiczowa nie była prawną żoną pisarza. W tym twierdzeniu jest oczywiście sugestia, że jedynie pierwsza żona i jej spadkobiercy to osoby władne dysponować spuścizną Mackiewicza. Nie chcę tutaj roztrząsać tego wątku, powiem tylko to, że według mojej wiedzy Józef Mackiewicz był żonaty z Barbarą Toporską jak najbardziej legalnie.

Pozostaje jeszcze jedna kwestia – nazwijmy – kwestia stylu. Gdy przeczytałem w „Tygodniku Powszechnym” pierwszą wypowiedź Odojewskiego na temat wydawniczych i dystrybucyjnych praktyk Niny Karsov, byłem zaniepokojony przeterminowanym z tekstu tonem, dziwnie przypominającym tonację tzw. języka marcowego. Bo po co np. pisać, niechby i w polemice, że Nina Karsov prowadzi w Londynie „wydawnictwo polskojęzyczne”? Wszak wiemy, co mają na myśli ci wszyscy, którzy np. o „Gazecie Wyborczej” mówią, że jest dziennikiem polskojęzycznym. Albo taki zarzut – wprawdzie Nina Karsov sprzedaje książki Mackiewicza w kraju, ale jedynie w „ekskluzywnych księgarniach”! Jakie księgarnie są ekskluzywne? Może takie za złotymi firankami?! Niepokoili mnie także dziwna a konsekwentnie przez Odojewskiego podtrzymywana maniera pisania o Ninie Karsov z użyciem nazwiska jej nieżyjącego męża, pisarza, Szymona Szechtera – „Nina Karsov-Szechter”. Po co? Skądinąd wiadomo, że pani Karsov jest osobą piśmienną, raz po raz występującą w druku, zawsze sygnującą swe teksty „Nina Karsov”. Skąd zatem ta skrupulatność Odojewskiego, który najwyraźniej legalności małżeństwa Karsov – Szechter nie kwestionuje? Przyznam, że miałem brzydkie podejrzenia. W końcu nie tak dawno temu socjolog Sergiusz Kowalski na łamach „Gazety Wyborczej” dowodził, że w środowiskach polskich antysemitów nazwisko „Szechter” (z uwagi na genealogię Adama Michnika) stało się czymś w rodzaju rzeczownika pospolitego, zastępującego określenie „żyd”, zatem w niektórych środowiskach nacjonalistycznej prawicy zamiast „te żydy” można powiedzieć, z taką samą nienawistną intencją, „te szechtery”! Konsultowałem swoje niepokojące wrażenie ze znajomymi, ale moi rozmówcy raczej skłaniali się do uznania niepokoję za przesadny. Tymczasem w najnowszym wystąpieniu Odojewskiego czytamy: „pragnąłbym dodać, że jeszcze jedna [...] przyczyna skłania mnie do zwrócenia się do Państwa [tj. do redakcji „Rzeczpospolitej”, W.L.] z prośbą o umożliwienie mi poniższej publikacji. A mianowicie: przeogromna ciekawość, jakie to potężne siły ochraniają w naszym kraju osobę Niny Karsov-Szechter [...]”. Chciałbym przeto zapytać, czy owe „potężne siły” to może „te szechtery”, Żydzi, masoni i cykliści? – Nie wiem, rzecz jasna, co motywuje Włodzimierza Odojewskiego do posługiwania się akurat w tej sprawie językiem, który tak bardzo kojarzy się z „marcowym gadaniem”. Wiem jednak, że wytrawny i doświadczony pracownik słowa powinien zdawać sobie sprawę z kontekstów, jakie taką mową otwiera. Czy robi to celowo, czy nie – nie mnie sądzić. Ale po pierwszym wystąpieniu Odojewskiego w „Tygodniku Powszechnym” pozostały, powiedzmy, brzydkie skutki. Pytał mnie niedawno dziennikarz, pragnący „obiek-

tywnie” rozpatrzeć sprawę losów dorobku Mackiewicza: „A czy nie sądzi pan, że jest dziwną sytuacją, w której Adam Michnik, który jak wiadomo pisarstwa Józefa Mackiewicza nie znosi, ma poparcie ze strony swojej krewnej z Londynu, która rzekomo Mackiewicza popiera, a robi wszystko, by ograniczyć jego obecność na polskim rynku?” Pytanie było zbyt głupie, by na nie odpowiadać. Tak głupie, że trudno uwierzyć, iż naprawdę padło. Ale padło. Prof. Janusz Sławiński, obecny przy tej rozmowie, jeśli wolno – świadkiem. Pytam zatem, skąd pomysł dziennikarza, najwyraźniej wierzącego w zorganizowany przez „Gazetę Wyborczą” i jej redaktora spiszek „lewicowo-syjonistyczny”, że Nina Karsov jest krewną Adama Michnika? Bo jasne, że nie jest. Ale może owo „Nina Karsov-Szechter” taki skutek odniosło? Jeśli byłby to odbiór zaprojektowany, chodziłoby o to, by czytelnik uwierzył w „antypolski” spiszek, w ramach którego Nina Karsov „niszczy polskiego pisarza”? Nie wiem. Wiem natomiast, jakie siły chronią tymczasem Ninę Karsov w Polsce. I chciałbym, by zawsze chroniły. Choć właściwie trzeba by użyć liczby pojedynczej. Działa tu bowiem jedna tylko siła – siła prawa. Oby ochraniała w Polsce wszystkie osoby – niezmiennie i niezachwianie.

Wacław Lewandowski

Grzegorz Musiał

Dziennik bez dat (4)

Niedziela

Trafiłem dziś na tę mszę o trzeciej na Placu Piastowskim, gdy zawsze odprawiają się chrzciny. Kościół okropny – ciężki pseudobarok, który tutejsi Niemcy katolicycy tuż przed I wojną sobie ufundowali. Boleśnie skrzycone anioły usiłują sfrunąć ze szczytu białego ołtarza, bezskutecznie dmąc w złote, na ślepo zaplombowane trąby. A że p e w n e świątynie przywołują p e w n y c h k s i ę ż y, toteż ksiądz – dość młody, w wielkich okularach o grubej czarnej oprawie – upodabniających go do dzieci-mądrali z amerykańskich kreskówek – już na powitanie zagrzmiął jakimiś zupełnie fantastycznymi dramaturgizacjami liturgii. Drwić z tego, ma się rozumieć, nie sposób, ale chodzi o intonację:

– Te-en kie-lich! – głos mu drżał i falował z przejęcia – tę-ę Prze-cnajswię-ętszą Of-fiarę!!!

Na „chrzest” mówił „krzest” i: „rodzice krzestni”. Przed komunią uprzedził, że „najpierw proszę do sto-ołu Pa-aińskiego” rodziców i rodziców „krze-estnych” oraz „Do-osto-ojnych Jubilatów”, równocześnie odprawiał się bowiem jakiś małżeński jubileusz. Ludzie, którzy już poderwali się z ławek, posłusznie siedli, by przez nawet główną przedefiniować mogła wywołana przez księdza delegacja. To samo na koniec mszy, przy błogosławieństwie: głosem organizatorki akademii rocznicowej przypominał, że „wzpierw błogosławieństwo otrzymują rodzice, rodzice krzestni i Dostojni Jubilaci. Proszę do ołtarza”. A już zupełnie na koniec wygłosił odę dziękczynną do proboszcza, wychwalając jego „apostolskie upracowane ręce”.

To klasyczna kościelna grafomania. Okrężanie słowami rzeczywistości, żeby ją opisywać jak najdłużej. I jak najpiękniej. Tortura przymiotnika. Ręce Papieża są zawsze „błogosławiące”, a biskup składa mu uszanowanie „synowskie”. Ziemia, którą aktualnie odwiedza Papież, jest zawsze „piękna” a lud „wierny”. Pochodzi to z czasów propagandy komunistycznej – pusta eufemistyka niedouczonego sekretarza, z których wzięli wzór ci księża nowego chowu, za wiele po swych wsiach nasłuchawszy się peerelowskiego radia i peerelowskiej telewizji. Chłopi to byli „ludzie pracujący na roli”, robotnicy – „ludzie ciężkiej pracy fizycznej”, „uczni” to „ludzie nauki”, „artyści” – „ludzie kultury”. Rosjan też nikt nie ważył się zwać po imieniu, więc byli to „ludzie radzieccy”, podobnie jak Niemcy – „obywatele NRD”. I co tu się dziwić, że na Placu Piastowskim proboszcz „apostolsko upracowanymi dłońmi” święci nie, broń Boże, „ciężarne”, a „błogosławione matki, niosące tej ziemi dar życia”.

Wtorek

Co one takie smutne? Modelki na targach „Inter-Fashion” w Łodzi? Źle się ruszają. Źle noszą swoją pleć. W źle uszytych sukniach, przy złej muzyce – jakie mogą być?

Złe.

Do tego z hasłem nad głowami: „Wólczanka może być twoja”.

Środa

Z życia Sklepów Spożywczych i Monopolowych

Baba alkoholiczka o swoim wnuczku (trzy i pół latku):

– Renia, daj mi ino wisionkę*, bo mały Arizony nie chce i już mi kieliszek zbił. A po wisionce to i po drugi przyszedł.

Czwartek, wieczorem

Polacy nie umieją być sobą. W porównaniu z np. Anglosasami, nie mają klucza do własnych osobowości. Mści się to jakieś jednak lenistwo słowiań-

*wisionka – tanie wino wiśniowe

skie, np. w przeciwieństwie do francuszczyzny, niemieckiego itp. – brak języka zdatnego tworzyć wyraźne kategorie samopoznawcze (filozofii, teologii...). I również, w przeciwieństwie do tamtych kultur – odmowa przyjęcia do wiadomości tej prawdy. Ta nieuczciwość – leżąca u samego fundamentu naszej katolicko-słowiańskiej rozlazłości (w ostatnim półwieczu dodatkowo wzmocniona panowaniem Królowej Półprawdy i Króla Bałaganu) tworzy w Polakach przestrzeń mglistą, samozapełniającą się zarysami, konturami, mitem.

Niedojrzałość Polaków – ta, o której pisał Gombrowicz – sprawia, że i tej Prawdy o Nieprawdzie nie zamierzamy przyjąć. I jak jakieś biedne, głupie dzieci, które zwalnia się z wszelkiej odpowiedzialności, czujemy się nieszczęśliwi i pokrzywdzeni, kiedy jakiś mit nam się zawali lub wyczerpie, albo – obrażeni i gotowi z całym światem włączyć się po sądach – gdy go nam ktoś „obcy” wyśmiej.

To dlatego Polacy tak nie lubią „obcego”? Bo się go boją? Wierni i zawsze na straży? Swego mitu? Swego grobu?

W tym Disneylandzie, w tym samozmyślającym się świecie, w którym tak dobrze jest być „swoim”, a tak okropnie „obcym” – jedynym, co nagle czyni Polaków prawdziwymi, co tym pajacykom teatralnym przywraca prawdziwe, bolesne człowieczeństwo (odslaniając w niejednym prawdziwe skarby ducha, dotąd za zmyślną zasłonką samokłamstw schowane) – jest jakaś Akcja Wspólna (np. Powstanie), czy jakiś Moment (np. Historii) – kiedy nie tyle chodzi o jakiś czyn wielki, czyn krwawy, na którym „uczyć się będą” swej „tożsamości” następne pokolenia, ale żeby o jednym czasie, wszyscy, na dany znak, porzucili swe komedie.

Z życia Sklepów Spożywczych i Monopolowych

Ojciec (o córkach): – Ta starsza to ma linię jak chuj. A Kacha, kurwa, to je (ruch rąk) taka gruba. Na razie o linię nie dba.

Piątek

Ciepły, ostry wiatr dziś dmucha. Jesień gorąca, jak ramiona namiętnej, starzejącej się kobiety. Przez całą (wąską) drogę od Biskupic do Kończewic i po Chełmżę, spadały mi na maskę samochodu kasztany. Część pękała uderzając o maskę, inne już leżały na szosie z rozłupanymi, chciałem napisać – główkami – a to przecież tylko zielone, spęczniałe od soku łupiny, z których powylatywały na asfalt te cudowne, brązowe i lśniące. I to one ginęły – ostatecznie i nieodwołalnie – pod kołami, z krótkim trzaśnięciem, które dobiegało mnie zza jesiennej ciszy pól, przez uchylone okno samochodu.

Poniedziałek

Dziś od rana siedem godzin w szpitalu, potem o drugiej cwał do baru, jakieś kluchy, od drugiej trzydzieści dwie godziny „Hipokratesa” (dziś wyjątko-

wo pożądanego przez pacjentów; jedna miała tak popsute zęby po lewej stronie i tak do mnie tą stroną wciąż zalotnie się uśmiechała, że pomyślałem „giń, maro przekłeta”). Po czwartej – godzina u Mamy i brata; Mama mokra od śliny i soków, które na siebie powylewała, rzuca się, kochana, całować moje ręce, coś gaworzy, nagle zapatruje się w niebo i jej oczy robią się złotozielone, wtem ciemnieją, wlepia we mnie gniewny wzrok i coś gwałtownie mi perswadowuje... Serce pęka. Brat coraz bardziej mesjanistyczny, cały w Radiu Maryja, wieszczy koniec świata i poza tym niewiele go interesuje. Ciekawy przypadek opętania umysłu bezkrytycznego, bo technokratycznego i nie bronionego głębszą humanistyczną wiedzą, przez ułatwioną wizję świata. Świat do zguby prowadzi Bruksela i diabelskie trzy szóstki wpisane w jakiś globalny komputer, mający całą ludzkość pod kontrolą. Oczywiście, zarząd tego spisku światowego stanowią masoni oraz kalifornijscy Żydzi (ciekawa jest precyzja jego awersji – którą kieruje wprost na Silicon Valley; tam upatruje centrum technologicznego spisku, mającego zmieścić „tradycyjnego człowieka” z powierzchni świata). Pedałów na razie oszczędza.

Od brata – pęd do domu i komputer, jak co miesiąc jakaś błahostka dla „Lekarza Polskiego”; Jacek wpadł „po drodze” z dworca, „przypadkiem” z kalafiorrem, którego mi ugotował i przy okazji upiekł starą kurzą nogę, leżącą od miesięcy w zamrażalniku. Prawie już się psuła, bo zapaszek zalatywał od niej po rozmrożeniu, ale Jacek „zabił go czosnkiem”. Bardzo to wszystko smaczne i dziękowałem Bogu za przyjaciół, bo zostałbym bez kolacji, skoro od ósmej już czekała na mnie Małgosia u siebie w domu, dzwoniąc już dwa razy, że nie może się doczekać. Więc gnam do niej, znów spóźniony, bo błahostka dla „Lekarza Polskiego” wcale nie okazała się błahostką (coraz trudniej pisać mi tak zwane „lekkie kawalki”, których czytelnicy „Lekarza” oczekują; pewno się starzeję, bo coraz mniej mi do śmiechu). Teraz jestem z powrotem w domu, jedenasta w nocy, za mną dwie godziny dudłania z doktor Małgosią jakichś męczybułowatych programideł do walki z tytoniem przy pomocy Szpitala oraz innych szpitali regionu. To MUSI być gotowe na jutro; Dyrekcja bardzo niezadowolona, już dwa dni spóźnienia, a Unia Europejska czeka, WHO czeka... Gdy to wszystko winna była zrobić pani Marzenka, pani Bożenka – to one są od „promocji zdrowia”; cóż, kiedy Marzence schną pazury po lakierowaniu, więc macha nimi i pan doktor to robi, bo pan doktor był w Ameryce i zna angielski... A że biorą za swoją „promocję” dwa razy tyle, co moje nędzne grosze na etacie, tego już się nie zauważa... Dobrze, napiszę, bo byłem w Ameryce, bo znam angielski i nawet umiem przez portal wejść do internetu.

Ktoś by popatrzył na taki jeden dzień mojej pracy i umarłby jęcząc „nie, ja tak żyć nie chcę”.

A jutro wcześniej rano – po korekty „Kwartalnika”, bo już makietka gotowa. Z tą wiadomością składacz dzwonił przed chwilą, choć już jest po północy, więc dobrze, odbiorę makietę „Kwartalnika”, pędem, żeby na ósmą zdążyć do Szpitala, potem na pocztę, zapłacić wreszcie rachunki, potem do redakcji „Lekarza” oddać błahostkę, wszystko pędem, żeby na trzecią być w Klinice – bo

dyżur, ostry, do następnego dnia rano, gdy znów, pędem i bez śniadania, do drugiego Szpitala na ósmą...etc, etc...

Czytam te różne Dąbrowskie, Iwaszkiewiczów, Nałkowskie... ich lamente nad przemęczeniem, lawiną obowiązków... Jak to czasu nie mają na pisanie...w tych willach pod Warszawą czy mieszkaniach ze służącą w Łodzi... Jak to pieląc ogródki, wędrując z pieskiem po lasach lub czekając na telefon od premiera wyglądają swojej Melpomeny... Euterpe... Brak czasu... lament... bo zjazd, konferencja, limuzyna od premiera nie przyjechała... a mają im wręczyć order, zaprosić do Paryża...

Pewnie ich krzywdzę.

Jestem zmęczony, rozdrażniony. Jakiś popełniłem błąd w swoim życiu? Nie wiem.

Może to oni – żyli błędem? W każdym razie patrzę w telewizor i widzę, że taki A., mój rówieśnik – mimo perspektyw ciągłego „braku czasu”, ciągłego „zmęczenia” i „czekania na limuzynę od premiera” – już jakże chętnie wyruszył ich śladem. Wszędzie go pełno, w każdym jury; co kamera jakaś, gdzieś – on, ze swoją miną wszechwiedzącego Tejrezjasza, udziela małuczkim rad i wskazówek. Najchętniej w zakresie „stosunków polsko-niemieckich”. W te „stosunki” niestety włączyła mu ostatnio konkurencja: B., też już „autorytet moralny”, taki Szczypiorski bis, choć to przecie moje pokolenie. Ale potrzeba „moralnego autorytowania” jest widać w Polsce równo silna, w każdym pokoleniu. Podobnie jak rola eksperta w „stosunkach polsko-niemieckich”. Włączam satelitarną RTL – a tu następna sokratejska twarz C. Z troską i zmarszczką przez czoło ocenia „stan stosunków”, etc. Wygląda na to, że wszyscy naraz zapragnęli być konsulem honorowym Republiki Niemieckiej w Polsce. Ciekawe, który którego wysyłzga – i za jaką cenę. Włączam polską telewizję: a tu cała trójka na raz! A., B. i C. – z tym, że A. ujęty na tle willi, którą sobie niedawno postawił, B. – na tle jakiejś katedry w Niemczech, dokąd, jak skromnie zaznaczył, nieustannie go zapraszają, zaś C. – w swoim wydawnictwie, które, jak ocenia, „nieźle idzie”.

Teraz rozumiem, dlaczego tyle w co drugim piśmie warszawskim entuzjastycznych recenzji pióra C., z tomików i książek autorów związanych z „Wyborczą”, a w „Wyborczej” – entuzjastycznych recenzji z książki C.

Młyny wiekuistej sławy pracują.

A u mnie? Pacjenci, pacjenci... Gdzie na tej lawce, którą jak kury grzędę obiadły schorowane staruszki, przysiąść ma dumna Melpomena? Jak przez to powietrze, ciężkie od ich kaslań i oddechów, frunąć ma wiotka Klio... zwiwna Euterpe..?

Niedziela

Aktoreczka Figura w *talk show* mówi o „epatacji” społeczeństwa polskiego nagością.

Poniedziałek, noc

Z życia Sklepów Spożywczych i Monopolowych

- Pani Reniu, i co teraz byndzie? Ja to mogię nawet mozaikę jeść...
- Co je mozaika, pani Gieniu?
- Zupa z mąki. Tak jezdem nauczone, bo u nas dziewięć dzieci było. Ale ludzie to wyjdą na ulice.
- Czymu?
- Bo, teraz takie młodziki, jak idzie policja, to palcami o tak pokazujom (zgina palec). Szwagierki zięć przy policji pracuje i ona go pyta, co wy na to. A un, że się skarżą komendantowi.
- I un co?
- Un nic. Mówi, idźta tak, jak byśta nie widzieli.

Na murze boiska szkolnego: „Hiv hiv hurra”.

Wtorek

Na tzw. gruncie zawodowym Jacek spotkał młodego księdza, oddelegowanego w diecezji do opieki nad trudną młodzieżą – absolwenta seminarium w Pelplinie, pochodzącego ze wsi Kamionka (o której mówi „Kamionka”). I opowiada mu o Turynie, że jego kolega (czyli ja) niedawno wrócił z Turynu, gdzie widział grób św. Jana Bosko.

Ksiądz: – Święty? Bosko?

Jacek: – Don Bosko, opiekun młodzieży resocjalizowanej.

Ksiądz: – Noo... nie słyszałem.

Więc temat zszedł na Michalitów, co to ich ks. Markiewicz założył – też od resocjalizacji.

Jacek: – Michalici... zakon w Miejsu Piotrowym na Rzeszowszczyźnie... ci od „Powściągliwości i Pracy”.

Ksiądz: – Noo... nie słyszałem.

Jacek: (do mnie przez telefon) – Ta głupota humanistyczna księży to nie tyle stąd, że w większości pochodzą ze wsi, ale że teraz większość kandydatów do seminariów to absolwenci techników. Kompletnie głusi na humanistyczne tony.

Poniedziałek, noc

Mama, Mama. Dom pusty. Wydaje mi się, jakby już umarła. Nawet nie mogę do szafy zajrzeć, popatrzeć na jej rzeczy. Od ośmiu lat tak umiera i nie może uprosić śmierci. Gdy to powiedziałem mojej sąsiadce, gorzko się zaśmiała:

- E, panie Grzesiu, każdy by chciał umrzeć. Ale trzeba przedtem się pomęczyć...

Rzeczywiście. Bóg Mamie powoli, z precyzją, wszystko po kolei odbiera. Na początku – chód, potem – mowę, teraz wydaje mi się, że ślepnie. Gdzie się po-

działa tamta soczysta piękność, którą na ulicy mylono ze Smosarską? Przedwojenna mistrzyni Polski w wioślarstwie, czwórka żeńska bez sternika? Wychudzona, skurczona kruszynka w wysokich oparciach fotela, skąd bez pomocy już się nie dźwignie. Okropność. Śmiertelne zmęczenie – i jej, i nasze. Moja zdrada. Bo ją teraz oddałem tam, do brata, pod „zimny wychów” bratowej, gdzie jakoby „ma lepszą opiekę”. A ona nie potrzebuje żadnej wielkiej opieki, ona potrzebuje miłości!

Obudziłem się, bo jakbym usłyszał brzęk jej trójkołówki na progu między pokojami. Pełnia. Nie mogę spać. Czytam Winowskiej opowieść o drugim, umęczonym ptaszku, siostrze Faustynie, wydaną pod niefortunnym tytułem *Prawo do miłosierdzia*.

Cierpienie, z cierpieniem, przez cierpienie... Jaka głupia jest nasza cywilizacja! Która na te najważniejsze pytania nawet NIE ZAMIERZA odpowiadać! Tylko młodość, młodość zdrowych idoli, wiecznie myjących te swoje nigdy nie wypadające kudły coraz lepszymi szamponami, nacierających bicepsy coraz lepszymi oliwkami, żrących batoniki mars czy milka z uśmiechem nigdy nie psujących się zębów... Kłamstwo! Zgrywa producentów tych gówien, by ogłupić nas, omamić u bram supermarketów, byśmy wchodzili tam jak do świątyni i kupowali, kupowali ich nie niewarte śmieci.

Jeśli nie sięgnę na inną półkę i nie otworzę takiej książki, jak Winowskiej o Faustynie, jak Simony Weil, jak niektóre rzeczy Gołaszewskiej czy Ratzingera *Eschatologii...*, jeśli, na koniec, nie otworzy mi się w DOWOLNYM miejscu *Pismo Święte* i na DOWOLNE słowo tej *Księgi* nie padnie mój wzrok – cóż wiem ja, dziecię jakoby Najmądrzejszego ze Stuleci, a w istocie – Najsprytniejszego Mamićla, Oszusta, Kłamcy. Cóż wiem o jej... o moim cierpieniu? O sensie – jej umierania? Ofiary? O sensie naszej walki o to, aby jak najdłużej – żyła? Cierpiała? O mojej zdradzie?

Niedziela

Winowska o spotkaniach św. Teresy z Avili z Chrystusem. Chrystus mówi, że „przyjaciół swych doświadcza najciężej”.

– I dlatego, Panie, masz ich tak niewielu – odpowiedziała święta.

Grzegorz Musiał

Leszek Szaruga

Wodna pieczęć (7)

59.

Czytasz kolejny esej o wierszach Jacka Podsiadły – tym razem *Imię Boga* Rafała Rżanego w „Twórczości” (niebawem ten sam tekst odnajdziesz w nadesłanym ci numerze „Nowej Okolicy Poetów”!) – i po raz kolejny zastanawiasz się, dlaczego nie umiesz się z tą poezją pogodzić, dlaczego cię ona odpycha, choć przecież tak wielu ma zwolenników i tak wielką się cieszy poczytnością, choć nagrodzona została Nagrodą Fundacji Kościelskich i promowana do Nagrody Nike. Nie chodzi przecież o jakieś uprzedzenia, nie masz uprzedzeń ani wobec osób, ani tym bardziej wobec wierszy – nawet często zarzucają ci koledzy i koleżanki, że jesteś „wszystkożerny”, że trawisz odległe od siebie poetyki, że nie mierzi cię przemierzanie skrajnie do siebie niepodobnych galaktyk. Zarazem jednak, czytając Rżanego, nie możesz się nadziwić pewnej osobliwej filozofii literatury, jaka pojawia się w tym esej (a może nie tylko w nim: być może jest tu Rżany jednym z wielu tak właśnie myślących): „Podsiadło nieustannie przeczy sobie, nie dbając zapewne o konsekwencję w dotyczących relacji człowiek-Bóg wyimkach twórczości. Daje tym najlepsze świadectwo swojej powagi jako pisarza, mimo iż nierzadko brak jego wierszom istotnej głębi (...), wypada uznać je za przekonujące.”

Wypisałeś te dwa zdania czując ich nieodpartą obcość. Owszem, myślisz, może jesteś zbyt zdroworoządkowy, może zbyt pocziwie logiczny, by uznać ten rodzaj „pisarskiej powagi”. Ale zarazem przecież uznajesz „pisarską powagę” („pisarską niepowęgę”) surrealistów; więcej – cieszy cię ona, daje poczucie współuczestnictwa. Tymczasem tu czujesz jakąś wymuszoną sztuczność, nieautentyczny „autentyzm”, wysiloną spontaniczność. Wiesz, że to nie jest, żywiąca się sprzecznościami, mistyka. Podobnie się czujesz podczas lektury wierszy Podsiadły, zwłaszcza gdy je czytasz w większych dawkach, jak to ostatnio było podczas lektury jego dwutomowego dorobku wydanego nakładem „Lampy” i „Iskry Bożej”. Wspominasz tę lekturę jako jedno z najbardziej smutnych doświadczeń ostatnich kilku lat obcowania z polską poezją. Zastanawiasz się ciągle, dlaczego tak jest, gdyż w gruncie rzeczy chciałbyś, by ci się te wiersze spodobały, chciałbyś, by były pociągające i wciągające. Więcej: czujesz się jakoś winny nie mogąc zrozumieć, na czym polega nie tylko ich popularność, ale też przez wielu dostrzegana uroda.

Trzy punkty w wierszach Podsiadły mogą oczywiście – przynajmniej tak to odczuwasz – być dla czytelników, szczególnie młodych, atrakcyjne, gdyż wyznaczają zręby systemu wartości i zasad życia: Wolność, Miłość i Droga. Tylko, myślisz sobie, już przecież dawno poddawałeś się takim zauroczeniom, było tak zwłaszcza w okresie hippisowskim, który nałożył się na okres „marcowego” buntu z roku 1968: oglądałeś wtedy właśnie (płynąc na chmurce trawy) *Żółtą*

łódź podwodną, potem *Stracha na wróble* czy *Znikający punkt*. Słuchałeś nagrań z Woodstock – ten Hendrix jadący hymnem USA!; ta Joplin! Dziś często wracasz do tego, ale przecież nie chcesz wracać w przestrzeni wierszy, które odbierasz jako wtórne wobec zapomnianego już zupełnie Jarosława Markiewicza czy wobec na szczęście wciąż obecnego Ryszarda Krynickiego. Tym bardziej, że ci starsi poeci – starsi o parę lat także od ciebie – zachowują w swym pisarstwie jakąś konsekwencję, spójność myśli i wyobraźni.

Może, zastanawiasz się, nie sam Podsiadło cię irytuje, nie jego wiersze nawet, lecz fakt, że to pisarstwo funkcjonuje niejako w zastępstwie, jakoś zamiast tego, co wedle ciebie nie tylko było wcześniejsze, lecz nadto bardziej intelektualnie wyrafinowane. Odczuwasz ten sukces Podsiadły – sukces w końcu zasłużony choćby przez zdobytą „czytalność” – jako inwazję literatury ułatwionej, jako wyniesienie tego, co bliskie kultury masowej i przeciwstawione jednocześnie kulturze myślowo bardziej skomplikowanej i ambitnej. Sukces Podsiadły staje się dla ciebie sygnałem potwierdzającym diagnozy Witkacego czy Ortegi y Gasseta zapowiadające redukcję metafizycznych horyzontów sztuki. Przy czym, rzecz jasna, w najmniejszym stopniu nie masz zamiaru umniejszać np. warsztatowych umiejętności autora *Arytmii*, jego zdolności obserwacji czy moralnej wrażliwości. Nie o to – a już na pewno nie o niego samego – się spierasz w ocenie jego wierszy.

60.

Na przeciwnym biegunie odnajdujesz poetyckie poszukiwania Krystyny Miłobędzkiej, poetki piszącej niewiele, lecz przecież każdym nowym tomem dającej świadectwo pisarskiej powagi pojmowanej zgoła inaczej niż czyni to Rżany w opisie poetyckiej postawy Podsiadły. Właśnie otrzymałeś jej nowy tom – *Imię słowy* – który w niezwykle interesujący sposób rozbudowuje jej filozofię języka jako ułomnego narzędzia wyrażania ludzkiego doświadczenia. Podkreślasz to dopełnienie: l u d z k i e g o . Jest bowiem, myślisz, rzeczą zadziwiającą, jak dalece możliwa jest redukcja własnego, o s o b n i c z e g o . Ja podejmowana w imię kreacji – nieustannie rozpoczynanej od nowa – J a o s o b o w e g o , Ja stanowiącego przez relację z Ty, jak w tym choćby fragmencie, w tych oto wersetywach zapisach:

Rozpłynąć, rozwiać się – w tobie, w świecie, w tekście.

Jesteś ty. Nie ma ja. Cud wrażliwości: nie ma wrażliwości. Nie znam takiego słowa, nie ma mojej skóry, nie przyjmuję razów, nie oddaję razów. Nie porażam, nie obrażam, nie wywieram wrażenia. Nie mam obrazu ciebie – pierwszy raz widzę: ty jest właśnie takie. Gdyby się dało wymówić cię bezimiennie, nie nazywając niebem, stołem, człowiekiem.

Porażająco jasne. Bez cienia mnie.

Ta sekunda: urażające i urażane ja znika. Widać każde ty, otwiera się świat.

Zostaje doświadczone, nie ma obrazu.

I nagle spostrzegasz, że Miłobędzka znalazła drogę do słowa uwolnionego z „pierwszego” doświadczenia wzroku: „nie ma obrazu”! Czytając te słowa zamykające zbiór tych liryków, zastanawiasz się nad paradoksalnością zapisanego w nim doświadczenia. Tylko nie wiesz, jak to jest w końcu: jeśli nie ma obrazu, czy jest słowo? O tyle to ważne, myślisz, że przecież wdziera się tu Miłobędzka w tę przestrzeń poetyckiej kreacji, którą otwierał już Zbigniew Bieńkowski, szczególnie w tych pięknych poematach o świecie sprzed świata, o języku sprzed języka, gdy pisał o „przedmowie do słowa”. Wskazywał też na niebezpieczeństwa – od razu odnajdujesz właściwy fragment *Wstępu do poetyki*:

Słowo jest bezkarne.
 Głód można zaspokoić, wojnę można odwlec,
 atak serca powstrzymać, niegodziwość przeżyć,
 na każdą przemoc jest knebel albo łańcuch,
 wszystko jest parowane, nawet kataklizmy.
 Tylko ten narodzony z ust, języka, wargi
 bezkarny jest, on jeden.

Ale, dodajesz zaraz, to wszystko są słowa sprzed owego czyścica, przez jaki przeszło słowo w przestrzeni poezji lingwistycznej. Miłobędzka jest już „po” i zdajesz sobie sprawę z faktu, iż jej ufność nieufna już inaczej musi się wyrazić. W gruncie rzeczy wydaje ci się, że ona język, słowo na swój sposób unicestwia, gdyż konsekwentnie unicestwia mówiące Ja, które nie może się wysłowić, nie potrafi dać słowa. I nagle widzisz, że pozostają zapisy – spokojne, gorączkowe, wyważone, emocjonalne – nie dające się uporządkować, owe „rozrzucone kawalki”, o których napisze: „Gdyby ktokolwiek jakkolwiek zechciał to sobie”

I uważaj, uważaj: nie postaw kropki, bo przecież nie możesz nie widzieć, że Miłobędzka też kropki nie stawia. Musisz to widzieć, że nie stawia kropki. Musisz nie widzieć kropki.

61.

Wysłuchujesz w telewizyjnych i radiowych programach, czytasz w dzisiejszych gazetach o kolejnym „kopernikańskim odkryciu” – które to już ostatnio? – jakim stało się ustalenie (w 97% póki co) ludzkiego genomu. Poznasz swój genom, poznasz swój los... Słuchasz tego wszystkiego z rosnącym zainteresowaniem i rozbawieniem jednocześnie, zaś owo rozbawienie ogarnia cię szczególnie wówczas, gdy doniesienia stają się coraz bardziej sensacyjne a dziennikarskie historyjki przemieniają się w stek fantastycznych bredni: będziemy żyć wiecznie, nigdy nie przestaniemy być młodzi, zawsze już pozostaniemy szczęśliwi, każdą chorobę potrafimy opanować i zwalczyć. Mój dobry Boże, myślisz! I zastanawiasz się czy przypadkiem nie po to nas tak niedoskonalemi stworzono, byśmy się właśnie w ten oto sposób sami mogli udoskonalić tak dalece, by, jak przed tym przestrzega Szymborska, „idiotyizm

doskonałości” mógł nam odebrać chęć życia i byśmy byli jako ten uczeń czarnoksiężnika, który powtarza szyfry mistrza nie wiedząc, jak opanować potem wyzwolone przez zaklęcia moce.

A tymczasem dowiadujesz się jeszcze, że firmy, co zaangażowały swoje pieniądze w badania, które pozwoliły na opracowanie ludzkiego genomu, już się zastanawiają nad sposobem opatentowania tego „wynalazku”. I wiesz, iż dobry Bóg prędzej czy później takie uzurpacje srodze ukarać musi, gdyż ten cały „wynalazek” to przecież jego własne dzieło. Lecz nic cię już w tej dziedzinie ludzkiej zachłanności dziwić nie może i nie powinno, poza może tym tylko, że nikomu jeszcze nie wpadło do głowy opatentowanie takich wynalazków, jak kula ziemską czy galaktyka lub choćby tylko język ludzki, którego reguły też przecież coraz dogłębniej są badane; choć skądinąd zdajesz sobie sprawę z faktu, że prędzej czy później ktoś na taki pomysł wpadnie.

Zastanawiasz się także nad tym, jak długo owa wrzawa wokół odczytania kolejnego szyfru natury będzie trwała, gdyż zdajesz sobie sprawę z tego, że po krótkotrwałej burzy medialnej nastąpić musi jej wyciszenie. Widzisz to zresztą już dzisiaj, gdy ucihły wczorajsze – dosłownie! – sensacyjne doniesienia o wykryciu wody na Marsie, co przecież jest także wydarzeniem o wielkiej doniosłości, gdyż, być może, otwiera możliwość nowej odkrywczej wyprawy, a tym samym ma szansę wyzwolić w człowieku nowe pionierskie impulsy. I nagle dostrzegasz możliwość zderzenia ze sobą tych dwóch pozornie odległych odkryć: oto, myślisz, odczytanie ludzkiego genomu pozwoli przecież na udoskonalenie technik, znajdującej się na razie w powijakach inżynierii genetycznej, a tym samym na takie przebudowywanie ludzkiego organizmu, takie więc nim manipulowanie, by można go było dostosować do ekstremalnie odmiennych od ziemskich warunków marsjańskich, co w wypadku potwierdzenia doniesień o wodzie na sąsiedniej planecie, a tym samym możliwości wyzwolania z niej tlenu, a także przetwarzania jej w wodorowe paliwo, znakomicie może ułatwić kolonizację kosmiczną. Nawet przez chwilę nie wydaje ci się to dzisiaj fantazją, zdaje się raczej zarysem niezwykle realistycznego projektu, w którym podważone być muszą dotąd obowiązujące normy etyczne, gdyż przecież manipulacja genetyczna zmierzająca do stworzenia nowych mutacji *homo sapiens sapiens* w zasadniczy sposób zmienić musi nasze myślenie o nas samych, o naszych „ludzkich prawach” czy nawet powinnościach.

Brniesz w te fantazje, które przestają być fantazjami, poruszasz się jak w malignie, rośnie temperatura, ciśnienie krwi i powietrza, narasta ból odległych galaktyk, które przecież tak samo jak ręce i nogi są częścią twego ciała, są przedłużeniem twej osoby, gdyż przecież jesteś z nimi organicznie zrośnięty, w nich zakorzeniony. Wiesz także, że prędzej czy później ktoś przystąpi do badania genomu wszechświata, a może nawet – bo czemu by nie? – samego Boga...

62.

Zastanawiasz się – po śmierci Kazimierza Brandysa – dlaczego nigdy, wyjąwszy może znakomite *Wariacje pocztowe*, nie miałeś zaufania do tego pisarstwa: nie, byś miał to od razu odnosić do osoby autora, z którym właściwie nic cię nigdy nie wiązało, który istniał jakby niezależnie, gdzieś poza książkami, które trafiły do twoich rąk i które zarazem wydawały ci się ładne i łatwe. Być może myślisz, dla samego pisarza łatwe to nie było, owo ładne pisanie, być może nawet było ono dlań niełatwe, lecz właśnie w tej niełatwości, w tym wysileniu, tak w końcu wyczelowane, iż zbyt gładkie, by nie powiedzieć: śliskie. I pytasz się sam siebie czy nie dałoby się tutaj, właśnie w stosunku do prozy Kazimierza Brandysa, zastosować tych uwag, które na temat klasycyzmu w liryce spisał Czesław Miłosz w *Świadectwie poezji*: „Być może w każdym pocie kryje się dobry rzemieślnik, stąd marzenie o materiale już uporządkowanym, z gotowymi porównaniami i metaforami o cechach archetypalnych, tak że są powszechnie uznane i znajdują oddźwięk; co wtedy pozostaje, to cyzelatorska praca w języku. Gdyby klasycyzm bezpowrotnie należał do przeszłości, nie warto byłoby się tutaj nad tym zastanawiać. W istocie jednak co raz to się odradza jako pokusa rezygnacji, czyli pięknego pisania.”

Otóż, myślisz, owa pokusa „pięknego pisania”, z pewnością odcisnęła swoje piętno na prozie Brandysa, w której jakże często to, co pozornie było przedmiotem uwagi opowiadacza, w istocie kierować miało światło na jego właśnie osobę, unieważniając ów przedmiot w okrzyku: „ach, jakże ja pięknie piszę!” i było to tak, jakby świat powołany został do istnienia po to tylko, by móc służyć za pretekst dla pisarstwa Kazimierza Brandysa. I choć trochę chyba w tej opinii przesadzasz, to jednak trochę tylko, co potwierdza często przywoływana przez Herlinga-Grudzińskiego anegdota opowiadająca o tym, jak Brandys, zgodziwszy się już z tym, iż jego socrealistyczni *Obywatele* to powieść obrzydliwa politycznie i moralnie, wciąż jednak powtarzał, że była ona przecież „dobrze napisana”, co miałoby ją jakoś od niebytu ratować, a tym samym unieważniać wpisane w nią obrzydliwości.

Przepisujesz z *Miesiący*, z końcowej ich partii, zdanie, które zapamiętałeś jako szczególnie interesujące: „Opowiadam, ponieważ nie czuję dostatecznego oparcia w Bogu, a jednocześnie nie chcę wejść w kontakt z Szatanem.” O tyle uważasz to zdanie za zabawne, iż przecież *Obywatele* – a także parę innych opowieści Brandysa – od kontaktu z Szatanem go nie uchroniły, a nawet go do tego kontaktu przywiodły, gdyż ważniejsze dlań było to, jak opowiada, niż to, o czym owo opowiadanie traktuje. Owszem, myślisz, to zdanie, jak wiele innych zdań napisanych przez tego pisarza, jest niezwykle efektowne, przynajmniej na pierwszy rzut oka, w pierwszym czytaniu, lecz gdy się zastanowić, okazuje się puste, jest jedynie wydmuszką, słowną ekwilibrystką, w której zresztą pojęcie Boga jest jedynie ornamentem dla egzystencji Szatana. Bo zaraz potem czytasz rozwinięcie zamkniętego w tej formule wywodu: „Mówię *opowiadać*, przez co w moim wypadku rozumiem pisać. To, co uprawiam, jest zawsze opowiadaniem. Nawet

gdyby niektóre partie mojej prozy mogły się komuś wydawać „intelektualne”, w gruncie rzeczy są przede wszystkim elementami narracji. Dlatego zaskakujące bywają próby skłonienia mnie do wyjaśnień, co chciałem powiedzieć w tej czy innej książce. Nic nie chciałem powiedzieć – chciałem opowiedzieć. Opowiedzieć coś, czego nie opowiedział nikt przedtem, opowiedzieć po raz pierwszy”. I znów nie możesz zaprzeczyć temu, że to zgrabna formuła, że jest to nieźle napisane, lecz przecież, na miły Bóg, trudno zrozumieć, o czym to naprawdę traktuje, co ukryte jest za owym „powiedzieć”, „pisać”, „opowiadać” – w końcu „opowiadać” realizuje się zarówno w „mówieniu” („powiadaniu”), jak w „pisaniu”, nie da się zamknąć w formule wypowiedzi piśmiennej jedynie. Z drugiej zaś strony czyż nie wydaje ci się, że te formuły, jakby broniące „literackości” literatury, są chorobliwą obroną przed tym, co się niegdyś nazywało „zaangażowaniem”, a w co Brandys był wówczas tak silnie uwikłany i oto teraz, jakby na wszelki wypadek, jakby z lękiem przed odpowiedzialnością, osłania się tarczą z hasłem: „Nic nie chciałem powiedzieć”. I wiesz doskonale, że poczynione w cytowanych słowach rozróżnienia terminologiczne niewiele mają wspólnego z dyskusją na temat oralności i piśmienności, że raczej chodzi tu o takie zabarwienie „literaturą” własnej biografii, by okazała się jedynie opowieścią, za której wymowę autor nie powinien ponosić najmniejszej odpowiedzialności, gdyż to przecież nic innego niż „tylko literatura”, gra, zabawa, bezinteresowna żonglerka językowa, zachowany dystans i elegancja sformułowań, jak w tym nawiązaniu do polskiej rzeczywistości roku 1987 widzianej z paryskiego oddalenia: „Na *party* nocnym w Warszawie pewien znany eszysta intelektualno-literacki pobił się do pierwszej krwi z wybitnym działaczem społeczno-politycznym. Poszło o twórczość Conrada, którego obaj wielbią, lecz każdy na swoją modłę i właśnie o to rozkrwawili sobie nosy. Po czym o świecie uściskali się i wyszli z *party* pod rękę. Wysłuchawszy opowieści długo trzymałem się za głowę, śmiejąc się i jęcząc. O, jak chciałbym tam być. O, jak dobrze, że mnie tam nie ma.” Przepisujesz to i zauważasz te konsekwentnie tkane dychotomie – począwszy od owych podwójnych dookreśleń osób, kończąc na obu zdaniach zamykających ten cytat – będące sygnałem „dopracowania” tekstu, jego wyczyszczenia, wygłaskania nawet.

O, nie, nie odmawiasz Brandysowi wrażliwości, nie chcesz go, Boże broń, oskarżać o nieczułość czy dążenie do tego, by każdym dotknięciem pióra wszystko przemieniać w literaturę, ale jednocześnie wiesz, że dotknięty był tą właśnie słabością, że jak Midas żył w świecie przemienionym.

63.

Jak bardzo, moja droga, cię to uwiera, że, moja miła, kultura umiera? Czytasz wywiad z Mroźkiem w „Rzeczpospolitej” i dowiadujesz się z niego, iż, za Witkacym, Mrozek się nie dziwi, dziwi się jedynie temu, że nas to dziwi, że kultura umiera. Ty wiesz, iż umrzeć musi, iż to centrum, w którym wartości jeszcze coś znaczą, w którym trwają biblioteki ze starodrukami czy wręcz księgami spisywanymi ręcznie, w którym pustawe muzea wystawiają na pokaz dawne rzeźby i obrazy,

iz zatem to wszystko, co dawniej, jak mawiano, było dla „górných dziesięciu tysięcy”, pozostało dla owych „górných dziesięciu tysięcy”, tyle tylko, że owe dziesięć tysięcy obrasta masą, przy której maleje, w której topnieje, przy której przestaje być dostrzegalne. I już nie dziwi cię paniusia, która zabłądziwszy do księgarń, to prawda, że na dworcu, gdzie o to stosunkowo łatwo, zwraca się do swego towarzysza wskazując jakąś książkę z dziedziny życia seksualnego: „Wiesz, to ta Wisłocka, co dostała Nobla” – nie dziwi cię to, choć paniusia, wiele młodsza od ciebie, tak na oko, nawet owszem „inteligentna”, nieźle, ze smakiem ubrana, w dobrych kosmetykach, zadbana i ładnie pachnąca, na co zawsze zwracasz uwagę, gdyż nie umiesz nie porównywać tych dzisiejszych dziewczyn z tymi sprzed lat, które nie potrafiły, a raczej nie mogły tak o siebie zadbać w tym prząśnym peerelu, w którym nie tylko dobre kosmetyki, ale i podpaski czy nawet wata były nicosiągalne, o czym dziś wszyscy jak na komendę zapomnieli. Lecz, co dziwaczne i bulwersujące, zdajesz sobie jednocześnie sprawę, iż mimo owych braków, mimo upodlenia owymi brakami, właśnie wtedy, w tym prząśnym, szarym, z lekka skisłym peerelowskim światku, gdy wieść gminna niosła, iż ukazał się nowy tom wierszy Szymborskiej, na przykład jej wybór w celofanowej serii Państwowego Instytutu Wydawniczego, to od rana pod sklepem firmowym przy ulicy Foksał w Warszawie ustawiała się kolejka, która pochłaniała ten tomik błyskawicznie, niezależnie od wysokości nakładu – wówczas nakładów jeszcze nie ukrywano, zaglądasz do wydania *Wyboru wierszy* z roku 1979: 30 000 (słownie: trzydzieści tysięcy) egzemplarzy – książka znikala z księgarń w tempie dziś niewyobrażalnym. Pamiętasz te półki, utajnione, bo to przecież niedozwolone praktyki były, które mieli w księgarniach stali bywalcy. I pamiętasz tych księgarzy, którzy wiedzieli czym handlują, którym nazwiska autorów i książek coś jeszcze mówiły. Oczywiście pamiętasz też, że i na Wisłocką z jej *Sztuką kochania* polowano z nagonką i sprzedawano tego uciészego i w gruncie rzeczy pocziwego podręcznika dowolne ilości. Dziś wiesz, że Wisłockiej urosła olbrzymia, krajowa i zagraniczna, konkurencja i wiesz także, że Szymborskiej konkurencji nie przybyło, gdyż ani Szymborska, ani Paz, ani Brodski dla siebie konkurencji nie stanowią i stanowić nie mogą. Tak, zdajesz sobie sprawę również i z tego, że od czasów peerelowskich czytająca publiczność zubożała, że nie kupuje się już „wszystkiego”, co tylko się na półkach księgarskich pojawia, że książki stały się relatywnie – wciąż jeszcze tańsze niż np. w Niemczech, ale tam i zarobki inne – drogie. Nie dziwi cię zatem, że teraz ta Szymborska w księgarniach leży i leży, że nie znika jak ciepłe bułeczki. I wiesz, że nie dlatego przecież kultura umiera, iż Szymborska źle się – czy raczej: nie dość dobrze – sprzedaje, że „schodzi” powoli, jak mawiają dziś sprzedawcy, podobnie jak wiesz, że z faktu dobrej sprzedaży Szymborskiej w czasach peerelowskich nie wynika wcale, iżby owe czasy były od obecnych lepsze, choć skądinąd przyjemniej jest żyć w kraju, w którym kupienie środków higieny osobistej nie stanowi nierozwiązywalnego problemu. Wtedy, pamiętasz to, przynajmniej kultura, owe powieści, te wiersze, filmy, nawet wystawy malarstwa, także koncerty, wszystko to było zamiast życia, które zredukowane zostało do wegetacji, zaciętej gry, walki o przetrwanie, podczas gdy dziś żyć już można, w dodatku każdy może to czynić tak, jak mu się

to podoba, a zatem i kultura nie tak już dla ludzi ważna jak wtedy, gdy stanowiła niszę jakoś tam prawdziwej egzystencji. I zastanawiasz się czy to prawda, co ktoś niedawno przy tobie powiedział, że mianowicie kultura musi z życiem przegrać, że jest dla życia mało konkurencyjna. Być może, myślisz, lecz przecież nie dla wszystkich, nie dla tych, którzy żyją kulturą dla niej samej, a nie dlatego, że stanowi jakiś świat zastępczy – a tych jest niewielu, niewiele, tak mało, że możemy się wzajem policzyć. I w tym kręgu, wiesz dobrze, kultura nie umiera i chyba nie umrze, choć to krąg ciągle tych samych „górných dziesięciu tysięcy” otaczanych – lecz przecież nie obleganych: nikt tu do środka tak naprawdę wejść nie chce – przez rosnące tłumy: tak po prostu było, tak jest i tak będzie.

64.

I oto otrzymujesz list od Jacka Gutorowa, o którego szkicu na temat dekonstrukcjonizmu była tu już mowa i który pisze teraz: „Moment otchłani, moment zawieszenia wszystkiego – a taki moment przychodzi na każdego, kto poważnie wszedł w dekonstrukcję – jest straszliwy, ale... pozytywny. Pozytywny dlatego, że nagle odsłania się metafizyczny wymiar relatywizmu, a w skrajnych przypadkach (to właśnie mój przypadek) dochodzi do intuicji czegoś, co Simone Weil nazwała *Metaxu*, a więc przestrzeni dobra i zła, przestrzeni pośredniej. To także Kierkegaard – pogłębianie się melancholii doprowadza melancholika do stanu krańcowego ubóstwa, gdzie ma on już do wyboru nicość albo samego siebie.” Interesujące myślisz i czytasz dalej: „Odnosi się wrażenie, iż nasza współczesność faworyzuje jeden tylko etap pewnej wiecznej, nigdy nie kończącej się wędrówki. Wędrówkę tę najlepiej opisuje zapożyczone od Platona pojęcie *metaxu*: bycie „pomiędzy”, pomiędzy naszą ziemią, naszym (jak sądzimy) dobrze nam znanym, konkretnym materialnym otoczeniem – a transcendencją, tajemnicą. *Metaxu* definiuje sytuację człowieka jako istoty będącej nieuleczalnie „w pół drogi”. I Simone Weil i – w inny sposób Eric Voegelin (myśliciele, którzy nienawidzili totalitaryzmu i od których ja dowiedziałem się o platońskim *metaxu*) posługiwali się tą kategorią; Voegelin uczynił z niej nawet jeden z centralnych punktów swej antropologii.” Czytasz to i wiesz przecież, że nie czytasz już listu Jacka Gutorowa, lecz esej *Obrona żarliwości* Adama Zagajewskiego z roku 2000. Cofasz się o lat siedem i czytasz dalej: „Widziałem cię w rozchmurzonym słowie w politycznych wiadomościach w entuzjazmie Platona i Kanta w gryzmołach ludowego głuchego poety w pamiętnikach przedwojennych chłopów w akordeonie leżącym na ławce w śniegu w suchych sutkach pogody w siekierce wbitej w plecy ognia w uchylonych drzwiach pamięci w kucającym deszczu w czuprynie przymrozka i otwartym cicho oknie.” Tym razem czytasz i wypisujesz fragment z poetyckiego tomu Kazimierza Brakonieckiego, który to tom, a jakże, zatytułowany został *Metaxu*.

I co z tego, myślisz gwałtownie, co z tego, to przecież wisi w powietrzu, to jest na czasie. I uświadamiasz sobie, że „na czasie” czyli lat temu mnóstwo Czesław Miłosz tłumaczył i publikował pisma Simone Weil, gdzie owo pla-

tońskie pojęcie-formuła już się wyodrębniło z niedoczytanej przez młodych filozofów *Ucztę* (pamiętasz wszak: Zagajewski studiował, a nawet wykladał w krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej filozofię; o ile wiesz, Gutorow studiował ją także: dlaczego nie doczytali Platona?).

Powracasz do listu Gutorowa, ważnego, w jakiś sposób zasadniczego i raz jeszcze – który? – dostrzegasz, że wśród jego rówieśników (ale być może także wśród twoich...) zakorzenienie w tradycji jakies jest płytkie, zredukowane do etykietek jedynie: nazwiska-sygnaly – Platon (ale z drugiej ręki), Kant, Kierkegaard. Już lepiej jest, myślisz, z filozofią dwudziestowieczną, ze współczesnym piarstwem. Lecz już nie jesteś pewien czy oni – młodzi – tak jak twoi rówieśnicy czytali w młodości Dostojewskiego (bo już Sartre'a, i słusznie, z pewnością nie), czy znają *Czarodziejską górę* Manna... Nie narzekasz, nie chcesz przez to powiedzieć, że są „gorsi”, ale dziwi cię jednak to zawieszenie głębokiej tradycji, sięganie do niej, w razie konieczności, poprzez jej współczesne interpretacje.

65.

Od czasu do czasu zaglądasz na łamy miesięcznika „Twórczość”, by się przekonąć, jak dalece jeszcze redakcja potrafi zachować swą niezależność i autonomię wobec plugawego w końcu życia kulturalnego kraju, w którym to kraju (i życiu) wszystko się wzięło i tak pogmatwało, tak pokręciło i tak dalece poprzestawiało, iż brak jakiegokolwiek busoli pozwalającej się zorientować w tym, kto jest kim i po co. By wiedzieć, jak to jest w kręgu „Twórczości”, czytasz rubrykę *Wśród czasopism* i oto, w najnowszym numerze, z lipca roku 2000, czytasz, że jest zła nowina dla tych wszystkich, których życie literackie interesuje. Tą złą nowiną, jak czytasz, jest „festiwal obecności Gustawa Herlinga-Grudzińskiego”. Ze smutkiem a nawet z pewną – niemalą – dozą złośliwości rozpisuje się na ten temat znany ci skądinąd krytyk Leszek Bugajski: „Prawdopodobnie jesteśmy świadkami końca epoki bezkrytycznych zachwyków nad twórczością autora *Dziennika pisanego nocą*. Pewnie dziennikarze są już zmęczeni adoracją Herlinga i wyczuwają, że czytająca publiczność też jest znudzona nieustannymi holdami, na których obserwowanie była skazana przez ostatnie lata. Publiczność nudzi się teraz coraz szybciej i potrzebuje coraz to nowych obiektów adoracji. Takie czasy.”

Gdy czytasz te wynurzenia, które zostały opublikowane już po śmierci Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, nie możesz się nie zastanowić nad swoistą bezczelnością ich autora, który, mając z pewnością nieczyste sumienie wobec jeśli nie siebie samego, to koleżanek i kolegów, którzy w okresie peerelu tworzyli przestrzeń kultury niezależnej – wobec której Bugajski, delikatnie rzecz ujmując, starał się dystansować – obecnie nie jest w stanie zrozumieć tych wszystkich, którzy potępiają wszelkie formy kolaboracji z upadłym reżimem: a niewątpliwie formą kolaboracji w latach osiemdziesiątych była a k c e p t u j ą c a realia obecność w oficjalnym obiegu kultury. Nie masz zamiaru sięgać do tekstów Bugajskiego z tego okresu – nie chodzi ci o jego kompromitację. Chodzi ci jedynie o wskazanie pewnej tendencji do relatywizowania postaw, jakie w okresie historycznie za-

gmatwanym zajmowali zwolennicy „Realpolitik”, a do takich z pewnością Bugajski należał. I z pewną złośliwą satysfakcją zauważasz, iż zarówno Bugajski, jak „Twórczość” – przypadkiem oczywiście – znaleźli się w momencie śmierci pisarza, który się podobnym relatywizacjom przeciwstawiał, w sytuacji zgoła zdumiewającej: „dokładają” Herlingowi za to, iż zajmuje postawę nieprzejednaną, zaś przy okazji – i to wydaje ci się szczególnie godne uwagi – stają się, jakby mimochodem, nie całkiem wprost, zdyskredytować rangę pisarstwa autora *Wieży*. Nie masz czasu na to, by sprawdzić kto i kiedy i w jaki sposób na łamach „Twórczości” pisał o książkach Herlinga... Czytasz wynurzenia Bugajskiego o jego lekturze wywiadu z Herlingiem w „Plusie-Minusic”: „Już i tak moje obawy wzbudził fakt, że w tym wywiadzie tylko raz dał mi prawdziwy powód do radości – czyżby spadek formy? Tym powodem była ocena, że żadna z czterech czytanych przez niego recenzji powieści *Biała noc miłości* nie była inteligentna. Zabawne jest to stwierdzenie dla mnie dlatego, że o tej powieści po prostu trudno pisać coś inteligentnego, bo brak pretekstu”. Możesz się, oczywiście, założyć, iż w chwili gdy to pisał – szkaradną zresztą polszczyzną – Bugajski lektury *Białej nocy* miłości za sobą z pewnością nie miał – nawet krytyk tak porażająco prząsny nie mógłby bowiem, znając opowieść Herlinga, wygłaszać podobnie nieinteligentnych sądów.

Rzecz w końcu nie bez znaczenia, uważasz, gdyż cokolwiek by sądzić o postawie pisarza – sam kiedyś zwracałeś uwagę na to, iż z biegiem czasu z moralisty przeistoczył się on w moralizatora i że ta przemiana dość była zdumiewająca – był on (i jest nadal) jednym z najwybitniejszych prozaików polskich tego stulecia – zarówno *Skrzydła oltarza*, jak *Drugie przyjście*, ale także ostatnio wydane *Biała noc miłości* i *Podzwonne dla dzwonnika* to utwory rangi najwyższej. Jest rzeczą zrozumiałą, myślisz, iż Herling, świadom w końcu rangi swej twórczości, w chwili, gdy odzyskał dla siebie krajową publiczność, gdy nadto znalazł potwierdzenie swego pisarskiego powodzenia, doszedł do przekonania, iż misja, której się poprzez literaturę poświęcił, wymaga wzmocnienia w wypowiedziach pozaliterackich – w publicystyce przede wszystkim.

Zabierał głos w sprawie zachowań polskiej inteligencji w okresie peerelu – znasz te wypowiedzi i nie zawsze się z nimi zgadzasz. Ale w żadnej mierze nie jesteś w stanie przyjąć stanowiska Bugajskiego, który wypowiada się w imieniu tych, co, jak pisze, „żyli tu i chcieli żyć zwyczajnie, choć w miarę możliwości wygodnie i spokojnie”. Tu stajesz po stronie Herlinga: tak żyć mógł chcieć każdy, tylko nie intelektualista, nie pisarz, nie człowiek odpowiedzialny za słowo – gdy się wybierało taki zawód (będący wszak rodzajem powołania), trzeba dziś ponosić tego konsekwencje – każdy, kto chciał jako intelektualista żyć „zwyczajnie” w peerelu, ten sprzeniewierzał się swej powinności, zdradzał sferę wartości, której obowiązanym był bronić. Rzecz w tym, o czym się po raz kolejny przekonujesz, że ludzie pokroju Bugajskiego w ogóle nie rozumieją, o czym mowa. I, dodajesz, nie są w stanie zrozumieć. I nie wiesz, po co w takim razie w ogóle się literaturą zajmują.

Zbigniew Zakiewicz

Ujrzane, w czasie zatrzymane (8)

NALEŻĘ DO TEGO POKOLENIA KRESOWIAKÓW, których historia posadziła okrakiem na barykadzie. Po jednej stronie była tradycja Polski Jagiellońskiej, z legendą kresowych stanic, cywilizacyjnej misji Polski łacińskiej, odwiecznego trwania (bo przynajmniej od XVI stulecia) na Kresach, tych obrzeżach Rzeczypospolitej. Z drugiej zaś strony?...

Opuściliśmy Kresy jako nastolatki, lecz nasi rodzice i dziadkowie utrzymywali w nas przekonanie o tymczasowości wyjazdu, nazwanego eufemistycznie repatriacją. To przekonanie trwało aż do okresu dojrzałości. Wówczas to zaczęliśmy pojmować, że nie można odwrócić biegu rzeki, że nikomu nie udało się dwa razy zanurzyć w tej samej wodzie. Oczywiście, skazywało to nas na konflikt z pokoleniem ojców, którzy wciąż szykowali nam powrót na ziemię zabrane przez Sowieców.

Moje podróże na Wschód w latach 60 i 70-tych, a szczególnie na Białoruś, Ukrainę i Litwę nagle ukazały mi Kresy z tamtej, ich perspektywy. Choć narody te przeżywały ciężki okres sowyetyzacji, to przy całym sentymencie do czasów przedwojennych, wcale nie zamierzały powracać do starych układów. Chcieli nas mieć za przyjaciół, jako dawnych współziomków, ale siedzących bezpiecznie za Niemnem i Bugiem. Dawne Kresy z ich punktu widzenia okazywały się nie Kresami, czyli obrzeżem polskiego centrum – ale Białorusią, Ukrainą czy Litwą.

Pomimo to na spotkaniach autorskich, które za czasów PRL-u należały do stałego obrządku, jako pisarz kresowy nie ośmieliłem się mówić moim kresowym czytelnikom o Wilnie dla Litwinów, czy Lwowie dla Ukraińców. W większości byli to ludzie z pokolenia moich ojców i jakakolwiek próba trzeźwego, rozsądnego rozstrzygnięcia tego dylematu kończyła się konfliktowo.

Znalazłem się więc w sytuacji podobnej do tej, w jakiej był Jerzy Giedroyc, który naraził się całej emigracji przyznając konieczność uznania praw tych krajów do ziem niegdyś kresowych, jako podstawę do realnej polityki wobec Wschodu. Właśnie to Giedroyc od początku z uporem budował podwaliny dobrosąsiedzkich stosunków ze wschodnimi sąsiadami. Wierzył święcie, że z czasem dojdzie do demontażu sowieckiego imperium opartego na etosie rosyjskim (Rosja – jako „starszy brat” Słowian). My zaś w kraju, młodzi, milczeliśmy z lęku przed oskarżeniem zaprzędania się Sowieciom. Aczkolwiek, w chwili spontanicznej szczerości mówiłem: Wilno litewskie – tak! Wszak to historyczna stolica Litwy, ale bolesne to, iż dziś jest ono sowieckie, czyli rosyjskie.

Dopiero po śmierci Jerzego Giedroycia, możemy ocenić wagę jego argumentów. To dzięki niemu Polska wychodzi zwycięsko z tej, nie przeczę że bolesnej amputacji, jaką była utrata szczególnie Wilna, Grodna i Lwowa. Możemy tam powracać, ale tylko jako sprzymierzeńcy, a nie z pretensjami na panowanie, bo

dla Litwinów, Białorusinów czy Ukraińców prawdziwą groźbą unicestwienia wciąż jest Rosja, która nie może się rozstać ze swą imperialną, zaborczą mentalnością. Oni to dobrze rozumieją, natomiast w interesie imperialnej Rosji jest wzniecenie waśni polsko-litewsko-białoruskich czy ukraińskich.

Jerzy Giedroyc zarazem był wielkim przyjacielem demokratycznej Rosji. Brał udział w powstaniu paryskich „Kontinientów”, które miały spełniać podobną rolę, jaką spełniała wobec Polski jego „Kultura”. Urodzony w Mińsku litewskim, dziś stolicy Białorusi (niestety, dalej sowietyzowanej i rusyfikowanej przez Łukaszenkę), miał te szerokie horyzonty Polski Jagiellońskiej. W wieku dwudziestym ta jagiellońska tradycja mogła ucieleśnić się tylko w wizji Jerzego Giedroycia. To dzięki niemu mamy dziś odwagę pisać o Kresach jako o Ziemi Wielkiego Pogranicza, ziemi autonomicznej, już nie kresowej wobec Polski, a przecież dalej duchowo związanej z tradycją Zachodu, z ideałem demokracji, która jest dzieckiem cywilizacji zachodnioeuropejskiej.

Nie miałem szczęścia spotkać się z Jerzym Giedroyciem, chociaż mówiono mi, że ten niebywale pracowity człowiek znał również mój dorobek pisarza rodem spod Mińska. Żakiewiczze bowiem pochodzili z Mińszczyzny. W Radoszkowiczach pod Mińskiem był ochrzczony w 1882 roku mój ojciec, dziadowie gdzieś tam w pobliżu coś tam posiadali. Ten szczegół w jakiś, może trochę irracjonalny sposób, tłumaczy, dlaczego tak szybko i właściwie bez oporów mogłem przyjąć ów punkt widzenia, który stał się zwornikiem dalekowzroczonej polityki wschodniej samotnika z Maisons-Laffitte.

GDY WSPOMINAM JERZEGO GIEDROYCIA, jak żywa staje przed moimi oczyma ta pożegnalna podróż latem 1976. Bogusław Żyłko (dziś uczony, znany tłumacz rosyjskich semiotyków) zaprosił mnie do rodzinnych Żodziszek położonych na północ od Smorgoń, gdy dziadkowe Ponizie leżało na południe od tej „niedźwiedziej” miejsciny. Jako siedmiolatek Boguś wiosną 1952 roku, wraz z całą rodziną, trafił do Kazachstanu, pozostał w Żodziszkach bliski kuzyn ze strony matki o historycznym nazwisku Hromyko (był to stary bojar-ski ród, dawno spolszczony, ale właśnie z t y c h Hromyków wywodził się niejaki Gromyko – „mister niet”).

Feliks Żyłko, ojciec Bogusia, człowiek do późnej starości o niespożytej energii i jasności ducha był przed wojną najmłodszym w Polsce wójtem. Stanął na czele gminy żodziskiej, pięknie położonej w zakolu Wilii, w wieku 25 lat, i tak sprawował władzę od 1929 roku aż do wojny. Odznaczony został Srebrnym Krzyżem Zasługi, wówczas rzadko nadawanym. Okazało się, że przez parę lat wszystkie papierkowe sprawy gminy prowadził mój stryj Henryk Żakiewicz, sekretarz gminy. Pan Feliks pokazał mi zdjęcie mojego stryja, najmłodszego z trzech braci, mężczyznę urodziwego, ojca pięciorga dzieci, które wychowywała gospodyni. Zdjęcie to objechało pół świata, nie skruszyło się w stepach Kazachstanu, przechowywane przez rodzinę wójta, gdy głowa domu, jako „kułak”, trafił w 1951 roku do łagru, aby przez „kolektywną pracę” przejść należyta „edukację”. Z całą rodziną przyjechali oni do Polski w 1956 roku.

Hromyko posiadał w Żodziszkach wygodny drewniany dom z obórką, trochę ziemi. Oboje z żoną pracowali w zakładzie psychiatrycznym mieszczącym się w historycznym zespole budynków. Przed kasacją zakonu jezuitów znajdował się tu klasztor, w 1773 powstała jedna z niewielu w tych okolicach szkoła Komisji Edukacji Narodowej.

On – niebieskooki, wysoki, szczupły blondyn, melancholik z domieszką choleryka, w jakiś, już chyba intuicyjny sposób, świadom przeszłości tych ziem. Z tej genetycznej ciągłości wyrastał jego tolerancyjny, mrukliwy i nieco staroświecki konserwatyzm. Ona – niska szatynka o pyknicznej budowie, kobieta rodem gdzieś spod Smoleńska, a więc z wszystkimi kompleksami „wyższości i niższości” człowieka sowieckiego. Na tym tle dochodziło między nimi do scysji, oczywiście, ostatnie słowo miał mrukliwy Hromyko. Na co dzień nie tyle bronił on swojej racji, ile trwał w tym odwiecznym nieporuszeniu, jak narzutowy morenowy głaz ułożony tu przed wiekami. Żona mogła wygłaszać tyrady wielkoruskie w stylu: „Co tam Polsza, możemy zarzucić ją czapkami!”, Hromyko wybuchał dopiero wówczas, gdy kobieta usiłowała stawać się pilotem jego moskwicza, którym z Hromyką zjeździliśmy w ten sierpień wszystkie ostępy mojego, odległego o równe trzydzieści lat kresowego dzieciństwa, albo, gdy wtrącała się w historię tych ziem.

Moskwicza, rzecz wówczas rzadką, Hromyko otrzymał w zamian za jakiś zachodniej marki samochód, który sprezentował mu kuzyn ze zgnilego Zachodu. Tylko „aticzestwienną” maszyną mogli wówczas po swej sowieckiej ojczyźnie podróżować miejscowi kmiotkowie.

Hromyko zdążył odwiedzić Polskę w 1968 roku w kolumnie czołgów, która zdążyła ku Czechosłowacji. Dostali kieszonkowe w złotówkach i za to kupił wówczas nieznaną na Białorusi długopis. Zapytałem Hromykę czy strzelalby do Polaków (bo do Czechów, to tak), gdyby dostał taki rozkaz? Hromyko spojrział na mnie tym białoruskim, jasnym spojrzeniem i ponuro zamilczał...

Żodziszki, te z połowy lat siedemdziesiątych, dały mi pogładową lekcję, o stałej powolnej sowietyzacji i rusyfikacji Białorusi. W odróżnieniu od okolic Mołodeczna, czy Krewa, gdzie wsie były białoruskie a zaścianki i dwory polskie, tu zamieszkiwała ludność katolicka, przed wojną należąca do powiatu starowilejskiego. Od północnego zachodu, graniczyły one z powiatem święciańskim, ojcowizną Piłsudskiego, gdzie przewijali się również Litwini. Były to tereny niegdyś etnicznie litewskie („żodzis” – to po litewsku „słowo”), które w historycznym procesie, najpierw zbiałoruszczyły się, a potem, już katolickie, spolszczyły. Przed wojną okolice te uznawane jako czysto polskie i w tym też duchu młody wójt Feliks Żylko stoczył głośną na całą Polskę batalię z księdzem proboszczem Wincentym Godlewskim. Zanim pojawił się ksiądz Wincenty w parafii panowała zgoda, a w kościele jeden język, gdy nastal nowy proboszcz, zaczęły się głosowania, przepychanki w duchu odrodzenia białoruskości. Jak mi opowiadał pan Feliks, młody ksiądz dokumentnie skłócił parafię i gminę młodego wójta. I ten podał go do sądu. Obrońcą był słynny adwokat Libermann, stary działacz PPS-u. Żodziskiego proboszcza

skazano na więzienie, ale rychło wyszedł on na wolność i – jak dalej relacjonował pan Feliks, już w Nowym nad Wisłą, gdzie dożywał sędziwego wieku – wciąż utrzymywaliśmy dobre towarzyskie stosunki.

Teraz w domu Hromyki, krewnego żony Żylki, od rana, aż do zaśnięcia świecił się telewizor, nie było radia, tylko „kołchoźnik” podłączony do miejscowego (smorgońskiego?) radiowęzła, też nadający po rosyjsku. Jedyne prasa, to rejonowa gazetka poświęcona kolchozom. W domu, za sprawą żony, powoli zakorzeniał się język rosyjski.

Pierwszego dnia podejmowała nas rodzina sąsiadów. Gospodarz domu przeszedł front w wojsku Berlinga, powrócił do domu z myślą o repatriacji, ale pozostał. Na honorowym miejscu wisi jego zdjęcie w polskim mundurze, a obok fotki synów, już sałdatów Krasnej Armii. W odróżnieniu od polskiej „chustowej” tradycji chłopcy prowadzili albumy, wyraźnie pod nadzorem oficerów politycznych. Były tam zdjęcia kolegów i synów, gospodarza na tle Mauzoleum Lenina, rysunki rakiet, bo chłopcy należeli do formacji „rakietyczków”. Rozmowa toczyła się potocznie po polsku. Oczywiście była kanka, nie z mlekiem ale z samogonką, którą się piło w blaszanych kubkach. Gdy zacząłem odpadać w półfinale, kobiety zaczęły zawstydzają mnie, że co to „za męszczyzna” a potem „co za Polak?”. Śpiewało się: *O mój rozmarynie i Wojenko, wojenko*.

W sąsiednich Poniżanach podejmował nas gospodarz (pracujący w kotłowni Zakładu) zachował on stodołę, której nie pozwolił zburzyć, obórkę z krówką i świniakami, bezprawnie sadząc pod lasem ziemniaki i kosząc, też bezprawnie, siano na dawnej, własnej, a teraz kolchozowej ziemi. Mówił o Polsce (wszak dalej nie kolchozowej?) jako o Ziemi Obiecanej. A tu musi łapówkami spłacać swoją zakazaną gospodarność.

Kościół parafialny, jak i same Żodziszki, miał bogatą przeszłość. Za czasów Radziwiłłów mieścił się tu zbór kalwiński, dlatego – oszczędna, prosta bryła świątyni. W okresie kontrreformacji świątynię przejęli ojcowie jezuitów i w XVI wieku przebudowali w stylu barokowym, dodając wieżyczkę. Gdy w 1915 roku zatrzymał się front na pobliskiej Wilii, Niemcy zburzyli wieżę w obawie przed ostrzałem.

Świątynia ta, świadek wieków i lat, gdy ksiądz Godlewski głosił tu kazania po białorusku, w czasach sowieckiej władzy została skazana na zagładę. (Przy okazji, chciałbym jeszcze dorzucić parę słów o dalszych losach księdza Godlewskiego. – Dziś jest to postać historyczna: jeden z ojców odrodzenia narodowego Białorusinów. W czasie okupacji niemieckiej dał się namówić na udział w marionetkowym rządzie białoruskim z siedzibą w Mińsku. Okazał się jednak patriotą i ci sami Niemcy go rozstrzelali. Pisał o tym, wszystkowiedzący o tamtych czasach i miejscach, Józef Mackiewicz.) Otóż dawny zbór kalwiński, potem kościół ojców jezuitów pod wezwaniem św. Trójcy i trybuna białoruskiej działalności księdza Wincentego – został osaczony jak szlachetne zwierzę skazane na odstrzał. – Najpierw, naprzeciwko wejścia do kościoła postawiono słup z potężnym głośnikiem, skąd nadawano program z „kołchoźnika” i „patriotyczną” muzykę. Na początku lat 60-tych, gdy na całej Białorusi stawiano pomniki „czerwonym partyzantom”, wybrano akurat miejsce tuż przy kościele,

gdzie stała figura św. Nepomucena. Nowi władcy nie byli świadomi, że niemiecką placówkę w gmachu dawnego klasztoru zdobyli polscy partyzanci od „Kmicica”. Bezpośrednią relację otrzymałem od pana Stabrowskiego, uczestnika ataku. Polacy zdobyli wówczas sporo broni, co stało się bezpośrednią przyczyną do podstępnego (w ramach „przyjaźni”) zamordowania „Kmicica” i jego oficerów. Działo się to nad jeziorem Narocz.

Żeby stało się zadość jakiemuś diabolicznemu splątaniu dziejów, pomnik „czerwonych partyzantów” postawiony na miejsce świętego okazał się dziełem rzeźbiarza o nazwisku... Żakiewicz (ku swemu zdumieniu, na moskiewskim cmentarzu Wagańkowskim, w tej samej alejce, gdzie został pochowany Sergiusz Jesienin, odnalazłem grób niejakiego Żakiewiczza Michaiła Iwanowicza. 26 XI 1905 – 1 I 1940). Później powołując się na sowieckie prawo, które oddawało na władanie ludu cerkwie i kościoły, zerwano w kościele marmurową posadzkę, aby wyłożyć nią dom kultury oraz zabrano kościelne, stylowe ławy.

Gdy więc na Matkę Boską Zielną, 15 sierpnia 1976 roku, udaliśmy się na Mszę świętą, ujrzałem zapełniony w jednej trzeciej kościół przez stojących wiernych. Trochę zwykłych ław stało pod ścianami. Wierni – stare kobiety, mało mężczyzn, nikogo z młodzieży i ani jednego dzieciaka. Milczały organy, też zabrane. Zabrział dzwonek. I oto z zakrystii wysunął się pociągając nogami potężny, ze spadającymi na ramiona włosami starzec. Pod ramię podtrzymywał go kościelny i ministrant w jednej osobie.

Przez plecy przeszedł mi dreszcz świętej zgrozy. Wyglądało tak, jakby otworzyły się groby z czasów jagiellońskiej świetności i wyszły stamtąd truchła wielkich przodków, tych od Piotra Skargi, aby upomnieć się o prawo do życia. A ksiądz, zwał się Stefan Zapaśnik i miał wówczas ponad dziewięćdziesiąt lat, dosunął się do ołtarza i tam przy pomocy kościelnego poczał odprawiać Mszę świętą. Nie mógł już klękać, pochylał tylko głowę. Tuż przed udzieleniem Komunii świętej, odbyła się, początkowo niezrozumiała dla mnie scena. – Starsza kobieta, siedząca czujnie na ławie pod ścianą i kogoś wyraźnie zastaniając swym ciałem, zapaliła trzymaną świecę. Jakoś tak bokiem, ze świecą w rękę doszła do balasek. Wówczas dostrzegłem, że ukrywa ona dziecko, chłopczyka, zapewne swego wnuka. Była to jego Pierwsza Komunia Święta... Za „propagandę religijną”, która miała „deprawować” dzieci, odpowiadali rodzice w pracy, nauczyciele w szkole. Dlatego w kościele nie widziało się wówczas dzieci.

Parę lat później ksiądz Zapaśnik zmarł. Mówiła o nim „Wolna Europa”, jako o najstarszym kapłanie tych ziem. W pół sparaliżowany starzec trwał w swej świątyni, gdyż z chwilą śmierci proboszcza zamykano kościół. Dziś leży na tym dziwnym, parafialnym cmentarzu, opatrzony szarym wysokim kamieniem, ziarnem tych morenowych, polodowcowych krain.

I sam cmentarz wydał mi się wówczas równie pełen sprzeczności i niespodzianek, jak cała nadwilejska ziemia. Z reguły, już powojenne nagrobki, miały napisy polskie, dziwacznie brzmiące: „Tu spoczywają zwłoki Śp. Piotra Sz. 1867, Zmarł 1944 VI – 5.” „Jadwiga 1867. Zmarła 1952 III 3. Boże zbaw ich duszy. Pamiąc od syna Władysława”. Albo: „Tu spoczywa Malwina I. Zm. wieku 77

lat, 30 XII 1972. Pokuj jej duszy. Pamiac od siostry Juzefy”, to znów: „Tu spoczywają zwłoki K. Weronika, K. Józefa. Zmarli 1962 VII 26. Siostry Panny. Boże zbaw ich dusze” (czyżby noworodki bliźniaczki?). Na innym nagrobku napis po polsku „Śp.”, ale nazwisko pisane po rosyjsku. Spoczywał tam mężczyzna o imieniu „Władimir” i może dlatego na jego grobie stała pusta butelka po wódce „Starorusskiej” i czysta szklanka. Echo białoruskich dziadów?

A w środku środku cmentarza wznosił się ciosany w kamieniu obelisk trzymetrowej wysokości, z orłem w koronie, krzyżem pod orłem i podpisem: „Ś.p. Żołnierzy Polskich Poległych w r. 1920. Cześć ich pamięci”.

Pomnik ten – dzieło Feliksa Żylki, najmłodszego wójta w niepodległej Polsce. Zebrał on z okolicznych pól bitewnych szczątki ośmiu żołnierzy, aby pochować ich w poświęconej ziemi. Kamień ciągnięto zimą na ogromnych saniach zaprzężonych w wiele koni. Pan Feliks, ostatni polski wójt Żodziszek, został pochowany nie nad Wilią, ale w Nowym nad Wisłą w 1996 roku, w wieku 92 lat.

Zbigniew Żakiewicz

RECENZJE

Krzysztof Myszkowski

O!

„To”, czyli zaimek wskazujący lub określający albo spójnik sygnuje piętnasty tomik wierszy Miłosza, który ukazał się po sześciu latach od wydanego w 1994 zbioru pt. *Na brzegu rzeki*. Co znaczy ten dziwny, gramatyczny tytuł? „To” może wprowadzać wyjaśnienie lub stwierdzenie niejasnego lub fałszywie interpretowanego zjawiska, sprostowanie lub odpowiedź na pytanie o podmiot, może wprowadzać zdanie współrzędne lub współrzędny składnik zdania rozwiniętego, wskazując na odcień szybkiego następstwa i zmienności sytuacji, może wyróżniać lub wzmacniać wyrazy, którym towarzyszy, itd.

Zatrzasnęły się za nim wrota gramatyki.
Teraz szukajcie go w gajach i puszczech słownika.

Na śmierć poety

Czytanie Miłosza jest jak podróż, jak wielka, długa podróż w czasie i przestrzeni, a także jakby poza czasem i przestrzenią – w kosmicznej otchłani, w „wirującym leju przeznaczenia”:

Jesteś ze mną w literze-kryształe zamknięta.

Jezioro

Wiele jest u Miłosza takich mocnych i tajemniczych linii. Poeta pyta o „sedno i sens własnej osoby” (*Po podróży*). Po długiej podróży wraca – na jawie, czy we śnie? – do miasta nad rzeką i wypowiada te zadziwiające, wstrząsające słowa:

Pola twoje, ugorne,
Wieże miast, niepodobne.
Ty na progę stoisz, zaniemiały.

Zapomnij

Cień, wchodzący między cienie, z każdym dniem coraz głębiej; „cielesny i dlatego niezdolny zrozumieć, jak życie może zamienić się w śmierć”; niejasy dla samego siebie, „jakby nie tyle działał, ile był działany przez posługujące się nim siły”. Podróżny świata, zafascynowany widzialnym pięknem, głoszący ekstatyczną pochwałę istnienia, tancerz przed Majestatem:

Śpiewać i tańczyć przed obliczem Pana!
Po prostu dlatego, że skarga nie przyda się na nic

Przykład

W sposób mistrzowski kształtuje styl i formę swoich utworów, mówiąc tylko to, co chce i może powiedzieć:

Falsz uczuć odgaduje się po falszu frazy.

Zanadto cenię styl, żeby ryzykować.

Przepis

Kompozycja i *Podróż*, tytuły debiutanckich wierszy Miłosza, ogłoszonych w 1930 roku w „Alma Mater Vilnensis”, to ważne słowa-hasła w jego twórczości. Mówi, że pisanie było dla niego ochronną strategią, zacieraniem śladów, ćwiczeniami wysokiego stylu. Nazywa siebie sługą i posłańcem, wędrowcem „wyłączonym z ojców obyczaju”, człowiekiem ze skazą, nie tym, za kogo go brali, kimś n i e s t ą d, mistrzem pokonanej rozpacz. Mówi o niemożności wypowiedzenia tego, co w nim siedzi, a rezygnację i upór uznaje za dwie największe cnoty. W wierszu pt. *Sztukmistrz* mówi, żeby ci, którzy ciągnąc dalej mają jego dzieło, zaczynali tam, gdzie on skończył. To wezwanie przypomina rezygnację i upór Becketta.

W otwierającym tomik bardzo osobistym wierszu, wyznaje:

Żeby wreszcie powiedzieć mógł, co siedzi we mnie.
Wykrzyknąć: ludzie, okłamywałem was
Mówiąc, że tego we mnie nie ma,
Kiedy TO jest tam ciągle, we dnie i w nocy.

Chociaż właśnie dzięki temu
Umiałem opisywać łatwopalne miasta,
Wasze krótkie miłości i zabawy rozpadające się w próchno,
Kolczyki, lustra, zsuwające się ramiączko,
Sceny w sypialniach i na pobjowiskach.

/.../ pod spodem było TO, czego nie podejmuję się nazwać,
/.../ TO oznacza natknięcie się na kamienny mur,
i zrozumienie, że ten mur nie ustąpi żadnym naszym błaganiom.

To

Jak mówić o czymś, czego nie można nazwać? Miłosz mówi o tym za pomocą mocnych sprzeczności: ciało (zmysłowość, erotyzm) – dusza (kontemplacja), życie – śmierć („życie, którego warunkiem jest śmierć”), Bóg – diabeł, doskonałe szczęście – czarna rozpacz, upajające piękno – truchło (próchno), jawa – sen, dobro – zło, jasność (światło) – ciemność, mówienie – milczenie (cisza). Sprzeczności łagodzi heraklitejska zaduma: „Nic nie trwa, ale trwa wszystko: ogromna stałość.” (*Do leszczyny*). W utworze pt. *Obudzony* Miłosz wyznaje: „Spokój, który czułem, był spokojem zamknięcia rachunków i łączył się z myślą o śmierci. Szczęście po tej stronie było niby zapowiedź tego samego po

drugiej stronie. Zdawałem sobie sprawę, że otrzymuję dar nieoczekiwany i nie mogłem pojąć, dlaczego spadła na mnie ta łaska." To niesamowite, iluminiczne przeżycie koresponduje z pięknym wierszem Wisławy Szymborskiej pt. *Pierwsza miłość*, drukowanym w niniejszym numerze „Kwartalnika”. Jak trudno w poezji i w ogóle w literaturze pójść dalej po tym, co zostało powiedziane w tych iluminicznych utworach.

„Zamiast wieczności, zieleń i ruch obłoków”, mówi Miłosz. To nie było tak. To nie było to. TO jest. Pod spodem. We mnie. TO. Jest. To jasne.

Upajające piękno, zachwyty, radość, szczęście. Miłosz, mroczny i skryty, obrażający w piersiach swoją ciemną gwiazdę, jest od początku zafascynowany światłem, które wiernie opisuje w wierszach. Jak odnosi się do niego fraza z *Księgi Izajasza*: „Po udrękach swej duszy ujrzy światło i nim się nasyci.” Oto kilka świetlistych fragmentów z *To*:

(dolina), „w której echu pieśni wtórzy wieczorne światło”

(gałęzie leszczyny) „proste i śmigłe w biegnięciu do słońca”

„Obłoki ułożone warstwami na skrawku nieba między jasnością brzóz.
Żółte i rdzawe winnice pod wieczór.”

„Miasto było ukochane i szczęśliwe,
Zawsze w czerwonych piwoniach i późnych bzach,
Pnące się barakowymi wieżami ku niebu.
/.../ (Na murach ostre granice słońca i cienia).”

„Między gotyckimi wieżami loty jaskółek”

„Szmer przezroczystej wody na kamieniach
w jarze pośrodku wysokiego lasu.
Jaśniej w słońcu paprocie na brzegu,
piętrzy się nieogarniona forma liści”

(jezioro) „Igraj w południe z odbitym obłokiem”

„O, spokój wody pod skałami i żółta cisza popołudnia, i odbite poziome obłoki!”

„Jasności promieniste,
Niebiańskie rosy czyste”

„Uniesiony nad ziemię, napojony światłem,
Nie ustaję w napowietrznym biegu.”

Światło jako łaska i dar, jak poezja, która:

Wędruje światem
Wiecznie jasna

O poezji, z powodu telefonów po śmierci Herberta

Proszę to sobie wyobrazić. Każda linia daje bardzo wyraźny i świetlisty obraz. Winy prawdziwe i urojone. Układanie wierszy. Trud na Twoją chwałę. Twoje cierpienie. Ocalenie.

I obłoki. Jak zawsze w tamtych stronach,
dużo obłoków.

Nad Wilią, 1999

Po

Krzysztof Myszkowski

Czesław Miłosz, *Ta*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2000.

Mirostław Dzień

W stronę przerażenia

*Żeby wreszcie powiedzieć mógł, co siedzi we mnie.
Wykrzyknąć: ludzie, okłamywałem was
Mówiąc, że tego we mnie nie ma,
Kiedy TO jest tam ciągle, we dnie i w nocy.*

1. Dokąd dochodzi ten, który zachwyca się światem, a robi to wytrwale i bez taryfy ulgowej, nosząc w sobie heraklitejską pewność o niepowtarzalności chwil i zmiennym cyklu sezonów? Do przerażenia. Tam jest jego dom i cokolwiek można powiedzieć przeciw temu stwierdzeniu, okazać się musi zmyśleniem. Oto aporia, która łamie nasze myśli i nie pozwala rozwinąć sztandaru uzasadnienia, bo argumenty przeczące przerażeniu zawsze będą argumentami fałszującymi ludzką egzystencję. Nowy – znakomity dodajmy od razu – tom wierszy Czesława Miłosza przynosi to wszystko, co w późnej, nazwijmy ją dobitnie – mądrościowej fazie twórczości, zapoczątkowanej zbiorem *Dalsze okolice* (1991), stanowi jej swoiste wyróżniki. Myślę nade wszystko o skoncentrowaniu się Autora *Ziemi Ulro* na zagadnieniach eschatologicznych, ze szczególnym uwzględnieniem koncepcji czyśca.

Przypomnijmy, że obok sięgającej do tradycji Kościoła Wschodniego idei apokatastazy, to znaczy ostatecznego odnowienia rzeczywistości przy końcu czasów, wątek czyśca wyraźnie obecny był w tomie *Na brzegu rzeki* (1994), gdzie poeta pisał:

[...]
 Rozpadamy się w zgniliznę, proch, mikronawozy,
 Ale zostaje ten szyfr czyli esencja,
 I czeka, aż nareszcie obleka się w ciało.
 Jak również, skoro ta nowa cielesność
 Powinna być obmyta ze zła i choroby,
 Idea Czyśca ma udział w równaniu.
 Nie co innego wierni w wiejskim kościele
 Chóralnie powtarzają, prosząc o żywot wieczny.
 I ja z nimi. Nie rozumiejący
 Kim będę, kiedy zbudzę się po odcierpieniu.

Po odcierpieniu

W utworze *Jeżeli*, Miłosz mówi o pragnieniu oczyszczenia się z „fantomów umysłu”, a więc z tego wszystkiego, co w końcu jest sztucznym nalotem każdego ludzkiego życia. To właśnie w siatce umysłu ukształtowanego i wciąż podsycanego nowymi ideami, jak w kantyźmie tonie prawdziwa egzystencja, już nie do rozpoznania inaczej, jak przez pryzmat własnych, a jeszcze częściej cudzych, o niej sądach. Wydaje się bowiem, że defekt egzystencji poddanej we władzę rozumu stoi u podstaw nieporozumień w sferze emocji. Stąd „męki zazdrości” i „drzazgi egzaltacji” (*Jeżeli*). Poeta widzi, że czystość, ta duchowa, jedynie warta jest zabiegów, i – co może zabrzmieć paradoksalnie – właśnie rozum, rozum nie poddany zmieszaniu i demonowi wątpienia, a także „ukąszeniu heglowskiemu”, dobrze znanemu ze *Zniewolonego umysłu*, „jest wielkim boskim darem i że należy wierzyć w jego zdolność poznawania świata” (*Czego nauczyłem się od Jeanne Hersch?*). A więc Miłosz jeszcze raz potwierdza swoje przywiązanie do realizmu epistemologicznego i klasycznej koncepcji prawdy mających w filozofii swoje źródła w koncepcjach Arystotelesa i św. Tomasza z Akwinu: „istnieje prawda obiektywna, czyli z dwóch sprzecznych twierdzeń jedno jest prawdziwe, drugie fałszywe [...]” Także realizm oparty na zdroworozsądkowych podstawach poznawczych, pozwala poccie chłonąć wszystkimi zmysłami piękno otaczającego go świata.

2. Żeby pokazać współzależność i kontynuację myśli poety w stosunku do jego poprzednich tomów, spróbujmy przyrzeć się zagadnieniom ludzkiego ciała, cierpienia i śmierci. Pamiętamy doskonale wiersz *Ciało* z tomu *Na brzegu rzeki*, gdzie Miłosz przypomniał:

Kondycja ludzka to nie tylko ból.
 Ale ból ma wielką moc nad nami.
 Mądrości przy nim upadają,
 Gwiazdziste nieba gasną.
 [...]

Poeta nie może zrozumieć „jak życie może zamienić się w śmierć” (*Nie rozumie*). Na przeszkodzie „zrozumienia” stoi ciało, jak ościć. Bo w ciele doznajemy piękna tego świata, zwłaszcza przyrody (*Do leszczyny, Jezioro, Bieg*). Miłosz ujawnia alternatywę podyktowaną mu przez demiurga:

[...]

Wydaje mi się, że słyszę głos demiurga:

„Albo nieme skały jak w pierwszym dniu stworzenia,
albo życie, którego warunkiem śmierć,
i to upajające ciebie piękno”.

Nad strumieniem

O czym ona mówi? O cenie, jaką trzeba zapłacić za życie i jego piękno. A zatem w logikę piękna wpisana jest logika śmierci. Ta ostatnia staje się warunkiem *sine qua non* bujności życia we wszystkich jego odsłonach. Anihilacja śmierci dać nam może jedynie „nieme skały”, a więc rzeczywistość bez wyrazu, świat u początku, jeszcze w genezyjskim stadium pierwszego dnia stworzenia. Doświadczenie wielości przejawów życia idzie w parze z przekonaniem o tymczasowości pobytu poety na ziemi. On „nie jest stąd”, a skoro tak, to intensywność doświadczanych „barw, smaków, dźwięków, zapachów” (*Gdziekolwiek*) wzmacnia jeszcze bardziej jego misję. Ma być bowiem tym, który doświadcza, a doświadczając „zanosi tam, skąd przybył”, to znaczy unieśmiertelnia zjawiskowość czyniąc tę ostatnią wartą wiecznego trwania. W ten oto sposób – rzecz można – duch nabrawszy w ciało to, co z materii pochodzi, samą materię przenosi w całkiem już inną, bo duchową sferę. „Nie jestem stąd” znaczy również i to, że będąc „tam” zobowiązując się do ochrony doczesnego wymiaru tej „tu” rzeczywistości, czyniąc z niej wartość samą w sobie, niewartą utraty.

Jeśli Miłosz odkrywa w swojej późnej twórczości jeszcze jeden dar, to jest nim z pewnością „dar starości”, doświadczenie jedyne i niepowtarzalne, o którym poeta pisał w tytułowym wierszu *Dalszych okolic*:

Chciałbyś usłyszeć, jak to jest w starości?

Pewnie, że o tym kraju niewiele wiadomo

Aż trafimy tam sami, bez prawa powrotu

To, co gorzkie w starości nie uniemożliwia przecież zachwyty, jest on nawet wyrazistszy, bo doświadczany przez pryzmat ułomności, gasnącego ciała. Ale właśnie „ekstatyczne obcowanie” (*Uczciwe opisanie samego siebie...*) towarzyszy pocie przez całe życie. „Niebo”, o którym pisze poeta domaga się („musi tam być”) widzialności rzeczy, a nie doświadczania czystych jakości. Innymi słowy, zaświaty postulowane (upragnione) przez Miłosza – tak jak u Herberta chroniące się przed „przeraźliwie przeźroczywą doskonałością” z wiersza *Żeby tylko nie anioł* (*Studium przedmiotu*, 1961) – nie mogą zostać pozbawione materialności. A dzieje się tak po to, by „apetyt” na

cielesność widzialnej rzeczywistości, co nie musi być rozumiane w kategoriach etycznej pożądlności, wreszcie do końca poznawczo zaspokoić. Dlatego w utworze *Uczciwe opisanie samego siebie nad szklanką whisky na lotnisku, dajmy na to w Minneapolis* poeta powie:

[...]

Zmieniony w samo patrzeć, będę dalej pochłaniał proporcje
ludzkiego ciała, kolor irysów, paryską ulicę w czerwcu o świcie,
całą niepojętą, niepojętą mnogość widzialnych rzeczy.

A gdzie indziej wyraża nadzieję:

[...]

Schodzimy tedy w ziemię, parafianie.
Z nadzieją, że trąby Sądu wywołają nas po imieniu.
Zamiast wieczności, zieleni i ruch obłoków,
Wstaje tysiąc za tysiącem Zoś, Katarzyn, Bartłomiejów,
Maryś, Agat, Bronisławów,
Żeby wreszcie wiedzieli,
Dlaczego to było i po co.

W parafii

3. *Unde malum*, to ważny wiersz najnowszego tomu poety, gdyż wpisuje się on w dyskusję na temat pochodzenia zła. Czy zło swoją genezę ma w człowieku, czy też poza nim? Już tak jest, że na proste pytania trudno znaleźć równie łatwe odpowiedzi. Nie tylko Różewicz i Miłosz podejmowali ten temat, czynił to również w swojej poetyckiej twórczości Zbigniew Herbert. Ten ostatni jest bowiem Autorem wiersza *Pica, pica L.* z tomu *Epilog burzy* (1998), gdzie dyskutuje na temat okrucieństwa przyrody z ks. Janem Twardowskim. Autor *Pana Cogito* mówi o sroce, mówiąc zarazem o świecie nie-ludzkim: „niech nas nie zwodzi/czystość kolorów/soczyste listowie nieba/niepokalana biel śniegu//tylko jej śpiew/śpiew grzechotnika/odsłania jej/prawdziwy charakter/morderczyni niemowląt”. Herbert nie ma złudzeń, co do odium zła, jakim obarczona jest natura zwierząt. Nie należy doszukiwać się w niej dobrotliwej twarzy, ale złowrogiego oblicza, dlatego Miłosz ironicznie może powiedzieć:

Niestety panie Tadeuszu
dobra natura i zły człowiek
to romantyczny wynalazek

W ten sposób staje po stronie Herberta wiedząc, że „optymizm” w tej kwestii trudno utrzymać. Nie powinniśmy się ludzić, że tylko w nas zło, dodajmy to metafizyczne, znalazło sobie przystań. Istnieje ono realnie również w innych stworzeniach pod postacią ślepego okrucieństwa.

[...]
 krew rozszarpanego przez wilki jelenia
 nie będzie przez nikogo widziana
 jastrząb będzie spadać na zającą
 bez świadków

A zatem również ironicznie potraktować możemy następujące zdanie: „zniknie ze świata zło/kiedy zniknie świadomość” (*Unde malum*).

4. U Miłosza zawsze bardzo mocne było przekonanie o poetyckim powołaniu, które przychodzi do niego „zewnątrz”, a on sam czuje się wręcz ubezwłasnowolniony przez duchowe siły poruszające się w lotnych przestrzeniach lub przez tajemniczego *dajmoniona* o sokratejskim rodowodzie. Stąd mocno komunikuje bardziej bycie w czyichś rękach niż samowolne władanie swoim życiem:

[...]
 – Niektórym wydaje się,
 że to oni sami postanawiają, spełniają.
 Ten przynajmniej wie,
 że był igraszką sił
 chichoczących, nurkujących w powietrzu,
 i tylko dziwi się,
 że tak mu wypadło.

Głowa

Dlatego nie może nas dziwić, że Autor *Trzech zim* ustawiając samego siebie po stronie „trwania” a przeciw „biografii”, zarazem dopomina się respektowania tajemnicy. Ta ostatnia bowiem włada prawdą ludzkiego życia i jako taka nie znosi zmyślenia, gdyż to ono za wszelką cenę pragnie wprowadzić ład i porządek wszędzie tam, gdzie jedynie jest „droga niebyła” (*Do leszczyzny*). Bliskim tajemnicy jest również pytanie poety o „sedno i sens własnej osoby” (*Po podróży*). Pytaniem tym Miłosz wpisuje się w główny nurt myśli filozoficznej, mającej swoje źródło w hellenizmie i w zdziwieniu, które stanowi jeden z filarów europejskiej racjonalności – „Ocalony, bo z nim wieczne i boskie zdziwienie” (*Na moje 88 urodziny*).

Tym niemniej, kiedy poeta powiada o sobie dawnym, już minionym, jako o „istocie irracjonalnej i absurdalnej”, mamy w pamięci, tak charakterystyczny przecież dla XX wiecznej umysłowości, nurt egzystencjalistyczny. Pamiętać należy o dziesięcioletnim pobycie poety we Francji, i to w okresie aktywnej działalności takich pisarzy-filozofów, jak Sartre i Camus.

Możemy się pytać skąd u poety tak wielka witalność i nieodparta pochwała rzeczywistości, skoro w utworze *Przeciwieństwo*, świat przeciwstawiony zostaje ludziom i bogom? Miłosz jest sensualistą absolutnym, to znaczy takim, który nie rezygnując z rozumu, daje się urzec, oczarować irysowi, wykrzykując pod jego adresem znamienne „o!”. Świat u Miłosza w przeciwieństwie do bogów i ludzi uwikłanych w ruch, w zmianę, a więc w jakiś sposób niedokończonych, trwa.

[...]

Ludzie i bogowie są w ciągłym ruchu winy i przebaczenia

[...]

Są słabi, zmienni, oczekujący jedni od drugich pomocy.

[...]

Zarazem śmiertelni i nieśmiertelni, mieszkający we własnej krainie
wysoko nad światem.*Przeciwieństwo*

Świat narzuca się poecie z całą swoją oczywistością, i nie pozwala mu na sylogizm. Irys jest, i to w zupełności wystarcza do zachwyty, więcej – do doświadczenia szczęścia. Jeszcze nie było żadnych artefaktów i abstrakcji („królestw”, „sukni” i „krajów”), nie było jeszcze żadnej sztuczności, która zawsze stać musi niżej tego, co naturalne; nie było nawet Eli, a więc człowieka, a irys już trwał. Jego zatem genetyczna pierwotność, jego suwerenność i niezależność bytowa urzeka poetę całkowicie i bezapelacyjnie. Dlatego nawet nie można, nie należy opisywać irysa:

[...]

O, jaki belkot żeby opisać irys,
który kwitł, kiedy nie było żadnej Eli
i żadnych naszych królestw
i żadnych krajów.

5. Dlaczego Bóg nie może uleczyć tego, który modli się do Niego?

Oto ja modłę się do Ciebie, ponieważ nie modlić się nie umiem.

Bo moje serce Ciebie pożąda, choć wiem, że nie ulecysz mnie.

I tak ma być, żeby ci, którzy cierpią, dalej cierpieli, wysławiając Twoje imię.

Alkoholik wstępuje w bramę niebios

Oto jedna z tajemnic przekonania, jakie nosi w sobie poeta. Czy cierpienie, jakiego doświadczają w doczesnym świecie śmiertelni, tak dalece ich determinuje i kaleczy, że nie są oni w stanie wznieść się ponad nie w pokornym pokłonie przed Tajemnicą tajemnic? Wydaje mi się, że mamy tutaj do czynienia z interesującym przesunięciem akcentów i ukrytą polemiką z Różewiczem i jego słynnym wierszem *Ocalony*, gdzie formułuje sąd (pewny i nie pozostawiający marginesu na wątpliwość) o porąbanych, którzy „nie zostaną zbawieni”. Owszem – zauważa Miłosz – cierpiący nadal będą cierpieli, ale ten fakt pozostaje już poza logiką uzasadnienia na drodze racjonalnej, dlatego poeta powie „i tak ma być”. W ten sposób pozostawia Bogu sposób ostatecznego rozwiązania i staje po stronie tych, którzy „wysławiają Jego imię”. Zatem o ile Różewicz wydaje sąd z zuchwałością trudną do naśladowania, o tyle Miłosz wydaje się godzić na trudną, bo przekraczającą przyrodzone zdolności, logikę boskiego rozumu. I znowu Autor *Miasta bez imienia* blisko jest Herberta, który w *Modlitwie starców* (*Elegia na odejście*, 1990) z drzeniem i unізieniem pyta:

„czy wtedy/przygarniesz nas z powrotem/bo będzie to powrót jak do kolan dzieciństwa/do drzewa wielkiego do ciemnego pokoju/do rozmowy przetrwanej do płaczu bez żalu”. Mamy oto symboliczny obraz ponad 50 letniej dyskusji we współczesnej poezji na tematy eschatologiczne.

6. W stronę przerażenia idzie każdy, kto przekonał się o rozpacz, jaka w nim żyje. Poeta określi samego siebie, jako „mistrza pokonanej rozpacz” (*Sztukmistrz*). Rozpacz nie sposób się pozbyć, ale można ją uspić i nosić jak genetyczną wadę, skazę na ciele: „żyć nauczyłem się z moją rozpaczą” (*Przeciwko poezji Filipa Larkina*). Można i trzeba nad sobą płakać, ale to jedyne co można uczynić, taki jest bowiem los „chwiejnych, słabych i niepewnych” (*To jasne*).

A zatem Miłosz osiągnąwszy wiek biblijnych starców zostawia nas u progu trzeciego tysiąclecia po narodzinach w ciele Bożego Syna z formułą być może niezbyt optymistyczną, ale za to do bólu szczerą:

Wznieść się dwa centymetry nad swoją głową
I móc powiedzieć komuś, kto rozpacza:
„Ja też tak samo płakałem nad sobą”.

To jasne

Miroslaw Dzień

Czesław Miłosz, *To*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2000.

Krzysztof Myszkowski

W dolinie, w świetle

Dolina Issy to w prozatorskim paśmie twórczości Miłosza powieść osobna, będąca punktem zwrotnym w jego pisarskim rozwoju. Wśród emigracyjnych swarów, po dwóch głośniejszych książkach, które wyrobiły mu pozycję pisarza politycznego, zaczyna pisać dziwny, trudny do sklasyfikowania utwór: baśń? powieść symboliczną? powieść o wtajemniczeniu? traktat teologiczny? idyllę? autobiografię? Wic, że pisarstwo polityczne to ślepa ulica i że musi zrzucić z siebie tę skórę. Chce odnaleźć łączność z prawdziwym sobą. Potrzebne jest zakłęcie, egzorcyzm, żeby „demony abstrakcji” wyszły z niego. Demony, czyli różnego rodzaju Panowania, ciasnym kręgiem otaczają poetę. Stefan Napierski napisał, że twórczość Miłosza przypomina „egzorcyzmy dokonywane nad samym sobą”.

Dolina Issy jest odejściem od polityki i ideologii i powrotem do kraju lat dziecińczych, do dworu w Szetejniach-Giniu, do położonego w samym środku Litwy błogosławionego ustronia, którego osobliwością jest większa niż gdzie indziej ilość diabłów. Leśne pagórki i zielone łąki – „uwewnętrzzniona zewnętrzna przestrzeń”. Nad Niewiażą-Issą, rzeką baśniową i rzeczywistą (znałem Issę na Nowogródzczyźnie, na zachód od Baranowicz). W pięknej doli-

nie – rajskim ogrodzie Tomasza. Miłosz mówi, że *Dolina Issy* nie jest książką o dzieciństwie i nie jest książką autobiograficzną; jest w niej ukazany problem zła w świecie, odkrywany przez chłopca, który poznaje tragiczną podszewę życia. Świat przedstawiony *Doliny* charakteryzują: swoboda snucia baśni, symboliczna struktura, ukryty szyfr, teologiczne rozważania, doznania mistyczne, manichejskie trucizny, zmyślenie i prawda; i jest w nim gwiazda, która prowadzi wędrowca-pielgrzymia. Nie wiem, czy Mickiewicz jest patronem *Issy*, ale jej geneza wydaje się podobna do genezy *Pana Tadeusza*. Litwa – Muza. „Mistrz nogami tylko chodzi po ziemi, a żyje i pracuje w świecie duchów, tam jest ciągle; jego wszelka robota tam się odbywa i rozstrzyga.” Litwa – kraj realny i mityczny. Litwa – Ojczyzna.

W tym rajskim ogrodzie Tomasz doświadcza poczucia winy i zła obecnego w naturze i w naturze ludzkiej, świadomości innych oczu, które patrzą i osądzają; doświadcza walki sprzeczności, dwóch głównych mocy ścierających się w człowieku: niewinności i grzechu. Z metafizycznej perspektywy ta „staroświecka baśń” staje się bardzo aktualna, bo dopóty trwa świat, ważne będą: ból i cierpienie, umieranie, śmierć i zbawienie duszy, miłość i nadzieja. Miłosz w *Dolinie Issy* gra o wysoką stawkę: ileż jest w niej pięknych i mocnych zdań i ile światła. Osłabiony kryzysem wewnętrznym, nie mogący pisać wierszy, na przekór światu wystukiwał *Issę*; wyrzucał z siebie demony. Odblokowała się w nim poezja. To jeszcze jeden realistyczny wymiar tej powieści. W *Przypisie po latach* Miłosz napisał: „Dzieciństwo triumfuje, taką przynajmniej mamy nadzieję, nad okrutnym dziełem dorosłych, czyli historią, bo oczy dziecka chłoną świat w każdym upajającym szczególe. Napisałem *Dolinę Issy* dla siebie, zapominając o wydawcach i prawdopodobieństwie jej wydania, traktując ją jako zabieg samoleczniczy, pozwalający mi odzyskać wrażliwość na dane pięciu zmysłów.” Misterną mozaiką jest *Dolina Issy* zrobiona z ciemności i światła, ze zbawienną przewagą światła.

Krzysztof Myszkowski

Jacek Gutorow

Wieszcz w kapciach

Na tylnej okładce mamy rysunek, na którym Tadeusz Różewicz upozowany jest na klasyka: w fotelu, z gęsim piórem w ręce, przed nim kalamarz... Różewicz wieszczem? Że niby – „wielkim poetą jest”? W kapciach (bo na stopach kaptcie)? No tak, owszem, książka zatytułowana jest *Uśmiechy*, do tego reprodukcja zabawnego obrazu Petera Bruegla, no tak. Ale – wieszcz?

Książka niepoważna? Ależ to właśnie „wielki poeta” (wyrażenie to Różewicz prawie zawsze bierze w cudzysłów) może pozwolić sobie na książkę niepoważną! „Wielki poeta” nie potknie się na takiej książce, co więcej, tylko on taką książkę potrafi napisać, nie wpadając przy tym w pułapkę nieświadomej autoparodii. Książkę zabawną, ale nie ordynarną; parodystyczną, ale inteligentnie; niepoważną, ale zarazem trącąca w powagę. Albowiem zakpić z powagi może jedynie ktoś, kto wcześniej ćwiczył się w powadze – a chyba nikt nie ma wątpliwości, że tak właśnie było z Tadeuszem Różewiczem. Trudno wyobrazić sobie większy dysonans niż ten wynikający z książek *Niepokój* (1947) i *Uśmiechy* (wydanie pierwsze – 1955). Z jednej strony zapis koszmarny, poezja rozpadająca się pod ciśnieniem cierpienia; z drugiej zaś – ironia, pastisz, kpina, parodia. Jak to możliwe? A jednak... Gdyby Różewicz nie napisał wcześniej wierszy „wojennych”, *Uśmiechy* pozostałyby tylko zgrywą, pustym szyderstwem. A przecież tym wszystkim – nie są. Książka niepoważna? Ależ to właśnie autor *Płaskorzeźby* nauczył nas, że „poezja zrozumiała/staje się w końcu/niezrozumiała” (to z wiersza *Woda w garnuszkach, Niagara i autoironia*). Powadze i patosowi grozi przerodzenie się w śmieszność. Z kolei żart może być palimpsestem skrywającym powagę.

Idea tomu *Uśmiechy* ma w sobie coś gombrowiczowskiego z ducha. Wydaje mi się, że niezwykle ciekawe rezultaty mogłoby przynieść studium porównawcze, w którym ewentualny krytyk dokonałby konfrontacji pisarstwa obu autorów. Być może tekstem kluczowym byłby szkic Gombrowicza *Przeciw poetom*, napisany w 1947 roku, a więc w roku publikacji *Niepokoju*. Ta data nie jest przypadkowa. Zarówno Gombrowicz, jak Różewicz uznali, że po kataklizmie wojennym poezja jest po prostu niemożliwa. Ich krytyka była znacznie bardziej radykalna niż na przykład krytyka, jaką Czesław Miłosz przeprowadził w *Ocaleniu*. Jak wiadomo, w wierszach pisanych w latach czterdziestych Miłosz odrzucił symbolizm i dziewiętnastowieczne koncepcje poezji; bronił jednak poezji jako wyrazu rzeczywistości. Na tym tle ataki Gombrowicza i Różewicza jawią się jako bezpardonowe i skrajne. U Różewicza rozczarowanie poezją – ale czy tylko poezją? – znalazło swój wyraz w wielu utworach i na wielu poziomach wypowiedzi. Chodzi przecież nie tylko o okrutną lirykę *Niepokoju*. Chodzi o *Kartotekę*, o opowiadania, o komentarze odautorskie, wspomnienia z podróży...

Gombrowicz pisał: „... nadmiar poezji, nadmiar poetycznych słów, nadmiar metafor, nadmiar sublimacji, nadmiar, wreszcie, kondensacji i oczyszczenia ze

wszelkiego elementu antypoetyckiego, co upodabnia wiersze do chemicznego produktu." Cała poezja Tadeusza Różewicza jest gorącym sprzeciwem wobec tych nadmiarów. Szczególnie interesującym przejawem tego sprzeciwu są właśnie *Uśmiechy* – te wiersze też są oskarżeniem, ale w tonacji buffo. Różewicz nie krzyczy, lecz – kpi, podśmiewuje się, ironizuje. Szczególnie wyraziście widać to w wierszach parodiujących polską lirykę romantyczną. To zresztą jeden z najbardziej zabawnych i efektownych momentów w książce: obok ironicznych portretów trzech wieszczów mamy niezwykle celne i śmieszne parodie Norwida. Ot, taki choćby fragment:

Lecz ja nie pomnę, czy bucik czerwony
był mego serca oplakany łzami,
bo Pani takie-ś mi uszyła buty
że sam-em ostał... ale z odciskami.

Zgaga

Kpina nie jest tu celem samym w sobie. Słowa, które Gombrowicz napisał w odpowiedzi na replikę Miłosza, mogłyby być równie dobrze skierowane do Różewicza: „Ten poeta usiłuje wydobyć się z poety po to, aby ruszyć z miejsca poezję.” Szkic Gombrowicza miał stronę pozytywną: filipika przeciwko poetom była przecież próbą obrony poezji. Podobnie u Różewicza. Kpiąc z pewnej manieri – w tym przypadku romantycznej – poeta stara się jednocześnie odstąpić intencje, które powodowały wierszem, a które gubią się w manierze. Różewicz kpi z poetów, z siebie jako poety, wie bowiem doskonale, że rzetelna poezja pozostanie. Parodia, autoparodia, pastisz, żart – pozwalają oczyścić poezję z nalotu niepotrzebnego patosu. Proust mówi gdzieś, iż pastisz „mógłby się stać niebezpośrednią, bardziej dyskretną, zwięźlejszą i bardziej elegancką formą krytyki literackiej.” Tych, którzy chcieliby zobaczyć, jak słowa te mogą przekładać się na praktykę, odsyłam do kończącego książkę wiersza pod tytułem *Sława*. To wiersz na miarę czasów ponowoczesnych, a przecież – i szczególnie w kontekście takich „poważnych” tomów jak *Niepokój* czy *Płaskorzeźba* – wiersz przejmujący, będący mimo wszystko obroną poety... W utworze tym widać najlepiej, jak u Różewicza buffo przeplata się z serio, jak kpina może skrywać pasję. To inny rodzaj żarliwości niż ten, o którym pisał ostatnio Adam Zagajewski (*Obrona żarliwości*, „Zeszyty Literackie” nr 71). Żarliwość Różewicza nie zostaje wypowiedziana, otrzymujemy jedynie jej zdeformowaną postać – jest obecna w tle, w grze niedopowiedzeń, i może dlatego jest bardziej przejmująca.

Traktuję *Uśmiechy* nie tylko jako konkretną propozycję literacką – „wybór wierszy i próz znanych z innych tomów plus utwory premierowe, wydanie trzecie, przejrzane i poszerzone, etc.” – ale również jako pewien projekt, próbę wypracowania takiej poetyki, która nie byłaby poetyką nadmiaru (vide cytaty z Gombrowicza), przy czym chodziłoby głównie o nadmiar liryzmu, bezpośredniości i patosu – a jednocześnie poetyki zachowującej zmysł i istotę poezji. Nie chciałbym tu przesadzać z teoretyzowaniem i projektowaniem – zda-

ję sobie sprawę, że *Uśmiechy* to również książka mająca dostarczyć zabawy – jestem jednak przekonany, że nie jest to zbiór przypadkowy, li tylko antologia uśmiechniętego Różewicza. Chodzi o coś więcej, o odnalezienie nowego tonu lirycznego, a właściwie nie do końca lirycznego, bo chodzi pewnie również o zakwestionowanie liryczności (sentymentalizmu, afektacji, rzewności) poezji? Byłby to ton – i sądzę, że Różewiczowi w dużej mierze się to udało – otwarty na własną retorykę, na pogłos deformujący intencję. Trudno wyobrazić sobie pastisz wiersza napisanego przez Różewicza – moment pastiszu jest już wpisany w jego wiersze. Taki pastisz musiałby być filologiczną bądź filozoficzną rozprawą, a to już mało śmieszne.

Uśmiechy to przede wszystkim kolekcja niezwykle zabawnych i osobiście lekkich drobiazgów. Ale książka ta nie tylko parodią i pastiszem stoi. Nieprzypadkowo poeta poprzedził ją cytatem z Kochanowskiego: „Fraszki tu niepoważne z statkiem się zmieszały...” Obok wierszy zabawnych, ironicznych, mamy też tu ów specjalny, różewiczowski rodzaj liryki melancholijnej, w której melancholia przełamana zostaje lekko (ale tylko lekko) ironicznym uśmiechem. Mamy wiersze gorzkie, zbudowane ze śmieci (śmierci?) nowoczesnej kultury – to poetyka znana z kilku ostatnich książek poetyckich. No i wreszcie prozy, najczęściej krótkie opowiadania, historie... coś z Czechowa, Babla, krzywe lusterka odbijające rzeczywistość wczesnych lat pięćdziesiątych. Pomimo tej różnorodności całość skomponowana jest pysznie. Taka „droga poety” przez obrzeża i kresy kultury, diariusz będący zapisem tego, co przemyka chyłkiem, bokiem, obok głównego nurtu kultury... *Uśmiechy* nie są, broń Boże, suplementem czy przyczynkiem do „właściwej” twórczości poety. Są jej ważnym elementem, tworzą temat, bez którego nie zrozumiemy w pełni dzieła Różewicza – dzieła, które, jak żadne inne w naszej literaturze (za wyjątkiem może Gombrowicza) ma charakter kontrapunktu, zawierającego głosy antonimiczne, być może dopełniające się, ale to już poza poezją i poza językiem.

Żadna recenzja tej książki nie może pominąć drugiego jej bohatera: malarza Jerzego Tchórzewskiego (choć akurat znakomita karykatura na tylnej okładce jest autorstwa Pawła Różewicza). Rysunki Tchórzewskiego nie spełniają roli tła czy drugiego planu; współtworzą książkę – byłby to kolejny kontrapunkt – czasami wydaje się nawet, że stanowią nieodzowne uzupełnienie danego utworu. Jest w tych ilustracjach coś z Brunona Schulza, zapał karykaturzysty połączony z miękką linią liryka. Nie są to ilustracje użytkowe, stawiające sobie za cel przedstawienie obrazowo zawartości wiersza – widać, iż każdorazowo Tchórzewski szukał czegoś, co wyprowadzałoby utwór w nowy wymiar, w inną przestrzeń, dokonywał własnej, malarskiej interpretacji. Różewicz ładnie komplementuje artystę: „...nieuchwytny, krnąbrny, rogaty jest ten Malarz” (tak jak sam poeta – chciałoby się dodać). Szczególnie celny wydaje mi się pierwszy przymiotnik – można *Uśmiechy* przeglądać jak album i odnieść przy tym wrażenie, że Tchórzewski chce nam powiedzieć coś jeszcze... Co? Na to pytanie nie odpowiadają nawet wiersze.

Sądę, że ta książka ukazuje się we właściwym momencie. Twórczość Różewicza prawie zawsze opatrywana była przymiotnikiem „pesymistyczna”. Utwory powstałe w latach 90-tych nie tylko nie są mniej pesymistyczne, ale ukazują pisarza wchodzącego coraz głębiej w świat bez nadziei – pisarza nad otchłanią. *Kartoteka rozrzucona, zawsze fragment, recycling, Matka odchodzi...* w dziełach tych (zwłaszcza w dwóch pierwszych) świat Różewicza ulega ostatecznej dezintegracji. Książka poświęcona matce jest wstrząsającym dokumentem niemocy, rezygnacji. Nie chcę powiedzieć, że *Uśmiechy* to dzieło optymistyczne. Rozjaśniło jednak dość ponury obraz, jaki wylania się z pozostałych książek. I tu mamy wiele goryczy. Jednak od początku (wiersz *Włosek poety*) do końca (*Sława*) słyszymy wyrazisty, pewny głos poety:

Słyszycie Czasem wisi coś
na jednym włosku wisi
Dziś włoskiem tym poety głos
Słyszycie

Ktoś tam słyszy

Ktoś mówi... ktoś słyszy... myślę, że to dużo.

Jacek Gutorow

Tadeusz Różewicz, *Uśmiechy*, ilustracje Jerzy Tchórzewski, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2000.

Marzena Broda

Miasta, muzea, muzyka i malarstwo

*Oko artysty jest pozbawione uczuć, jeśli wie, dokąd
Patrzeć. Najlepiej tam, gdzie drzwi są otwarte
I tylko nachalność jarzeniówki nad stołem daje światło...*

Swobodne ramy wierszy Adama Zagajewskiego wypełniają nieruchome obrazy odbite w lustrze, dodatkowo wygładzającego ich kanty oraz kontury, abyśmy podziwiali kunszt i załzawione podmuchem powietrza oko autora, elegancko wyświetlającego nam na papierze różnego rodzaju wędrówki, mające odniesienia w uduchowionej wizji rzeczywistości. Wartej zwrócenia uwagi tego, kto ma smak do powolnych przechadzek po nieobecnych miastach, porach roku i wewnętrznych rozterkach piszącego, który oczekuje na „absolutne skupienie” i sublimację, dotarcie do wysokiego punktu, gdzie idąc śladami mi-

strza Eckharta łatwo czuć się uwznioślonym. Tak w internetowym skrócie mogłoby wyglądać omówienie *Pragnienia* Adama Zagajewskiego w codziennym, nieliterackim piśmie, w którym dział recenzji zawiera się na ostatniej stronie i jest okrojony do niemożliwości, lecz przecież Zagajewski jest zbyt znaczącym poetą, aby w lapidarny sposób rozmawiać o jego twórczości, zakorzenionej w miastach, muzeach, muzyce i malarstwie. Jest także uznanym, polskim autorem, widocznym w markowych wydawnictwach w Europie, którego na tle metafizycznego Barańczaka, mistycznego Krynickiego, zaliczyłabym do romantyków wsłuchanych w odcienie ludzkiej duszy.

Zatem przypomnijmy, najnowszy tom niezwykle dobrych wierszy Adama Zagajewskiego, ukazał się pod koniec 1999 roku i ta data już nie istnieje. Zostały po niej m.in. książki, wśród nich jest *Pragnienie*, wydane w a5, z którym Zagajewski jest związany od paru lat. Na okładce wymienionego z tytułu zbioru został zreprodukowany obraz Jerzego Nowosielskiego pt. *Wschód Słońca*. Dominują na nim ciepłe, matowe brązy i beże, podkreślające natężenie wznoszącego się oranżowego słońca, mimo wszystko dającego pojęcie o potędze i przestrzeni natury, którą w *Pragnieniu* zastąpiły milionowe enklawy miast, czyli teraźniejszość wpisana w okrąg urbanistów i zatrzymana we własnym obrocie, ponieważ w wierszach Adama Zagajewskiego ruch nie istnieje. Trzeba go sobie wyobrazić na podstawie opisowego wersu, rozwijającego się systematycznie do puenty. Nie jest to trudne, Zagajewski jest wrażliwym malarzem i jeśli czymś zaskakuje to nowymi wariacjami piękna. Jak przystało na maksymalnego, estetyzującego „klasyka” znajduje on swoje potwierdzenie w mijającym czasie. Trzeba przyznać, że jest utalentowanym kolorystą, delikatnie operującym środkami wyrazu. Jego wiersze to akwarele, dla których liczy się cierpliwość pędzla i nienaganność techniki, nadające im indywidualny charakter. Niezmiernie ciekawa jest droga, którą przeszedł od debiutu, dla mnie, w jego wypadku, liczącego się od momentu ogłoszenia książki pt. *Jechać do Lwowa*. Wydaje się, że *Pragnienie* chyba dorównuje jej siłą, chociaż zasób energii płynie teraz ze zwyczajniejszego źródła. Po raz pierwszy też Zagajewski dał nam liryczny autoportret, najpewniej sprawiedliwie pokrywający się z wyobrażeniami o nim, zbudowanymi w oparciu o przeczytane wiersze i to jest powodem, że wierzy się w ich solidne wyrafinowanie, dorównujące Juliuszowi Słowackiemu, który w przeciwieństwie do Adama Zagajewskiego, łączy w swojej poezji malarskie ujęcie tematu, szukając harmonii z kunsztowną muzyką wiersza.

Jeśli rzecz dotyczy autora *Pragnienia*, pomyłką będzie nie zauważyć, że jego wers jest niewzruszony na warstwę dźwiękową słów i wyraźniej wbudowuje się w imperium przymiotników, mających to do siebie, że spowolniają tempo wiersza, rozlewając się jak wodna farba na wilgotnym papierze. Ale taki najprawdopodobniej cel towarzyszył Zagajewskiemu. Przemieszcza się on w wykreowanej przestrzeni, jakby chciał nie jedynie siebie zatrzymać na płótnie pokrywającym się wierszami. Być może prawda o jego poetyckim świecie zawiera się w słowach Van Gogha, jest arcyprosta i mówi nam, że miłość do poezji jest identycznie święta jak miłość do Rembrandta, lecz trzeba sprawić, by oba te

uczucia zaczęły się uzupełniać, a wtedy efekty mogą być zaskakujące – Adam Zagajewski ma to za sobą. Dlatego filarem *Pragnienia* jest przede wszystkim pamięć, powtarzająca cechy minionej rzeczywistości, nie dziwnego, że wchodzimy do tego potężnego muzeum, by podziwiać eksponaty, dopóki trwają w salach wystawowych, dzięki temu, że wciąż rodzą się ci, co będą mieli ochotę je podziwiać; nie podróżując dookoła Ziemi, nie zagłębiając się w turystyczne przewodniki, a sięgając do tomów z wierszami, nie zamieniającymi się w ruiny, dopóki są ich czytelnicy. Chciałabym również dodać, że znalazłam w *Pragnieniu* stale motywy powracające w *Płótnie* i *Ziemi ognistej*: śmierć, wędrówka, poczucie utraty, wspomnienie o dzieciństwie, bez których obecności Zagajewski nie byłby sobą. Mało prawdopodobne, by z nich zrezygnował, trafił do przeciwstawnego świata pop kulturowego pisania, o prawie zerowym uwrażliwieniu na przykład na rzeźby Rodina lub muzykę Mahlera.

Literacka przestrzeń Adama Zagajewskiego nieustannie się powiększa i jest niezmiennie spójna „w cierplivej medytacji/bierności, które nie spodobałyby się/sędziemu o chciwym oku”. Ostatni tom wierszy jest w jego dorobku najbardziej refleksyjny, smutny i prywatny. To kilka pożegnań lub dedykacji dla bliskich, parę deklaracji o dochowaniu sobie wierności w zdobywaniu wysokiego stylu, co potwierdza konsekwencja jego książek wydanych w nie tak dalekim czasie. Zagajewski przyjął w nich rolę mędrca, modlącego się o „długą zimę/i cichą muzykę/i usta cierpliwe,/i trochę dumy/(...) płomień wysoki i jasny”, a teraz jest moment, aby to sprawdzić, wierząc, że z wierszy można się dużo nauczyć i zawsze dają nam możliwość wyboru przejścia na drugą stronę Merrilowskiego *Lustra*. Wystarczy je zapamiętać, aby zacząć w swoim otoczeniu ograniczać do minimum ludzi, przyznając rację opinii, że niewielu z nich potrafi zrosnąć się z ciszą. I jeszcze dodatkowa dygresja, kiedy piszę ten szkic, na zamglonej słońcem szybie tęczy promień, a potem gaśnie bez ostrzeżenia ze strony chmur, które dyktują dalszy ciąg zdarzeń. Poezja jest próbą zatrzymania ich i wyprzedzenia czasu, to jakby ustawianie na nowo wskazówek zegara, by nie wsparte o siebie niezależnie przyspieszyły, wyznaczając całej reszcie kierunek bycia.

Marzena Broda

Paweł Majerski

W tonacji srebrnej i czarnej

Janusz Szuber wpisuje swe liryczne dokonania w nurt „klasycyzmu”, pośród pisarskich fascynacji wskazując Kochanowskiego, Sępa-Szarzyńskiego, Trembeckiego, Krasickiego, „nieromantycznego” Mickiewicza, a także Herberta, Lechońia, Iwaszkiewicza, Staffa. Zapewne dla wielu czytelników tak zorientowany klasycyzm oznaczał będzie literacką (i literaturoznawczą!) erudycję, zakorzenienie twórczości w dorobku „warsztatowców”, tudzież żmudne dochodzenie do stylistycznej perfekcji. Odnotowane nazwiska, rzecz jasna, wyznaczają rozmaite modele i historyczne warianty „racjonalizacji” poetyckiej wypowiedzi. *19 wierszy* oraz *Z złotego metalu*, dwa najnowsze tomiki Szubera, potwierdzają, że w pewnym momencie linia ciągłości bardzo konsekwentnie zarysowanej poetyki odnaleźć może (czy też ostatecznie – musi) boczne ścieżki.

Dość spojrzeć na charakterystyczny krój strofy, oksymoroniczny „wrzący śnieg” i nieustannie wykorzystywane powtórzenia: oto *19 wierszy* Szubera utrwalonych barokowym inkaustem. Takie są – na przykład – oktostychy, *Wiersz pokutny*, *Wiersz osobisty*, *Wiersz rekolekcyjny*. Rekwizyty (kości, czaszka, waga, kosa) oraz sposób zagospodarowywania ich sąsiedztwa (przeplatany motyw śmierci i miłości) znany dobrze z literatury i malarskich płócien XVII wieku. Ba, w *Kryształe* pojawia się „Czarczi zamtuż karnawału”, z kolei w *Ośmiu wersach ku przestrodze* wyraz rozczarowania:

Poklask miał być i korona
A tymczasem wióry, słoma.
Szybko a jakby pomału,
Od postu do karnawału.

Jeśli granicę wyznacza karnawał, to dostrzec musimy maskę śmierci, zatem w wierszu *Kuligiem* bohater znajdzie się „Sam na sam ze Szczerą Panią”. Postać Szczerej Pani powróci również w tomiku *Z złotego metalu*. Szuber zestawia dziewiętnaście ciemnych i zimnych wierszy, w których połyskuje biel śniegu i kości. W jednym z nich pojawi się wprawdzie słońce, lecz zachodząc, rzuca już tylko „krwisty” błysk.

Pośród odwołań do baroku wielu czytelników współczesnej poezji wskazałoby od razu, tak sądzę, wiersze Stanisława Barańczaka. Trudno byłoby pominąć teksty Jarosława Marka Rymkiewicza, których patronem stał się, w ostatnich latach przez badaczy zdecydowanie „dopieszczony”, ks. Józef Baka. Po lekturze tomików *Co to jest drozd* oraz *Thema regium*, znakomity interpretator Baki – Aleksander Nawarecki zanotował wszakże, iż „akceptacja *Uwag* staje się (...) gestem samobójczym”. Dlaczego? Dziś widać to wyraźnie: groteska i rozpacz autora *Uwagi zabawnym czy zatrudnionym chmielem głową* rozbijają w pył klasycystyczną harmonię. Oczywiście, przywołując na-

zwisko Baki nie myślę tutaj o jakimś dialogu bezpośrednim, autor *Uwag śmierci niechybnej* – przede wszystkim – posegmentowałby przywołany tekst inaczej, ostro tnąc wersy, a pojawia się jeszcze kwestia osobliwego typu metafor, dosadności określeń, leksyki, wreszcie – atmosfery. Z rozpoznawalnej frazy Szubera zawsze emanowała elegancja i... epicki dystans. Dlatego w jego przypadku, od czasu do czasu, powiewać mógł chłód klasycystycznego rzemiosła, które oznacza rezygnację ze spontaniczności i uniesienia, albowiem wszystko w metrum oraz lirycznym obrazie utrwalane jest pod kontrolą. Bez doskonałego szlifu wiersz nie ujrzy światła zadrukowywanej strony. Myślę, iż podążający takim traktem poeta mógłby nawet nie pozostawiać wariantów utrwalanych tekstów, co zrozumiałe w momencie, gdy liczy się jedynie finalny kształt obrabianej perły.

W nowych tomikach Szubera dominują wątki eschatologiczne, ale pamiętajmy, że pojawiały się w jego liryce już wcześniej. Wiersz *To* kończą strofy:

co miało się stać to się stało
gdzie jesteś gdzie jesteś ciało
skóra kości i chrząstki
i żadnej obrączki podwiązki

gulgoty żaboty zgagi
koniec szumnej parady
czekają z rydlem i kosą
zzuj meszty – w *to* wkracza się boso

Tego typu warsztatowa ekwilibrystyka musi brać barokową formę w cudzy-słów, który wciąż się czai i znienacka osacza wiersz. Ważne będzie właśnie ironiczne (autoironiczne?) ostrze, pozwalające spojrzeć na sprawy ostateczne – choć dreszcz i tak przebiegnie po plecach – z oswajającym przyszłość „przygotowaniem”. Przecież i w pastiszu odkryjemy natrętnie powracające obsesje i formy, być może jednak owa katarynkowa rymika i rytmika narzuca się w pewnym momencie sama, zniewala. W podobnych wierszach Szubera ważna jest perspektywa czasu: pytanie „kim byłem?” powraca w *Wierszu popielcowym* i *Pędzącym na oślepie*, w *Udając kogoś* zwycięży natomiast czas terażniejszy: „kim właściwie jestem?” W związku z nawarstwianiem się pokładów „odzyskiwanych” zdarzeń, Szuber postrzegany być może jako poeta czasu przeszłego (gdy powraca do młodości, miejsce sprzed lat) i czasu zaprzeszłego (gdy przegląda rodzinne dokumenty, księgi parafialne, zdjęcia). Jacek Łukasiewicz precyzował, iż w tej poezji „kaskada czasu jest (...) trójstopniowa”, bowiem pojawia się terażniejszość sytuacji pisania, czas młodości i czas historyczny.

Ponieważ wszyscy zostali wpisani w rytm śmierci (*Zachłannicie, w zachwyce-niu, Nie jego*), pytać więc można o podobieństwo egzystencji, tym samym – w konkretnym rachunku „pamięci i sumienia” – o zasadę bytu i reguły. A tytułowy „złoty metal”? Z niego wykonany jest nożyk do papieru, oczywiście

wyciągnięty z rodzinnych szpargałów, przypominający „coś z pogranicza jawy i snu”. Ale z żółtego metalu powstać mogą – sięgam do *Słownika domowego* – „matryce”, które miałyby utrwalić minione i mijające.

Tomiki poezji korespondują ze sobą dzięki utworom-odsyłaczom, które wprawdzie znalazły się w *Z żółtego metalu*, lecz mogłyby dopełnić *19 wierszy*. Generalnie zbiór „żółty” (m.in. *Dowód osobisty, Zapisane późnym wieczorem, Sebastian, Płynący w ławicy, osobno*) realizuje znany model wiersza autora, Bronisław Maj wskazywał wszakże nowe elementy: „tonację poetyckiej rozmowy z duchami przeszłości, niemal barokowe mnożenie pytań, niepokojów i lęków – «vanitatywnej» (...) natury”. Istotną dla poetyckiej obecności Janusza Szubera rolę odegrał retrospektywny wybór *O chłopcu mieszkającym powiśla* (Kraków 1999). „Żółty tomik” postrzegam w linii kontynuacji, cykl wierszy „srebrnych i czarnych” wytycza natomiast – raczej na chwilę – boczną ścieżkę lirycznej refleksji „klasycysty”.

Paweł Majerski

Janusz Szuber, *19 wierszy*, Lesko 2000.

Janusz Szuber, *Z żółtego metalu*, Księgarnia Akademicka, Kraków 2000.

Zbigniew Chojnowski

Między wygnaniem a powrotem

Im bardziej dotkliwa i niesprawiedliwa, tragiczna, bolesna i paradoksalna jest historia i egzystencja, tym mocniej dopominamy się o dekonstrukcję podstawowych pojęć, organizujących życie wewnętrzne i społeczne. Niby nic ma w tym nic dziwnego: to nowe i głębokie doświadczenia powodują desemantyzację i semantyzację tożsamości słów wielkich i małych, a w konsekwencji c z ł o w i e k a . Miejscem, gdzie rozgrywa się dramat identyfikacji, jest twórczość Henryka Grynberga.

Nie wiem, jak to się dzieje, że jego proza wywołuje ciepło i klimat serdeczności (owszem, podszytej żalem i goryczą), gdy jego wiersze mają coś z chłodnych konstrukcji, z których wyziera jakby krystaliczna rozpacz. Rozpiętość uczuć i emocji w tekstach Grynberga jest duża, co wiąże się z nieustannie żywym u niego Holocaustem. Zbrodnia niesłychana ma to do siebie: trwa niepomiernie dłużej niż sam fakt fizycznego unicestwienia. Krzywda, kiedy jest już wyrządzona, staje się niejako bytem realnym, który oddziałuje na ludzi i czas, czyli współuczestniczy w losach indywidualnych i zbiorowych, a więc tworzy je.

Grynberg nie ukrywa, że chodzi mu nade wszystko o to, co ludzkie i organiczne wypływające z moralnych konsekwencji Holocaustu. Pisarz za swój cel obrał „prawdę nicartystyczną, ręczy za nią własną autobiografią i pamięć-

cią. Trochę w tym wyzwaniu przekory, bo tekst literacki rządzi się do pewnych granic autonomią. Zgodziłbym się jednak z kimś, kto powiedziałby, że w literaturze chodzi o coś więcej niż o literaturę. Pretekst do nieautonomicznego myślenia o pisarstwie podsuwa zbiór opowiadań Henryka Grynberga spiętych tytułem *Ojczyzna* (przewrotność tytułu ujawniają rozmaite skojarzenia, chociażby asocjacje z popularną i rewolucyjną powieścią Wandy Wasilewskiej z 1935 roku, tylko że w tamtej prozie „ojczyzna” jest jednoznacznie utożsamiona ze świadomością klasową i ideologicznie pojętą walką o „sprawiedliwość społeczną”). Poszczególne utwory łączy temat tożsamości, przynależności i alienacji. Złożona z nich mozaika ma swoją wymowę i nie jest prostą reedycją tekstów sprzed ponad trzech dekad. Autor pisze skromnie wprost: to „dokument z lat 1960-1970”. Pomysł ponownego opublikowania dawnych opowiadań umożliwił pisarzowi: dokonanie retuszu stylistycznego i przywrócenie tekstom postaci nie zniekształconej przez cenzurę, a także dał podstawę do ich reinterpretacji.

W ośmiu opowiadaniach Grynberga występuje bohater-podróżnik; trudno o nim orzec: czy powraca, czy uchodzi przed czymś lub przed kimś, czy jest na wygnaniu, czy podąża po wytyczonym szlaku. Toteż każdy z ośmiu zapisów zdaje się być fragmentem dziennika podróży osoby, która przemieszcza się w niepewności swego statusu: wygnaniec czy powracający. Trudności identyfikacyjne wymuszają próby odpowiedzi na pytanie: czym jest ojczyzna i gdzie ona się znajduje?

Opowiadanie *Buszujący w Niemczech* otwiera tom, otwiera problem, Bohater-narrator porusza się tu po kraju tych, którzy dokonali Holocaustu, ale nie hoduje w sobie węża nienawiści. Spotkanie z niemiecką powoduje dwutorowość odczuwania; to co niemieckie, uruchamia czas wojny, koszmar utraczonego dzieciństwa, wspomnienie permanentnego strachu; realnie jednak, czyli w terażniejszości (lata 60.), nie dzieje się totalne zło, życie toczy się dalej, jakby nie było nigdy winowajców i ofiar. To podwójne i sprzeczne w sobie istnienie ma wiele imion. Wspiera się na znoszących pragnieniach: być Żydem i nie być Żydem. Tak rozdarty człowiek żyje w przedziwnej mimikrze.

Ten, który ocalał z Holocaustu, zdaje się żyć za ojca i brata. Grynberg fakt własnego istnienia poddaje swoistej wiwisekcji, a odbiera paradoksalnie – przecież jego miejsce, jak myśli o sobie, jest w pustce pozostawionej przez wymordowanych Żydów. Bohater-narrator czegokolwiek się dotknie, przenosi się w niezmierną przestrzeń Holocaustu. Lecz nie jedynie po to, aby ułożyć kolejny tren czy lamentować. Opisywane doświadczenia pozwalają pisarzowi określić granice człowieczeństwa, jak we fragmencie, gdzie stwierdza: „O wiele łatwiej pozostać człowiekiem, bijąc niż będąc bitym”. Tę mądrość objawił w inny sposób w prozie obozowej Tadeusz Borowski. Co charakterystyczne, Grynberg nie obwinia bezceremonialnie i publicystycznie (chcąc nie chcąc wzbogacił galerię „polskich Hamletów” o żydowsko-polskiego Hamleta). Zastanawiając się nad ciemną, podłą stroną ludzi, wie że w ekstremalnych sytuacjach (zemsta, głód, gniew, strach) i on mógłby czynić zło.

Podróż do dzieciństwa to dyspozycja wyobraźni Grynberga, dzięki której usiłuje on zidentyfikować się z własnym początkiem, miejscem urodzenia, pamięcią przodków. Nie jest to powrót do czasu sielskiego i anielskiego, jak to wynika z opowiadania *Sielanka – Siał*. Kojarzy się ono z nowelistiką wielkich pisarzy pozytywistycznych, poświęconą dziecku. Narrator Grynberga – żydowski chłopiec – jest jakby całkiem naiwny i dziecięcy, a w rzeczywistości za chwilę dopadnie go zagłada. W małym światku dziecka wszyscy wydają się niewinni i czysti i na swój sposób solidarni. W rzeczywistości podskórnie i nieubłaganie chłopięca wiara w dobro wchodzi w tragiczny konflikt z realnym złem. *Sielanka...* jest opowiastką o oszukany dzieciństwie i pozornym poczuciu bezpieczeństwa, ale też obrazkiem obyczajowym z wiejskiego pogranicza polsko-żydowskiego z przełomu lat 30-tych i 40-tych. Czy ojczyzną może być kraj nieszczęśliwego dzieciństwa?

W następnym opowiadaniu, *Pełnomocnictwo*, bohater powraca po latach w rodzinne strony; przekonuje się naocznie o nieobecności bliskich. Żaden z nich już nigdy nie zaświadczy o istnieniu bohatera-narratora, bo każdego zagarnął Holocaust. Nawet ich ślady na miejscach wielkich straceń i wśród polnych mogił są nie do odnalezienia. A przecież tam ojczyzna nasza, gdzie groby nasze. Niesamowicie dosłownie los potrafi potraktować utarte powiedzenie, nieledwie metaforę. W miniaturze *Grób* pewien Żyd przyjeżdża pod znaną sobie brzozę, pod którą Niemcy kazali kopać mu śmiertelny dół.

Bohater-tułacz, a zarazem polski Żyd, wyprawia się do Jaffy. Także tam, ni by wśród swoich, jest nieznajomym. Podobnie w opowiadaniu *Jidit*. Nawet w izraelskim kibucu, gdzie zakochuje się ze wzajemnością, nie odnajduje siebie, nie odnajduje poczucia bezpieczeństwa.

I znów wędrowiec wraca do miejsca urodzenia. W opowiadaniu *Hamlet* czytamy: „A jednak dobrze jest – pomimo wszystko. Widzieć, słyszeć, oddychać, móc być tu, gdzie się najbardziej chce być, gdzie się najlepiej widzi, słyszy, oddycha – tu, gdzie się przyszło na świat”. Powrót do dzieciństwa jest tu zarazem powrotem do przestrzeni tragedii, jest poszukiwaniem pamięci, zemsty i ukojenia. Ostatecznie syn zamordowanego ojca rezygnuje z odwetu. Nie wolno pomnażać zła, jeśli nawet jest to uzasadnione?

Tytułowa nowela ma kilka warstw. Mówi o losie Biumka w powojennej Polsce, o podobieństwie polskich chłopów i Żydów, o bezbronności człowieczeństwa wobec chamstwa, przemocy. Wreszcie w tekst ów są wpisane definicje ojczyzny: „Mój ojciec to nie kości ukryte przy polnej miedzy o kilka kilometrów stąd. Mój ojciec to jestem ja. Dzięki temu, że jestem tutaj jestem. To się właśnie nazywa ojczyzna.” Gotowość do utożsamienia się ze zmarłymi przodkami, z ich życiem i śmiercią oraz pamięć o nich jest załącznikiem ojczyzny.

Zbigniew Chojnowski

Rafał Moczko

Pytanie bez odpowiedzi

Tytuł najnowszej książki Aleksandra Fiuta – *Być (albo nie być) Środkowoeuropejczykiem* jest wielce obiecujący: z jednej strony kusi interesującą tematyką, z drugiej poprzez czytelną aluzję podkreśla tragizm pytania i – tym samym – sygnalizuje potencjalną wagę odpowiedzi, jakich możemy się spodziewać w tekście. Równocześnie niesie wyraźną przesłankę, co do tego, po której stronie opowiada się autor – osłabienie negatywnej części pytania przez użycie nawiasu sugeruje, iż uważa, że należy „być”, czego potwierdzeniem są kolejne części książki.

Dwanaście szkiców poświęconych twórcom polskim i obcym nie zaskakuje pod względem doboru nazwisk – wynika to w dużej mierze z faktu, że znakomita większość artykułów była już wcześniej publikowana, a i *Pytanie o tożsamość* – książka bliźniacza wobec *Być (albo nie być) Środkowoeuropejczykiem* – poświęcona była przede wszystkim pisarzom tej miary co Aleksander Wat czy Tadeusz Różewicz.

W swoich artykułach Fiut proponuje spojrzeć na twórczość m.in. Czesława Miłosza, Antoniego Słonimskiego, Zbigniewa Herberta czy Josifa Brodskiego z perspektywy pozwalającej na poszukiwanie w ich dziełach tych elementów, które umożliwią zrekonstruowanie zapatrywań poszczególnych pisarzy na kwestię tożsamości. Autor, wychodząc od *quasi*-hamletycznego pytania, zastrzega we wstępie, że przez ową tożsamość nie można jedynie rozumieć określonej przynależności geograficznej czy narodowościowej, lecz trzeba także odwoływać się do innych komponentów składających się na samoświadomość Witolda Gombrowicza, Mirona Białoszewskiego czy Miliana Kundery.

Tu kluczową kwestią są dla Fiuta relacje, w jakie wchodziłi kolejni pisarze z dorobkiem kulturowym Zachodu. Sięgnięcie po utrwaloną opozycję między Wschodem a Zachodem pozwala autorowi na wyróżnienie trzech tematów, które – jego zdaniem – odróżniają literaturę powstałą w Europie Środkowej od tej tworzonej na zachód od Odry: „Są to: nie akceptowana peryferyjność, poczucie ruchomości granic oraz tożsamość problematyczna.” Prowadzona na tej płaszczyźnie penetracja twórczości Słonimskiego, Witkacego czy Kiša dotycząca w głównej mierze postaw, jakie pisarze ci przyjmowali ustosunkowując się do dorobku śródziemnomorskiego, ma być zapewne – w założeniach autora – pomocna przy definiowaniu środkowoeuropejskości.

I tu pojawia się pewien paradoks, którego zaistnienie w znacznej mierze osłabia wartość książki. Z jednej bowiem strony Fiut stara się nam uprzytomnić pewien problem, omówić szereg zagadnień dotyczących kwestii tożsamości środkowoeuropejskiej, wreszcie postawić pytanie o zasadność używania niektórych określeń, a z drugiej dokonując analizy przywoływanych dzieł posługuje się terminologią zakładającą, że odpowiedź na tytułowe pytanie może być jedynie pozytywna. Nie podając swojej definicji „środkowoeuropejskości”, a po-

sługując się tym terminem dość często przy opisywaniu wspomnianych relacji, autor daje nam przykład *petitio principii*. Starając się dowieść tego, co zakłada, w gruncie rzeczy nie pozwala na podjęcie polemiki z prezentowanymi przez siebie tezami czy wnioskami i zawiesza *quasi*-hamletyczne pytanie w powietrzu. Równocześnie już we wstępie zastrzega, iż w swej refleksji przyjmuje perspektywę, z której „właściwie całe środkowoeuropejskie piśmiennictwo daje się czytać jako świadectwo, bardziej lub mniej świadomego, formułowania owych pytań oraz dawania na nie, czy to bezpośrednio, czy pośrednio, rozmaitych odpowiedzi”, co uprzytamnia nam, że autor do pewnego stopnia zdaje sobie sprawę z tego, iż wpisuje w swą książkę wyraźną intencję, choć równocześnie go to nie usprawiedliwia.

Mimo tego książka Fiuta jest bez wątpienia pozycją interesującą – w swych rozważaniach badacz porusza wiele zagadnień nie ograniczając się przy tym jedynie do kwestii tożsamości środkowoeuropejskiej. Interesują go także zależność i opozycyjność twórczości poszczególnych pisarzy, przemiany, jakie zachodziły w literaturze polskiej w XX wieku, szuka potencjalnych możliwości jej rozwoju etc. Bardzo sprawnie operując bogatym materiałem analitycznym i pomocniczym, nakreśla szerokie perspektywy oglądu poszczególnych dzieł czy twórców. Pamiętając cały czas o kluczowym dla całej książki pytaniu wyławia z poszczególnych utworów te fragmenty, które pozwalają na pełne odtworzenie poglądów danego pisarza na temat Europy i zestawia je z wypowiedziami innych twórców czy badaczy, których ta kwestia zajmowała.

Oczywiście posiada on świadomość tego, że ogarnięcie w kilkunastu szkicach całego dorobku literackiego powstałego w przeciągu ostatnich osiemdziesięciu lat w Europie Środkowej pod kątem pytań o tożsamość nie jest możliwe, jednak mimo to podejmuje trud „zdania choćby częściowej i ułamkowej relacji” z czynionych przez pisarzy prób określenia się względem kultury europejskiej i idei europejskości, „prób, które wydały się najbardziej charakterystyczne czy najbardziej godne uwagi.”

Przejrzysta kompozycja, indeks nazwisk i spis treści rozszerzony o informacje dotyczące treści poszczególnych szkiców pozwalają na szybkie orientowanie się w tekście, który – co warto podkreślić – zdradza olbrzymią erudycję autora przywołującego rozliczne konteksty z zakresu szeroko pojętej humanistyki. Połączenie tego z przejrzystością wywodu i jego wielowątkowością, mistrzowskimi *passusami* podsumowującymi poszczególne teksty czy ich fragmenty czyni z książki pozycję wysoce interesującą, która jeśli nie w całości to choćby w części – mam tu na myśli choćby takie szkice jak *Pomiędzy* poświęcony Josifowi Brodskiemu czy *Grę o utopię* dotyczącą Antoniego Słonimskiego – zainteresuje zarówno badaczy literatury, jaki i tych, którzy zajmują się sprawami tożsamości europejskiej.

Książka Fiuta z pewnością nie odpowiada na pytanie postawione w tytule, a w każdym razie nie czyni tego wprost – kończąc ją serią pytań dotyczących dalszych losów literatury polskiej i europejskiej znajdujących się w fazie przej-

ściowej autor stara się uchylić od jednoznacznych deklaracji i – być może – zainicjować dyskusję podejmującą ten jakże aktualny temat. Równocześnie jednak obserwowalne w całym tekście zaangażowanie w obronę idei środkowoeuropejskiej oraz wspomniany powyżej paradoks myślowy sprawiają, że *Być (albo nie być)*... zapewne jest raczej odbierane jako kolejny głos, który w dyskusji nad zagadnieniem tożsamości Polaków, Czechów czy Węgrów potwierdza istnienie *status quo* dzielącego Europę na dwa obozy, które obecnie nie są już sobie wrogie, ale w dalszym ciągu znacznie się od siebie różnią. Książka Fiuta może być zatem potraktowana jako zbiór pozytywnych argumentów wykorzystywanych w debatach dotyczących samoświadomości środkowoeuropejskiej, co w czasach, gdy pytania: „Gdzie naprawdę szukać Europy Środkowej? Na mapie? W pamięci historycznej? W wyobraźni? A może w literaturze? I czy w ogóle warto jeszcze ten termin wskrzeszać, skoro dyskusje, jakie animował, wygasły, a polityczno-społeczne realia tak dalece się zmieniły?” urastają rzeczywiście do rangi hamletycznych, jest niezwykle cenne.

Rafał Moczko

Aleksander Fiut, *Być (albo nie być) Środkowoeuropejczykiem*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1999.

NOTY

Czy jest coś ważniejszego od bezpośredniego kontaktu z oryginalnym tekstem *Biblii*? Ale ile osób zna język hebrajski i język grecki? Namiastkę takiego bezpośredniego kontaktu daje interliniarny przekład *Księgi Rodzaju* – pierwszy tom *Hebrajsko-polskiego Starego Testamentu*; w 1993 roku ukazało się grecko-polskie wydanie interliniarne z kodami gramatycznymi *Nowego Testamentu*; Oficyna „Vocatio” zapowiada kolejne tomy.

Nowy przekład autorstwa Anny Kuśmirek jest pierwszą próbą tłumaczenia dosłownego, gdzie każdemu słowu hebrajskiemu odpowiada słowo polskie. Przekład zawiera cztery linie: pierwszą – z kodami gramatycznymi, drugą – z tekstem hebrajskim, trzecią – z tekstem polskim i czwartą – z transkrypcją tekstu. Czytanie od prawa do lewa ułatwia orientację w złożonej strukturze hebrajskiej; dodatkową pomocą w lekturze jest *Podręczny słownik hebrajsko-polski i aramejsko-polski Starego Testamentu*. Takie czytanie umożliwi samodzielne studium tekstu świętego; można także porównywać istniejące już tłumaczenia tej Księgi na język polski i lepiej rozumieć związane z nią problemy egzegetyczne i teologiczne.

K. M.

Hebrajsko-polski Stary Testament. Księga Rodzaju. Wydanie interliniarne z kodami gramatycznymi, transkrypcją oraz indeksem rdzeni, Oficyna Wydawnicza Vocatio, Warszawa 2000.

Czy psalterzowa polszczyzna to wersy czy wersety, czyli czy jest to poezja czy proza? Przekłady stanowiące główny nurt staropolskich tłumaczeń *Księgi Psalmów: Psalterze* – floriański i puławski, *Psalterz Dawidów* Jakuba Wujka i wersja zakonna z 1599 roku zostały zapisane werselem, a więc prozą. Dziś badacze są w większości przekonani, że psalterzowe słowo było dla Hebrajczyków zapisane w postaci znamiennej dla wersu. Istnieje kwestia: gdzie przebiega granica pomiędzy wierszem bezrymowym a prozą zrytmizowaną? Werset może jawić się jako wypowiedź rozciągnięta pomiędzy wierszem nieregularnym a prozą rytmiczną. A jak w poszczególnych wersach czy wersetach przenikają się wymiary: teologiczny, liturgiczny i poetycki? Na co powinien zdecydować się tłumacz: na jaki wybór zasadniczy? Jaki obrać rytm dla psalterzowego wersetu i jak go potem utrzymywać na tak dużej przestrzeni i w długim czasie wiedząc, że ustalenie rytmu to także problem składni oraz interpunkcji. Czy ma być wierny słowom czy myśli i jak to przełożyć na właściwe rytmy? A przecież tych kwestii nie

można rozpatrywać osobno – one mają razem zagrać tak, aby dać jak najlepszy efekt. I tak stoimy przed niewiadomymi jak na przykład, że w *Księdze* nie ma psalmów posiadających rytm jednolity: prawie w każdym psalmie znajdujemy różne warianty struktury rytmicznej, przeplatające się wzajemnie; niemożliwa jest analiza hebrajskiego rytmu psalterzowego na podstawie grecko-rzymskiego metrum. Ciekawe są uwagi Arystotelesa w *Poetyce* dotyczące rytmu. Rytm psalterzowego wersu jawi się jako tajemnica, jako splot liczb i układów sylab w poszczególnych wersach dzielonych najczęściej na dwa lub trzy stychy z paralelną konstrukcją składniową. A jak zgrać podział wersetu na człony konstrukcji paralelnej z podziałem wersu na stychy? Żadnych sztuczek. Ciekawe i cenne są uwagi Miłosza i Brandstaettera na ten temat. Badacze mówią o ascetyczności oryginalnego tekstu *Psalterza*, o tym, że tekst w nim jest suchy, prawie bez epitetów i prawie bez wyrazów służących nawiązaniu między wersami. Z tymi fascynującymi zagadnieniami, z którymi bardziej lub mniej świadomie stykamy się w praktyce, mamy do czynienia w książce Krzysztofa Obremskiego pod tytułem *Wiersz dzisiaj nieznajomy* – rzeczy o rytmie psalterzowego wersetu w kontekście staropolskiej interpunkcji, która na podstawie czterech staropolskich przekładów dowodzi, że istnieje w nich rytmiczna organizacja wersetu.

K. M.

Krzysztof Obremski, *Wiersz dzisiaj nieznajomy*, Wydawnictwo Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2000.

W zalewie literackiego postmodernistycznego bełkotu dobrze jest wracać do źródeł. Okazją do tego są dwie Serie Świata Książki: „Kanon literatury światowej” i „Kanon literatury polskiej”. Oto nowe propozycje:

Wyznania świętego Augustyna w przekładzie i ze wstępem Zygmunta Kubiaka – największe dzieło wielkiego Tagastańczyka, jedno z najslawniejszych dzieł wszystkich czasów. Sekwencje jego życia, aż do iluminacji „nocy mediolańskiej”, gdy usłyszał: *Tolle, lege, tolle lege*. I nowa droga: „W zranionym bowiem sercu mym ujrzałem Twoją jasność...” Temu światłu będzie wierny: „... płoniemy i idziemy. Sercem wstępujemy na wyżynę i śpiewamy pieśń stopni.” To światło znajdujemy w *Boskiej Komedii* Dantego, w *Sonetach* Petrarci i w *Jałowej ziemi* Thomasa Stearnsa Eliota.

14. tomem tej Serii są *Cztery powieści* Camusa. Inaczej czyta się i odbiera Camusa zebranego w jednym tomie: *Obcy*, *Dżuma*, *Upadek* i ostatnie dzieło opublikowane 34 lata po śmierci pisarza – *Pierwszy człowiek*. Droga Camusa: ze ślepego zaułka Algierii – w ostre światła Paryża i na koniec – Prowansja, która przypominała mu Algierię. Powieści, które Camus definiował jako filozofię przeprowadzoną w c a ł o ś c i p r z e z o b r a z y. Egzystencjalizm i odejście od egzystencjalizmu. Monolog – bezlitosną spowiedź z *Upadku* dobrze jest czytać w świetle *Dżumy*. Zginął w wypadku samochodowym, w połowie drogi, gdy rodził się nowy Camus.

Bruno Schulz: *Sklepy cynamonowe, Sanatorium pod klepsydrą*, opowiadania z czasopism, eseje, recenzje, portrety, polemiki, listy w wyborze, w układzie i z posłowiem Włodzimierza Boleckiego to 6. tom drugiej Serii. Jedno z najwybitniejszych dzieł w literaturze polskiej XX wieku, do którego kluczem jest „mityzacja rzeczywistości”, jej sakralny wymiar. Cudowny realny świat zaklęty we wspaniały artystyczny kształt. Słowo i Księga – i obecny w niej dziwny Duch.

K. M.

Święty Augustyn, *Wyznania*, Świat Książki, Warszawa 1999.

Albert Camus, *Cztery powieści*, Świat Książki, Warszawa 2000.

Bruno Schulz, *Opowiadania. Eseje. Listy*, Świat Książki, Warszawa 2000.

*

Fragmenty prozy, szkice, listy i recenzje Brunona Schulza zostały zebrane w tomie pod ogólnym tytułem *Szkice krytyczne* i dobrze się stało, bo powstał ważny zbiór tekstów istniejących do tej pory w rozproszeniu. Można zastanawiać się nad układem tego tomu, jego zasadą, według której uporządkowano materiał, a nawet nad tytułem, ale i tak otrzymaliśmy książkę, która w istotny sposób uzupełnia „dzieła wszystkie” Schulza. W tej „krytycznej” antologii, w której obok recenzji książek między innymi Gombrowicza (*Ferdydurke*), Kuncewiczowej, Nałkowskiej, a także Bernanosa, Mauriaca, Huxley’a i Brechta mamy *Mityzację rzeczywistości*, *Trzy szkice wokół Piłsudskiego*, listy do Gombrowicza i Witkacego, *exposé o Sklepiach cynamonowych*, czy posłowie do polskiego przekładu *Procesu* Kafki, jawi się Schulz jako uważny czytelnik i egzegeta cudzych utworów literackich, dający swoim badaniom i opiniom wyraz publiczny. A przy okazji pisania o innych, pisze o sobie – wszystkie te teksty są rodzajem autokreacji, inną postacią prozy artystycznej, co czyni je fragmentami *Dziela* jednego z najwybitniejszych współczesnych prozaików polskich. Jest to *Dzielo* w toku: nie wiadomo, co się jeszcze odnajdzie i jak się ułoży, w jaką całość, czy w jakąś nową fragmentaryczność. Nie znamy *Mesjasza*, który nie wiadomo, czy w ogóle istnieje. Zamykająca tom krótką, niepełną, tajemniczą notką sporządzoną przez Schulza odręcznie, odnaleziona między kartkami jego lektur, daje nadzieję na nowe odkrycia. Schulz prowadzi nas „osobliwą drogą od przygody do przygody, od kłęski do kłęski”, w barwnym pejzażu, „który we wcięż nowych konfiguracjach towarzyszy jego poczynaniom.”

K. M.

Bruno Schulz, *Szkice krytyczne*, opracowanie i posłowie Małgorzata Kitowska-Łysiak, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2000.

Landschaften und Luftinseln – pejzaże i powietrzne wyspy – pod takim tytułem ukazał się w Deutscher Taschenbuch Verlag wybór przekładów polskich opowiadań współczesnych, zredagowany i opatrzony posłowiem przez Aleksandrę Markiewicz. W książce znajdziemy opowiadania 20 autorów, urodzonych po wojnie, poprzedzone zdjęciami oraz krótkimi autoprezentacjami. Zapowiedziane w tytule pejzaże pojęte są dość szeroko i przedstawione w różnych konwencjach: od realizmu do magicznej fantastyki. Wędrowki autorów sprawiły, że nakładają się niejako na siebie różne krajobrazy. Roman Gren np. opisuje z perspektywy Paryża swoje dzieciństwo w Polsce. Aleksander Jurewicz zaś – zestawia kaszubszczyznę z rodziną Lidą. Szara i absurdalna nieraz codzienność dochodzi do głosu w opowiadaniach Darka Foksa, dla Krzysztofa Myszkowskiego natomiast banalny szczegół staje się punktem wyjścia do rozważań filozoficznych. Oprócz wymienionych autorów w antologii znalazły się teksty: Pawła Huelle, Adama Wiedemanna, Olgi Tokarczuk, Janusza Rudnickiego, Hanny Kowalewskiej, Tadeusza Pióro, Izabeli Filipiak, Karola Maliszewskiego, Anny Nasiłowskiej, Nataszy Goerke, Zbigniewa Kruszyńskiego, Krzysztofa Jaworskiego, Wojciecha Kuczoka, Zyty Rudzkiej, Andrzeja Stasiuka oraz Tamary Bóldak Janowskiej. Wybór jest więc dość reprezentatywny dla naszej literatury lat dziewięćdziesiątych i można byłoby go opublikować także po polsku. Na razie otrzymaliśmy wersję niemiecką staraniem 10 tłumaczy: Renate Schmidgall, Roswithe Matwin-Buschmann, Esther Kinsky, Karin Wolff, Martin Pollack, Judith Arlt, Hans Peter Hoelscher-Obermaier, Ariane Afsari, Ursula Kiermeier, Olaf Köhl. Są to zapewne osoby dwujęzyczne, przekłady są więc nie tylko dość wierne, lecz również zręczne i pozbawione sztucznej dosłowności.

H. D.

Landschaften und Luftinseln. Polnische Erzählungen der Gegenwart. Herausgegeben von Aleksandra Markiewicz. Mit zwanzig Autorenporträts. München: Deutscher Taschenbuch Verlag, 2000.

Poznawanie Miłosza będzie trwało cały następny wiek. Na razie mamy *Poznawanie Miłosza 2* – część pierwszą dotyczącą lat 1980-1998, będącą kontynuacją tomu *Poznawanie Miłosza* z roku 1985, przygotowanego przez Jerzego Kwiatkowskiego. Tom nowy przygotowany przez Aleksandra Fiuta składa się z dwudziestu jeden tekstów, których autorami są krytycy polscy i zagraniczni. Zgromadzono w nim teksty poświęcone głównie poezji Miłosza. Książka składa się z siedmiu części. Najmocniejsza jest otwierająca część pierwsza skomponowana z trzech już historycznych szkiców powstałych tuż po przyznaniu poecie Nagrody Nobla; autorami tych szkiców są: Błoński, Kwiatkowski i Łapiński. Część druga dotyczy tzw. sprawy Miłosza, a więc jego decyzji pozostania na Zachodzie. Część trzecią wypełniają eseje poświęcone ważnym motywom powra-

cającym w poetyckiej twórczości Miłosza. Część czwarta jest trójgłosem o cyklu *Świat (poema naiwne)*. Część piąta to interpretacje wybranych wierszy oraz *Sześciu wykładów wierszem*. Część szósta gromadzi prace teoretycznoliterackie, a zamykająca część siódma – kilka przykładów recepcji poezji Miłosza za granicą. Chyba o żadnym współczesnym pisarzu polskim nie ukazało się tyle książek, studiów, artykułów co o Miłoszu. Miłoszologia staje się coraz obszerniejszą dziedziną wiedzy i pomimo, że Miłoszem zajmują się najwybitniejsi polscy krytycy, jest w niej jeszcze wiele do odkrycia i opisanie tak w książkach dawnych, jak nowych oraz najnowszych; wielu w zdumienie i zakłopotanie wprawił ostatni tomik wierszy pt. *To*.

Zmieniają się mody literackie, tudzież orientacje metodologiczne; upadają systemy, w pył i proch rozsypują się światopoglądy; jedna za drugą upadają różnej orientacji awangardy; kolejne postmodernizmy przepoczwarczają się w kolejne neopostmodernizmy, etc. etc. Świat trwa. I jest w nim Czesław Miłosz: „staroświecki” i ciągle aktualny. Dlatego warto go poznawać.

K. M.

Poznawanie Miłosza 2. Część pierwsza 1980-1998 pod redakcją Aleksandra Fiuta, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2000.

*

„Upór i trwanie” – słowa z wiersza Herberta pt. *Do rzeki* – sygnują zbiór wspomnień osnutych wokół spotkań z nim i wokół jego wierszy, listów i kartek. Wspominają: Andrzej Biernacki, Leszek Elektorowicz, Julia Hartwig, Janusz Odrowąż-Pieniążek, Gerard Rasch, Jadwiga Ruziewicz, Marek Skwarnicki, Barbara Toruńczyk, Zbigniew Żakiewicz. Jest to książka serdeczna i przyjazna, bez złośliwości, zazdrości i ironii. Wspominający umieszczają się jak najbliżej Herberta, mają dla niego wiele dobrych uczuć i słów. Herbert jawi się w tych wspomnieniach jako człowiek niezwykły i trudny, obdarzony dużym poczuciem humoru i potrzebą gry, wewnętrzną pogodą i skłonnościami do figli i żartów, poeta wierny sobie i swojej poezji. Wspominający cytują jego wypowiedzi, listy i kartki, a także nieznane lub mało znane wiersze; Julia Hartwig mówi, że w tych listach są fragmenty jakby wzięte z poematu prozą. Portret Herberta i dzieło Herberta jeszcze długo będą portretem i dziełem w toku. Nowe książki autora *Pana Cogito* przygotowują „Zeszyty Literackie” i Wydawnictwo a5. A może doczekamy się wspomnień najważniejszych: Katarzyny Herbert oraz Wisławy Szymborskiej, Czesława Miłosza i Tadeusza Różewicza?

K. M.

Upór i trwanie. Wspomnienia o Zbigniewie Herbercie, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2000.

*

Ksiądz Jan Twardowski to poeta, któremu w wierszach wszystko obraca się ku dobremu. W tej pogodnej poezji spotykamy różne niesamowitości, na przykład: w Wielki Piątek pięcioletni chłopiec mówi, że to szkoda, że Pan Jezus umarł i po chwili dodaje, że przecież mamy zapasowego Jezusa w niebie. Pytanie: Co to jest para wodna? Odpowiedź: Dwie małe rybki. Albo to, że miłość własna umiera kwadrans po śmierci człowieka. U księdza Jana wdzięczność jest najbardziej religijnym uczuciem; że trzeba nauczyć się dziękować za przykrości. Bóg jest wielki – ja mały. „W podziękowaniu kryje się coś niezwykłego. Widzę, że więcej dostaję, niż biorę.” Kto to wie, wie bardzo wiele.

W poezji księdza Jana prawie nie ma zła: jeżeli jest, to tylko na chwilę – wychyla się i znika. A zło jest na świecie i jest bardzo groźne: może być fascynujące, może wydawać się lepsze od dobra. Wie to ksiądz Jan i wie, że zło zawsze kończy się jakimś świństwem: Ewangelia „diabły weszły w wieprze”. Dobro nigdy nie „wchodzi w wieprze”.

Ksiądz Jan całe swoje życie szedł i idzie pod wiatr: został księdzem w najgorszym czasie stalinowskim i w czasach rozhulanego ateizmu, czy liberalizmu pisał i pisze wiersze o Bogu. Dla niektórych jest nierealny i baśniowy jak jego imiennik Mistrz Twardowski. Ale ma tylu wiernych czytelników jak żaden inny współczesny poeta polski. Fenomenalna eksplozja tej poezji trwa od wielu lat. Ksiądz Jan zdaje się nie panować nad swoją popularnością: raz po raz ktoś robi z jego wierszy różne wydawnicze składanki, dosyć przypadkowe i dziwaczne w formie jak choćby ów *Elementarz*. Wolalbym, żeby w czytelnicznym obiegu były skomponowane przez niego samego tomiki i wybory wierszy, gdyż autorskie zbiory i wybory są zawsze szlachetniejsze w formie, a więc mocniej w literaturze i w czytelniczey świadomości istniejące. Ale i tak nadejdzie czas poważnego i krytycznoliterackiego pisania o poezji ks. Jana Twardowskiego, bo jest to bardzo świadomy pisarskiego rzemiosła pisarz. Wie, że poezja bez niewidzialnych nitek, które łączą ją z wiarą, to poezja niskiego i krótkiego lotu. Mówi, że poezja oczyszcza, bo rodzi się z milczenia i do milczenia prowadzi. Pisanie wierszy może stać się nawracaniem innych, jeżeli jest przede wszystkim nawracaniem samego siebie. Jakże ciekawe byłoby krytyczne czy escistyczne porównanie poezji Twardowskiego z poezją Szymborskiej, czy Różewicza. Mówi, że trzeba pisać tak, jakby mówiło się do kogoś bliskiego, czyli na przykład do samego siebie. Według niego najbardziej istotne w poezji są prostota i zwięzłość, ograniczenie się do niezbędnych słów. „Moje utwory są próbą uproszczenia języka”, mówi ksiądz Jan i dobrze wiem, że tak jest, bo asystowałem przy redakcji wielu jego wierszy.

U księdza Jana wszystko obraca się ku dobremu. Kiedy człowiek wyrzuca ze swojego życia Boga, zostaje w pustym miejscu, które zaraz musi zapełnić, bo nie może żyć w pustce. Ale cokolwiek nie zrobi, zawsze to będzie nie to, bo „Puste miejsce po Bogu może wypełnić tylko Bóg”.

K. M.

Ocalenie w wierszu chwili, tuż przed tym, zanim umknie; chwili, która dzięki temu właśnie ocaleniu okazuje się wyjątkowa, to zadanie niełatwe. Z jednej strony zagraża poecie nadmierna subiektywizacja, która uczyniłaby poezję hermetyczną, z drugiej czyha zaś niebezpieczeństwo rozpasania stylistycznego, które usunie z oczu ów szczególny moment, a na głównym miejscu postawi sam wiersz. Właśnie jednak na tej nieuchwytej granicy pomiędzy rzeczywistością a kreacją, relacją a komentarzem, umieszcza swe wiersze Jakub Ekier.

podczas ciebie, wydane jako 34. tom w Bibliotece Poetyckiej Wydawnictwa a5 pod redakcją Ryszarda Krynickiego, to tylko dwadzieścia cztery utwory. Króciutkie. Chwila czytania.

Człowiek w wierszach Ekiera to podróżnik. Widzimy go w samolocie, pociągu; na lotnisku i na dworcu kolejowym. Nawet jednak, gdy wyprawa się kończy, gdy w domu (czy na pewno w domu?) wygląda przez okno, kiedy czyta gazetę, wciąż dostrzeżga i odczuwa wszystko niczym coś nowego. Jak wędrowiec – zawsze po raz pierwszy – tworzy nieporadne i paradoksalnie niezwykle adekwatne teorie na własny użytek. Autor zdaje się unikać uściślenia. Zwięzłość i metaforyka jedynie zostają zaprzęgnięte do przekazywania tej nie tyle wizji świata, co raczej sposobu jego odczuwania.

Bohater, uwikłany w konieczność podróżowania, przytłoczony informacją, w istocie potrzebuje tego, co Ekier usiłuje odnaleźć w swej poezji. Jest to uświadomienie sobie ważności chwili. Poetycka stop-klatka ukazuje moment, ze swej natury zawsze niedookreślony, który nagle nabiera sensu. Moment ten, nie jakieś szczególne, brzemienne w skutki wydarzenie, nie jest sam w sobie czymś niezwykłym. To po prostu chwila, której zagubienie oznaczałoby stratę. Coś nieuchwytnego przypadłoby już na zawsze. Nie musi być to wiele; poruszenie wywołane gazetową czy telewizyjną wiadomością, migawka widoku zza okna samolotu, myśl. Zawsze momentalne i pozornie bez znaczenia. To, co zapominamy.

Jeśli potraktować tomik *podczas ciebie* jako próbę ocalenia tych momentów i szczegółów, które w istocie tworzą materię życia, przedostatni wiersz, *pilnie do rąk własnych*, okazuje się dramatycznym apelem, by także dzieło poety, moment czytania i chwila zamyślenia, nie zaginęły zapomniane gdzieś w nicości.

P. B.

Jakub Ekier, *podczas ciebie*, Wydawnictwo a5, Kraków 1999.

Krótką historią liścia Krzysztofa Piechowicza to poezja, chciałoby się powiedzieć, religijno-dendrologiczna, w której historia zbawienia opowiadana jest z perspektywy pejzażu, drzewa życia, drewna krzyża – a raczej drewna ukrzyżowanego („Drzewo żywota/Przyrosłe do krzyża/Drzewo przybite/Do Ciała”), wreszcie liścia, który chwycąc się „na jednej wyschłej szali” ociera się o wieczność. Poeta zatem dość oryginalnie stawia problem i rozkłada akcenty. Założenia tomiku są ciekawe, ale i nie-

co... manierystyczne. Nie Chrystus jest tu ważny, ale drzewo, do którego został przybity, nie on jest ukrzyżowany, ale drewno przybite do jego ciała. Wszystko tu jest zatem trochę *à rebours*. Intrygujący wniosek, jaki można by konsekwentnie z takiego postawienia sprawy wyciągnąć, mówiłby o ukrzyżowaniu świata... Chrystusem. Sposób rozwinięcia tego tematu w wierszach nie pozwala jednak na wyprowadzenie takiej konkluzji. Koncept zostaje zawieszony w próżni donikąd nie prowadząc.

Wiersze, o powracającej nucie opłakiwania, rozpięte są między powtarzającym się pytaniem: „Gdzie jesteś Adamie?”, wskazując tym samym na kondycję człowieka jako zasadniczy temat rozważań oraz na religijną z ducha jej interpretację. Wydawałoby się, że będziemy mieli zatem do czynienia z poezją medytacyjną. Rytm wierszy daleki jest jednak od wyciszenia i medytacji. Przypomina raczej pospieszną modlitwę skazańca, bełkot szaleńca – pościg lub ucieczkę. Słowa z trudem doganiają obrazy, obrazy nie nadążają za metaforą, a metafora za sensem. Skojarzenia pędzą w jakimś wyścigu donikąd, wypierają jedne drugie, rodząc wrażenie pustki, którą poeta próbuje właśnie zagłuszyć. W łaskocie słów ginie cisza poezji.

Piechowicz niby próbuje zanotować jakieś ważkie refleksje i zadać istotne pytania, ale grzęzną one „pośród rozdwojonych/jaszczurek nazw wszelakich”. Liczne odwołania do Biblii i tradycji chrześcijańskiej nie ratują przed chaosem, a bełkotliwość i wydumanie porównań i przenośni (np. „kokarda welurowa bioder”) sprawia przykre wrażenie „naciągania”, mówienia na siłę i o niczym. Poezję tę, która jest jakby obrazem rozkładu, która sama się rozpada na bezsensowne grupy słów i chaotyczne wizje, która... zdaje się czekać na rozkład ostateczny („Krynicę pleśni/Rdzy –/W ogrodzie na ścieżce/Inkrustowany czerwcią/Owoc/Na rozkład czeka/Daremnie”) najlepiej charakteryzują słowa jej autora: „Cale królestwo nadmiaru/Dwór/Tańczących czaszek z gipsu/Konfetti”. Jedyne naprawdę piękne i jedyne... prawdziwe strofy poświęcone zostały śmierci babci:

Już nie upina warkoczy.
Na szpitalnej poduszce w oparach morfiny
Dwa siwe węże granic bólu strzegą.

To jednak trochę za mało, aby usatysfakcjonować czytelnika, który podjął trud przeczytania i zrozumienia tej poezji. Z pytania o Adama wyrasta co prawda drzewo... wielu możliwych odpowiedzi (zbyt wielu!) i krzyż niepewności, ale wszystko, niczym przez jesiennie liście, zasypane zostaje wielosłowiem.

J. B-K.

Krzysztof Piechowicz, *Krótką historia liścia*, Sofia 1999.

SPROSTOWANIE

Autorką przekładu prozy Hansa Hiebła opublikowanej w nr. 3 (27) 2000 „K.A.” jest Barbara Bernhardt. Autorkę i czytelników przepraszamy.

REGULAMIN

Nagroda „Archiwum Emigracji” ufundowana przez Tadeusza Walczaka za pracę magisterską i doktorską na temat emigracji polskiej po 1939 roku.

Celem Nagrody jest promocja podstawowych badań naukowych nad różnorodnymi zagadnieniami związanymi z dziejami i dorobkiem wychodźstwa polskiego po roku 1939.

1. Nagrodę, ufundowaną przez Tadeusza Walczaka w wysokości 1000 zł każda, przyznaje się za wybitną pracę magisterską i osobno rozprawę doktorską, obronioną w latach 1999-2000, w czterech dziedzinach:

- a) literaturoznawstwo (także: teatr, językoznawstwo)
- b) historia (także: źródłoznawstwo, biografistyka, czasopiśmiennictwo, bibliografia, wojskowość)
- c) historia kultury i socjologia (także: naukoznawstwo, religioznawstwo, filozofia, muzykologia)
- d) historia sztuki (także: historia książki, edytorstwo, muzealnictwo)

2. Nagrodę przyznaje Archiwum Emigracji Biblioteki UMK oraz Pracownia Badań Emigracji Instytutu Literatury Polskiej UMK w Toruniu raz w roku, w maju, na uroczystym spotkaniu.

3. Jury Nagrody stanowi Komitet Redakcyjny czasopisma „Archiwum Emigracji”: Janusz Kryszak, Jarosław Koźmiński, Waław Lewandowski, Wojciech Ligęza, Krzysztof Pomian, Dobrochna Ratajczakowa, Anna Supruniuk, Mirosław A. Supruniuk.

4. Opiekę nad Nagrodą sprawuje Honorowa Kapituła Nagrody, w której skład wchodzi wybitni przedstawiciele kultury polskiej na obczyźnie:

Józef Bujnowski, Maria Danilewicz Zielińska, Andrzej S. Ehrenkreutz, Jerzy Giedroyc, Gustaw Herling-Grudziński, Leszek Kołakowski, Jan Kott, Stefania Kossowska, Jerzy Krzywicki, Danuta Mostwin, Olga Scherer, Tymon Terlecki.

5. Niepublikowane prace magisterskie i rozprawy doktorskie w dwóch egzemplarzach mają prawo zgłaszać instytuty naukowe, promotorzy i recenzenci w terminie do 31 grudnia 2000 roku, na adres redakcji czasopisma:

Archiwum Emigracji, Biblioteka UMK, ul. Gagarina 13, 87-100 Toruń
e-mail: Archiwum@bu.uni.torun.pl

6. Jury Nagrody może wyróżnić kilka prac w danej dziedzinie lub nie przyznać wyróżnienia w którejś z dziedzin:

- a) z braku prac na odpowiednio wysokim poziomie
- b) z braku zgłoszonych prac.

7. Jury zastrzega sobie możliwość publikacji nagrodzonych prac w całości lub we fragmentach w „Archiwum Emigracji” lub w Wydawnictwie UMK.

BIBLIOTEKA KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO

PROZA

Michał Głowiński



**CZARNE
SEZONY**

Grzegorz Musiał
AL FINE



Grzegorz Musiał



**DZIENNIK
Z IOWA**

Krzysztof
Myszkowski



FUNEBRE

POEZJA

Mirosław
Dzień



CIERPLIWOŚĆ

Bożena Keff



**NIE JEST
GOTOWY**

Jarosław
Klejnocki



**W DRODZE
DO DELFT**

Piotr
Matywiecki



**ZWYCZAJNA
SYMBOLICZNA
PRAWDZIWA**

Seria: EMIGRACJA



Maria Danilewicz Zielińska
Bierko Konopnickiej



Janina Kościalkowska
Bih me!

Prenumerata roczna:

krajowa: 30 zł
zagraniczna: 30 \$ USA

Cena numeru archiwalnego:

krajowa: 7 zł
zagraniczna: 8 \$ USA
(wraz z kosztami wysyłki)

Wpłaty prosimy kierować na konto:

Wojewódzki Ośrodek Kultury
PBKS II O/Bydgoszcz
11001034-902 779-2101-111-0
„Kwartalnik Artystyczny”

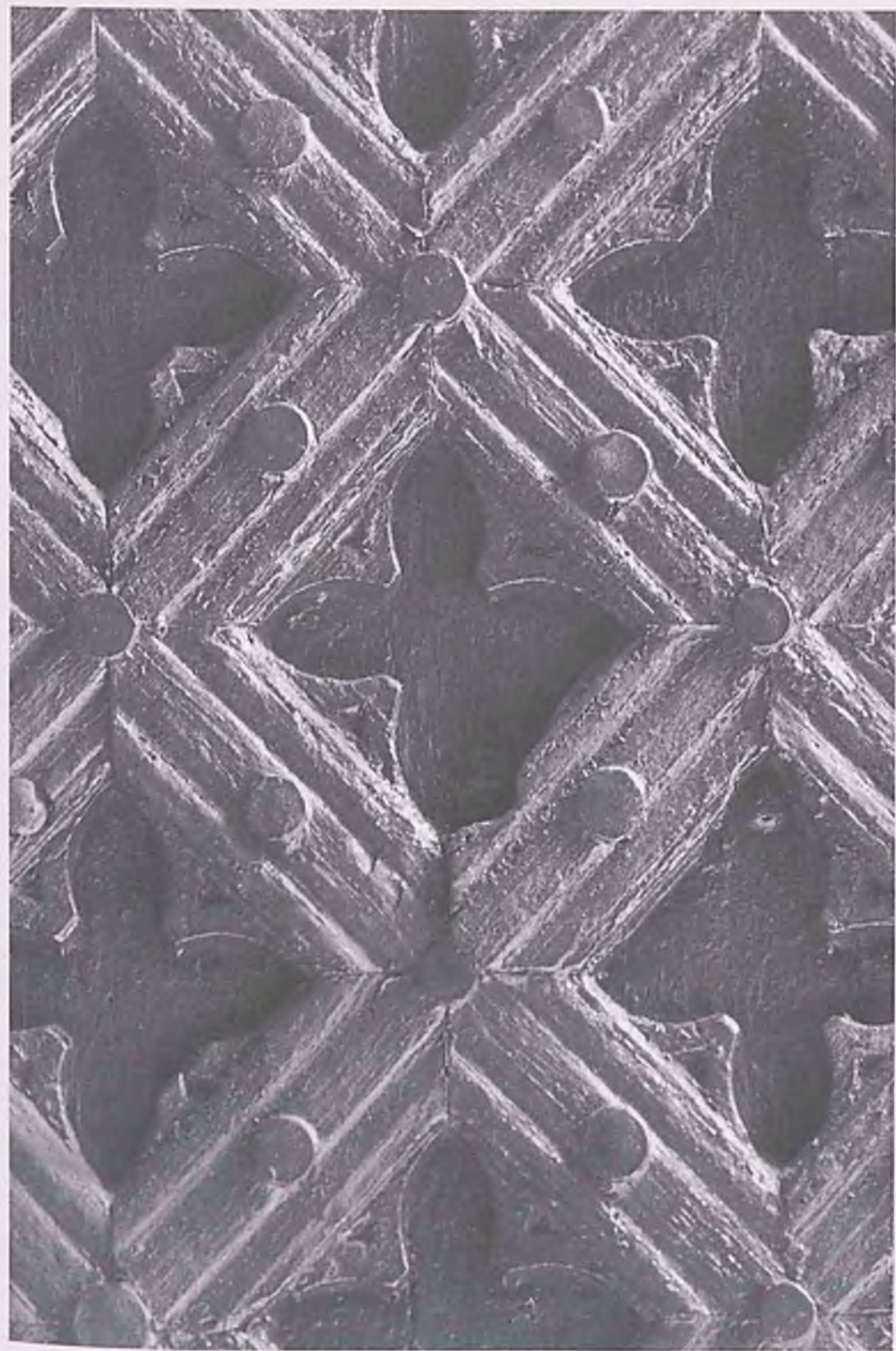
Utworów nie zamówionych redakcja nie odsyła.

© *Copyright by*

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY.
KUJAWY I POMORZE, Bydgoszcz 2000.

Druk:

Wąbrzeskie Zakłady Graficzne Spółka z o.o.
87-200 Wąbrzeźno, ul. Mickiewicza 15
tel.: (056) 688 17 64



Fot. Janina Gardzilewska

Toruń, fragment wrót w Katedrze świętych Janów

